

II 2,207,017 Chr.

KAZIMIERZ BRANDYS

MIESIĄCE  
1978 - 1979

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1981

II 1.108.361

Z. K. 1984.

II 1.266721 exp. 209.

MIESIĄCZ (1978-1979)

KAZIMIERZ BRANDYS

MIESIĄCE

BIBLIOTEKA KULTURY  
MIESIĄCE (1978-1979)

1978-1979

INSTITUT LITERACKI

IMPRIMERIE EN FRANCE

Édition: INSTITUT LITTÉRAIRE S.A.S.  
21, avenue de Poissy, La Madeleine-Rail  
par 75008 MAISON-LAFITTE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 335

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poisy Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

KAZIMIERZ BRANDYS

f

# MIESIĄCE

1978 - 1979

**INSTYTUT**

**PARYŻ**



**LITERACKI**

1981

BIBLIOTEKA NARODOWA  
WARSZAWA



30001000774648

MIEŚCIE

TEGOŻ AUTORA  
W BIBLIOTECE « KULTURY »

*Nierzeczywistość*, 1979 (wyczerpane)



II 2, 207, 017

Chr.



LITBRACKI



INSTITUT

© COPYRIGHT INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., PARIS, 1981.

2005 d 1/2

## październik 1978

Był to okres jałowy. Nie pusty, bo wiele się w nim działo, lecz pod względem pracy jałowy. Od piętnastu miesięcy nie piszę. Z wyjątkiem opowiadania, które musiałem przerwać, nie napisałem przez ten czas ani jednej linijki. W czerwcu 77 ukończyłem „Rondo”, od października do maja byłem za granicą. Paryż: choroba i szpital. Berlin: choroba i szpital. Warszawa: szpital i operacja.

Nie ja byłem pacjentem. Chorował kto inny, ja przez cały ten okres fizycznie czułem się dobrze. Przeżywałem jednak katastrofę zniszczenia wspólnego życia. Tryb dnia i pory nocy, obyczaje codzienności, terminy kalendarza, posiłki i sen, wszystko wyleciało w powietrze od razu, od jednej eksplozji. Choroba, jak wybuch wojny, rozwała konstrukcję czasu, porządek rzeczywistości i myśli. Z tą jedynie różnicą, że wojna jest katastrofą powszechną, choroba natomiast wybiera jednostkę niejako przez upatrzenie i robi z nią to samo, ale pokątnie, na boku. Dodajmy obcość, nie swój język i mniej ścisłe związki z otoczeniem. Pokonując codziennie przestrzeń między domem a szpitalem czułem się obiektem wybranym dla zagrożeń. Za każdym razem mogła mnie trafić bomba, i nie uwalniała od tego nawet noc, bo telefon mógł mnie także zbombardować. Nie umawiając się, oboje z M. wpadliśmy na to porównanie choroby z wojną. — Wystrzeliło do nas z dużej armaty — powiedziała mi któregoś dnia.

Wszystko to zdawałoby się wystarczająco tłumaczyć długą przerwę w pisaniu. Wiedziałem jednak, że są jeszcze inne okoliczności, które uniemożliwiają mi pracę, i że te inne okoliczności nieprędko ustaną. Podróż, choroba i wynikające z niej obowiązki były dla mnie pretekstem do samousprawiedliwienia, wielomiesięcznym alibi, jakim mogłem przed sobą się wylegitymować.

Ale miałem jasną świadomość, że gdy moje alibi się skończy, stan rzeczy przez to się nie zmieni i nadal będę niezdolny do pracy. Zdawałem sobie również sprawę z tego, że dopiero z chwilą odpadnięcia przeszkód znajdę się w prawdziwym zagrożeniu, nie faktami zewnętrznymi, lecz wewnętrzną próżnią.

Byłem na to od dawna przygotowany. Takie okresy przymusowej nieproduktywności następowały zawsze po ukończeniu większej pracy, a nieraz przed jej ukończeniem, w trakcie pisania. Z upływem lat jest mi coraz trudniej znosić tę jałowość i jeśli z początku mnie zaskakiwała, to z czasem potrafiłem ją z góry przewidywać, wiedząc, że musi nadejść. Najrozsądniej byłoby się do niej przyzwyczaić. O tym jednakże nie ma mowy, wytrzymuję ją z roku na rok gorzej. Jest to stan psychofizyczny, który można by określić jako subdepresję — gdyby nazwa cokolwiek tu rozwiązywała — albo jako stan niebycia. Wolę to drugie określenie, ono więcej tłumaczy. Przerwy w pisarskiej egzystencji podobne są do zapaści, przeżywa się wówczas dni martwe, bez krwiobiegu i tętna, i przeżywa się je z pustą, jakby wysaną głową. Od normalnego pisarskiego życia one się różnią mniej więcej tak, jak pełzanie od chodzenia. Konieczne czynności i zajęcia wykonuje się żalosną resztą sił, z uczuciem hańbiącej niemocy i poniżeniem galernika. W głowie, w rękach w nogach ciąży pytajnik: po co? Dopiero po przekroczeniu środka dnia następuje poprawa. Zbliża się noc. Noc przynosi ulgę, zapewne dlatego, że sen jest zwolnieniem z przymusu jawy, we śnie znikają obowiązki i cele, śpi się bez odpowiedzialności. W tych złych miesiącach sny bywają ładne, spokojne i nieraz zasypia się z przebłyskiem zaciekawienia tym, co przydarzy się we śnie. Przypominam sobie pewien niedawny sen. Telefonowałem z poczty w jakimś dalekowschodnim miasteczku, był to ubogi, prymitywny budynek z niechlujną izbą, której okno dawało widok na ośnieżone szczyty. Dzwoniłem do Warszawy, do niej. Wołałem z kabiny, żeby się o mnie nie martwiła, bo moje kłopoty minęły, mam już zajęcie: jestem górskim koniem i pracuję dla przemysłowców, których przenoszę przez granicę na drugą stronę gór. W radosnym wzruszeniu komunikowałem jej o tym przez telefon.

Ale wyjście ze snu w tych okresach jest szczególnie ciężkie. Już nad ranem w półśnie występują zmyry. Nie są to zmyry fantastyczne. Grozą atakuje każde skojarzenie czy obraz. Deseń, stół, epizod sprzed lat, słowo lub figura geometryczna dławią niedorzecznością. Jest w tym coś złowieszczonego. Chciałoby się znów zasnąć, cofnąć się w głąb, w urwaną, lepszą rzeczywistość. Sen staje się wówczas prawdziwszym i miłszym życiem niż to,



którą ścisnął w rękę. Nie miałem jednak zupełnej pewności: może to on? Tym bardziej że mi się przypatrywał, jakoś zarazem smutno i ciekawie. Po czym z wolna ruszył w moją stronę, ciągnąc za sobą nogę, rękę, łaskę i zbliżając się ku mnie z niesamowicie znajomym uśmiechem. W ostatniej sekundzie zdążyłem ukryć przerażenie: to był on, jego szczątek, zdrobniła, biedna resztką. Stał już przede mną. — Przepraszam — powiedział — z początku nie mogłem poznać. Pan się bardzo zmienił.

„Przed wszystkim, niemal z każdej stronicy jego dzieł bije przeświadczenie, że filozofia ma do objawienia prawdy niezwykłej wagi. Człowiek ma nie tylko potrzeby fizyczne: do jego właściwości przyrodzonych należy również odczuwanie potrzeby metafizycznej, tj. niepoprzestawianie na wiedzy o relacjach, lecz dążenie do poznania istoty rzeczy. Aby nie zagubić się w otaczającym go świecie, człowiek potrzebuje busoli w postaci jakiejś prawdy bezwzględnej, a tymczasem nauki dostarczają mu jedynie wiedzy relatywnej. Tę potrzebę metafizyczną zaspokajała dawniej religia. Ale od czasu gdy Kant nie tylko wykazał nicosć dotychczasowych dowodów istnienia Boga, ale ponadto jeszcze zasadniczą niemożliwość przeprowadzenia takiego dowodu, religia jako podstawa stosunku do świata jest dla człowieka światłego nie do przyjęcia. Dziedzictwo po niej należy do filozofii. Człowiekowi, któremu odebrano ostatecznie wiarę w Opatrzność czuwającą nad światem, w nadprzyrodzony rozum, posługujący się śmiercią i cierpieniem dla siebie tylko znanych, wyższych celów, filozofia ma odpowiedzieć na pytanie o sens życia. Jeśli nie sprostą temu zadaniu, wszelki porządek moralny rozpadnie się jak domek z kart i człowiek okaże się wobec świata zupełnie bezbronny, skazany na nieustający lęk przed cierpieniem, którego uniknąć nie może, z widmem nieuchronnej śmierci przed oczyma. Wobec bankructwa religii tylko filozofia może go uratować przed rozpaczą”.

To pisze Jan Garewicz w swojej książce o Schopenhauerze. Pamiętnik matki wzbudził we mnie sentyment dla syna, tak się niekiedy dzieje z lekturami. Moje półki nie uginają się od dzieł filozoficznych, poszedłem więc do biblioteki i wybrałem z katalogu tom zatytułowany *Schopenhauer*. Była to własnie książka Garewicza. Szczerze mówiąc, kierowała mną nie tyle chęć poznania myśli niemieckiego filozofa, co zaciekawienie jego rodzinnym domem. Jaki wpływ na niego wywarła ta bystra i żywotna kobieta, jak wzrastał i dojrzewał pod jej rozumnym okiem i czy spełniła ważną rolę w jego życiu. Do pani Schopen-

hauer czułem już przywiązanie, stała mi się sympatyczna i bliska. Zapragnąłem czegoś więcej ponad to, co sama opowiada o sobie. Czym była ta matka dla syna, jak ją widział i utrwalił w pamięci, ile jej zawdzięczał... Otóż spotkało mnie rozczarowanie. Zerwał z nią, uciekł, napisał list i już nigdy się nie zobaczyli. Nie mógł jej darować związku z pewnym mężczyzną. Pani Schopenhauer, radczyni dworu, mieszkała wówczas w Weimarze żyjąc od lat we wdowieństwie.

Lektury także mają swoje losy. Pamiętnik matki czytałem dla uspokojenia, chcąc się oderwać od siebie, od napastujących mnie złych duchów samotności. Po czym, aby przedłużyć lecznicze działanie miłego toku jej narracji, już przynęcony i wciągnięty, trafiam do syna. A syn raptem przeszywa mnie na wylot, wskazując palcem źródło moich wstydliwych klęsk, od których szukałem ucieczki w opowieści matki. I powiada mi tak: „Pana strapienia nie płyną z trwogi biologicznej, którą nazwał pan lękiem czasu, lecz z niewiary w Opatrzność: nie ma pan Boga. Może Go zastąpić filozoficzne poznanie: nie ma pan filozofii. Nie ma w panu nic, co chroni przed rozpaczą i myślą o śmierci. Przewidziałem to sto lat temu”.

Na co z kolei ja mógłbym powiedzieć: „O tym, co przewidywał pan sto lat temu, dzisiaj piszą dziennikarze. Poczucie bezsensu i rozpacz, utrata wewnętrznej tożsamości, zwątpienie i niewiedza o Istocie Rzeczy weszły w naszą potoczną świadomość. Mówi się o nich tak często, że brzmią już trochę komicznie. Nie przewidywał pan jedynie tego, że filozofia nie spełni pańskich oczekiwań. Odwróciła wzrok od tajemnicy bytu i zajęła się innymi sprawami. Stało się więc najgorsze, przed czym pan ostrzegał. Wszyscy są bezbronni wobec świata, skazani na trwogę i ból. Ale skoro wszyscy o tym wiemy, jeżeli każdy czuje się zatruty własną i międzyludzką świadomością, czy to nie oznacza początku oczyszczenia? Może właśnie aby się odtruc z wsączonych w moją świadomość spalin tych wyobrażeń i słów, usiłuję je zastąpić innymi — brak nadziei i egzystencjalną rozpacz biologicznym lękiem przemijania. Jest w nich mniej rezygnacji. Bo przede wszystkim nie chcę rezygnować. I nie wydaje mi się oczywiste pana założenie, że wiara w Opatrzność jako podstawa stosunku do świata jest niemożliwa do przyjęcia dla człowieka myślącego”.

Wiara w Opatrzność? W moim świeckim języku wyraziłbym się innymi słowami. Wewnętrzna pewność, że poza bytem doczesnym istnieje prawo najwyższe i wartość jedyna, w których

zawiera się cel ludzkiego życia, uzasadniający cierpienie i śmierć. W owym stanie wewnętrznej pewności żyło miliony ludzi. Łączyli się ze sobą tworząc religie i kościoły, modląc się w nich, ginąc za nie, nawracając innych. Używam tu czasu przeszłego. A dzisiaj? Dziś również żyje wielu takich ludzi. Mówiąc jednak „wiara, religia, Kościół”, mamy dzisiaj na myśli religie i Kościoły, które wiążemy z pojęciem religii i kościoła wytworzonym w nas przez kulturę. Wiarą, kościołem jest dla nas to, co tradycja określa jako wiarę i kościół. Religią nazywamy religię „z przeszłością”.

Na Boga, dlaczego? Nasza epoka aż huczy od nowych religii, kłębiących się wśród starych kościołów, w tłoku, w namiętnej wrzawie, w dyskusjach i ogniu wystrzałów! Są już męczennicy nowych wiar, są całopalenia, klątwy, apostołaty... są fanatyczni kaznodzieje i okrutni mnisi. Przetrzyjmy oczy: religia jest bliżej. Pomyślmy tylko, zastanówmy się, co w naszych czasach jest religią i czy dym z jej płomieni musi być dymem świeczników. Ależ słyszymy, czytamy: schodzą do katakumb, do więzień, rozszarpują się o dogmaty, giną za swoją wiarę lub zabijają się dla niej. Walczą piśmem i słowem, z imionami swych świętych na ustach. Kto? Jacyś młodzi ludzie, dziewczyny, nieraz dzieci prawie. Bici i torturowani. Albo mordujący i torturujący. A czasem jedno i drugie.

Współczesny świat nie należy do epok Rozumu, miota nim pragnienie Wiary. Mnie, laika żyjącego poza Kościołami, moja epoka postarza, czuję się w niej anachroniczny, niekiedy obcy i zbędny. Tym bardziej, że zwykle odczuwałem niechęć do typu człowieka i rodzaju życia wyrażającego się poprzez religię. Byłem studentem, kiedy przystanąłem przed schodami dość już wiekowej świątyni, namyślając się: zawrócić czy wejść? I wszedłem. Socjalizm nie był dla mnie wyznaniem wiary dogmatycznej — wszedłem, ponieważ walczył z wrogiem mi, barbarzyńskim Kościołem, z faszyzmem. Jego XIX-wieczna przeszłość budziła szacunek, pociągała mnie legendą, żywotami bohaterów, napięciem etycznym. A także skromną liturgią i prostą obyczajowością. Stół, krzesła, mównica, dyskusja. Więc jednak: nie wyznając dogmatów, miałem już Ewangelię. Dziś myślę o tym bez ironii. Ani mi w głowie umniejszać znaczenie socjalizmu w moim życiu. I nie tylko w moim życiu. W historii, w kulturze. Jeślibym miał wymienić najważniejsze zjawiska w dziejach naszej ery, powiedziałbym: Kościół Rzymski, Reformacja, Socjalizm. Dodałbym jeszcze, że jest to trójca historyczna zakreślająca moje pojęcie Chrześcijaństwa.

Więc mówiąc „Kościół” używam tego słowa w rozszerzonym znaczeniu. Obejmuję nim również zakony ideologiczne i zorganizowane religie państwowe. Powszechny Kościół Katolicki wypełnia dziś swoje posłannictwo w świecie terroryzowanym przez nowe inkwizycje i krucjaty. Kościoły anarchizmu i nacjonalizmu zabijają ludzi. Kościoły państw totalitarnych uśmiercają życie. Próbę tortur stosują jedne i drugie. Jedne i drugie mają swych wiernych i niewiernych. Społeczna świadomość zdaje się wyczuwać ów religijny charakter współczesności. Protestujących demokratów w krajach wschodniej Europy nie przypadkiem nazwano dysydentami.

Dwaj młodzi niemieccy pastory wyrazili swój sprzeciw wobec rządów przymusu i nietolerancji narzuconych przez państwowe Oficjum w NRD. Spłonęli żywcem, dobrowolnie. Stawiam sobie pytanie, jakiej religii, któremu z Kościołów należy przypisać ten akt najwyższego samopoświęcania. Ewangelicko-reformowanemu? Kalwińskiemu? A może byli baptystami?

Myślę, że to nie jest istotne. Przypuszczalnie wyznawali tę samą wiarę, dla której dziesięć lat przed nimi na Vaclavskich Namesti spłonął Palach. Stare chrześcijańskie religie dbają dziś o rozsądne leczenie zła atakującego ludzką wspólnotę, zaznaczają swój rozumny udział we wszystkich dziedzinach jej życia, głoszą cnoty społeczne, obywatelskie i humanitarne, bronią swych wiernych przed pazurami tyranii politycznej — obłaskawiają bestię. Ogniem świętego szaleństwa dawne Kościoły przestały już płonąć. W jakim obrządku chrzczoney był Palach, katolik, marksista czy protestant, nie wiem, nie uśiłowalem się dowiedzieć. Jego czyn miał dostateczną jasność, spełnił go jako wierzący odnowionego Kościoła wolności. Ale zarówno Czech Palach, jak dwaj Niemcy, pastory, musieli silnie odczuwać nadprzyrodzoną pewność istnienia wartości absolutnych, uzasadniających sens ich śmierci. A więc jak to... niewiara w Opatrzność? Brak Prawdy Bezwzględnej? Genialny syn radczyni Schopenhauer nie wszystko dokładnie wywróżył sto lat temu. Zignorował przemienne naturę życia.

Nie ma złotej jesieni w tym roku, wciąż chłodna szarość i deszcze, i ogonki w sklepach. O 7-ej rano musiałem pojechać na Wolę. Taksówkarz, gęba sympatycznie ponura, spytał mnie, czy oglądam „godzinę dobrobytu”. — Co? — nie zrozumiałem. Miał na myśli wieczorny dziennik telewizji. Uśmiechnąłem się. On się nie uśmiechnął.

Przez dwa wieczory nie oglądałem dziennika TV. Zacząłem,

a właściwie próbowałem czytać „Listy” Stanisławy Przybyszewskiej. Także mieszkała w Gdańsku. Pięćsetstronicowy tom, od którego w końcu odpadłem, jak od cudzego nieszczęścia. Nie ma rady, tylko współczucie i bezsilność. W tej gorączce słów trafiłem na kilka osłupiających zdań. Kochała Robespiera, Gardziła Żyromdystami, nienawidziła Dantona, ale kochała Robespiera. Stanowił dla niej ideał „równowagi i harmonii”, uosobienie piękna. Kobieta zakochana w gilotynie! Dalej jakoś nie mogłem czytać, odłożyłem biedaczkę na stolik i wziąłem do przjrzenia brulion z moimi zapiskami. Czystym przypadkiem wśród starych notatek znalazłem taką uwagę, nie mam pojęcia, własną czy zacytowaną: „Robespierre kochał wolność całym sobą. W innych kochał równość”.

Później jeszcze raz przeczytałem ostatnie kartki, z refleksjami po schopenhauerowskich lekturach, te dopiero napisane, które urwałem na śmierci Palacha.

W maju 77 piętnaście osób ogłosiło głódówkę na znak protestu przeciw uwięzieniu działaczy KOR-u. Głódówka odbywała się w warszawskim kościele św. Marcina na Piwnej. Wśród głodujących znajdowali się naukowcy, pisarze i humaniści uniwersyteccy, młode kobiety, między nimi żona robotnika, głodował też 70-letni ojciec jednego z KOR-owców. Ludzie różnych pokoleń i formacji światopoglądowych, katolicy, intelektualści nie praktykujący żadnego z obrządków religijnych, dawni marksiści, niedawni harcerze i studentki. Ich rodowody lub osobista przeszłość sięgały do Armii Krajowej, Powstania Styczniowego, działalności polskiej lewicy i Kościoła, a także do ZMP. Był wśród nich duchowny katolicki, był również tłumacz „Kapitału” Marksa. Głodowali przez tydzień, w bocznej nawie, przyjmując jako jedyny pokarm wodę z solą. W trakcie głódówki prasa obrzucała ich szyderstwami, nie szczędząc potwarzy ani fałszerstw. Telewizja zapowiadała niedwuznacznie proces uwięzionych członków KOR-u. Idąc Piwną mogłem obserwować czuwających w pobliżu kościoła cywilnych funkcjonariuszy o wyglądzie turystów, z lodami w waflach dla większej naturalności. Prócz nich, rozumie się, na ulicy było pełno turystów autentycznych, którzy nie wiedzieli o niczym albo nie chcieli wiedzieć, albo po prostu interesowali się czym innym. Stare Miasto, ze swymi knajpkami, goframi, makaronem spaghetti, butikami po parysku i parówkami po kanadyjsku, z kataryniarzem, papugą i cygańską kapelą, wchodziło w letni sezon.

Głódówka była aktem protestu i solidarności w momencie

zagrożenia. Nikt nie umiał wtedy przewidzieć, co dalej nastąpi. Aresztowania mogły lada chwila ogarnąć setki osób, proces musiałby doprowadzić do wieloletnich wyroków. Z kimkolwiek rozmawiałem, każdy w pierwszych słowach określał się wobec tego aktu. Już od dość dawna było jasne, że ruch obrony społecznej, do którego należeli głodujący, ujawnił pewne cechy w ludziach, zatarte i pokryte latami milczenia. Przemówiło teraz wielu niemych, objawili się zarówno prozelici, jak sceptycy i indyferenci. Rozległ się też chór zaniepokojonych, którzy ostrzegali przed prowokacją: cud wydawał się im zbyt niebezpieczny, aby weń uwierzyć. Przeżywano duchowe rozdarcia, upadki, euforie...

To już była dziedzina przeżyć religijnych, wolnych od sugestii historii. Wyobrażenie Boga nie jest w takich przeżyciach konieczne, ich istotą jest podporządkowanie zmiennego czasu faktów wiecznemu czasowi wartości. Głodujący w kościele na Piwnej wywołali w różnych ludziach tę samą myśl: czy znają jakąś wartość trwającą ponad faktami i niezależną od ich historycznego czasu. Można by się długo zastanawiać nad tym, czy istnieją ważniejsze pytania skierowane do człowieka.

Co prawda nie stawiałem tak zasadniczych pytań, ani innym ludziom, ani sobie. Dopóki nie odczułem, że w wysiłku pisania zawarty jest czynnik religijny, ta sfera moich przeżyć była ograniczona, nie wykraczała poza instynktowną czujność wobec funkcjonariuszy złych poczynań. Pewne ludzkie postacie budziły we mnie silny wstręt. Jedną z nich widzę do dzisiaj niezwykle wyraźnie. Przykre widzenie — od karku, od tyłu głowy. Kiedyś wyobraziłem sobie tego diabła siedzącego okrakiem na skrzyni czy zydlu w pustej, niskiej izbie podobnej do wędzarni. Czułem niemal zapach gnijących ryb i skóry zabitych zwierząt. Mój diabeł polował i łowił. Siedział w swojej wysoko położonej norze, widziałem jego szyję podpłyniętą krwią. Na marginesach powieści o ideowych bohaterach zapisywał ołówkiem kogo unicestwić. Dla niego — myślałem — życie jest polityczną rozgrywką, nigdy by nie uwierzył, że ktoś może w niej nie uczestniczyć. Dla niego wszyscy są podobni, to znaczy podobni do niego. Jest przekonany, że człowiek nie posiada innych właściwości. Nie wierzy w istnienie ludzkiej etyki, zastępuje mu ją strategia polowania. Nie rozumie, czym jest psychologia, posługuje się nią tylko, jak podłuchem w działaniu przeciw ludziom, których nienawidzi. I gardzi tymi, których nie musi nienawidzić. Ale co mi się najmniej podobało w tym diable: to że był lubiany przez swoje ofiary. Unieszkodliwiał je poza ich plecami, naza-

jutrz zaś witał z gromką serdecznością, przygarniając do siebie zlikwidowanego, przytracając go do pasa rubasznym gestem łowcy. Po czym ociężał wstępował na mównicę, by za chwilę tłumaczyć, że łagodzi zło. Którego jest autorem — dopowiadałem sobie. Przeniknąłem jego formułę działania: usuwać niewygodnych, a potem pomagać wdowom.

Był to fachowy bies, któremu wiele zawdzięczałem. Nauczył mnie rozpoznawać magiczne pułapki i kuplerskie sztuczki. Takim sprzedawano dusze najłatwiej, bez targu.

Schopenhauer... Czego on chce ode mnie? Gdybym w nic nie wierzył, sprzedałbym duszę biesom historii. Poddając się jej wyrokowi, przepisując na nią własną świadomość i los, również można uciszyć w sobie lęk czasu. Powiedziałem kiedyś: „jeślibym mógł pisać do końca, nie bałbym się śmierci”. W odpowiedzi usłyszałem, że widocznie poprzez pisanie wykupuję się z grzechu: „w tym, co piszesz, jesteś lepszym człowiekiem, niż w życiu”. Przyszło mi wtedy na myśl: w modlitwach ludzie także są lepsi niż w życiu... Równocześnie wyobraziłem sobie, że gdybym mógł do śmierci nie wstawać z fotela, w którym piszę, że gdybym się z niego nie ruszył ani na chwilę, żadne straszdyła nie miałyby do mnie dostępu, uwolniłbym się od wszelkiego zła, zabiłbym czas. I byłaby to jedyna możliwa dla mnie, przynajmniej do pomyślenia, forma głódówki, moja woda z solą.

## *listopad*

Przypomniałem sobie, że nazwisko Garewicza, autora książki o Schopenhauerze, jest mi dawno znane. Mówiła o nim często Irena Krzywicka w czasie naszych pobytów w Bures-sur-Yvette. Jest zdaje się jej krewnym, siostrzeńcem bodaj. Ale chyba pamiętam go jeszcze z gimnazjalnych lat. Miał brata, trochę starszego, o miłej czyściutkiej powierzchowności, który pożyczył mi kiedyś farby przed lekcją rysunków. Były to cudowne zagraniczne farby w płaskim metalowym pudełku imitującym kość słoniową, wsuniętym w futerał z lśniącej zielonej skóry — farby z kolekcją niebywale czysto utrzymanych pędzli różnej cienkości i długości. Mały Garewicz pożyczył mi je uprzejmie, przyrzekłem mu je oddać po lekcji. Lecz zanim się rozpoczęła, moi koledzy spostrzegli je leżące przede mną w otwartym pudełku. Ich cudzoziemska wytworność wprawiła klasę w osłupienie. Z początku wszyscy zamilkli wpatrzeni w farby Garewicza, jakby

zaczarowani samą możliwością piękna tak idealnego, możliwością przekraczającą wszelkie ich pojęcia, nieznaną im dotychczas i świadcząca o jakimś odległym doskonalszym bycie, o którego istnieniu dotąd nie wiedzieli. Po czym wszyscy jednocześnie rzucili się na farby Garewicza i zaczęli je niszczyć. W ciągu minuty stały się wrakiem — pokiereszowanym, zgniecionym, wydłubanym. Nie mogłem temu zapobiec, patrzyłem tylko ze zgrozą na kilku moich najlepszych kolegów nagle przemienionych w potwory: depcząc farby, trzaskając nimi o ścianę byli przywódcami wściekłej zgrai ogarniętej furją niszczenia. Przerwało ją wejście nauczyciela. Do wieczora szukaliśmy z matką po całym mieście zagranicznych farb podobnych do skarbu Garewicza. Skądże, nic takiego nie istniało. Sprzedawcy wyciągali z szuflad rozmaite pudła, za każdym razem przeczyłem ponuro i wreszcie matka się zniecierpliwiła: — Musiałeś sobie wymyślić te farby! — Byłem jednak pewny, że one gdzieś są, że gdzieś można je znaleźć. Właściciel jednego ze sklepów polecił nam przyjść nazajutrz. Ale rano przed lekcjami tłusciutki, rumiany Garewicz zajął do naszej klasy i grzecznie upomniał się o swoją własność. Straciłem głowę, wydobyłem spod pulpitu upiorny szczątek i chciałem mu go wręczyć. Garewicz szepnął tylko: — Przepraszam, to nie są moje farby... — po czym się rozplakał.

Takie epizody pamięta się przez całe życie, nieraz śnią się po dziesiątkach lat i wywołują zdławiony jęk. Prawdopodobnie stanowiły wstępne ostrzeżenie, zapowiedź późniejszych doświadczeń. W tych drobnych faktach zawarta jest nasza przyszła wiedza o ludzkości, o ukrytym w niej pomieszaniu tęsknoty za pięknem i nienawiści do siebie — z marzeniami i rozpaczą obracanymi w nienawiść do innych. Odtąd wiadomo, czego należy się strzec. Farby Garewicza przypominały mi się często w późniejszych latach. Ilekroć w czyichś rękach zamigotało spełnienie zbiorowych marzeń, czekałem na rozpętanie się furii. Prowokacja. Od tego słowa najczęściej zaczynało. I czyniono wszystko, aby ideał zniknął z oczu, aby przestało istnieć to nieosiągalne, za czym się tęskni, na co nie stać. Jeśli tak się dzieje w niejawnym układzie rzeczy, gdzie niebezpieczeństwo prowokacji istotnie zagraża, pogubić się bardzo łatwo. A w takim świecie żyjemy.

O farbach Garewicza pomyślałem w czasie lektury, ale nie Schopenhauera, tylko Nabokova. Kiedyś w liście do Hani Słomskiej, wysłanym jeszcze z Berlina, napomknąłem że oprócz „Lolity” nie znam żadnej z książek tego autora, którego ceniła. Po paru miesiącach, już w Warszawie, znalazłem w skrzynce przesyłkę: „La défense de Luzin”. I tę „Obronę Łuzina”, którą



zacząłem czytać we wrześniu nad morzem, kończę dopiero od przedwczoraj, po długiej przerwie i odłożeniu „Listów” Przyby-szewskiej. Dlaczego właśnie czytając Nabokova przypomniałem sobie Garewicza — naturalnie dlatego że jego młodszy brat napisał dziełko o Schopenhauerze czytane przeze mnie bezpośrednio przedtem; a pewnie i dlatego, że Nabokova przysłali mi Piotrowie Słonimscy, którzy mieszkają w Gif-sur-Yvette, tuż koło Bures, gdzie znajduje się domek Krzywickich, spokrewnionych z Garewiczem. Zresztą w trakcie lektur wiele rzeczy się przypomina. Czytanie to pewien stan psychiczny, w którym objęty się z całym sobą, przepływ skojarzeń sięgających głęboko do podświadomości. Przy czym ów drugi nurt towarzyszy zazwyczaj lekturom, jakich nie pochłania się od razu jednym tchem (powieści kryminalne wyłączają go, mam wtedy poczucie traconego czasu: to jest tylko czytanie); jednakże lekturom niekoniecznie nudnym, często ważnym i cennym.

Czytając Nabokova myślałem o Garewiczu, o farbach jego brata, potem przypomniał mi się Jap, małpka Piotrów Słonim-skich, Jap prowadzony na kilkumetrowej lince przez trawnik albo siedzący na ramieniu Piotra z jego fajką w pyszczku. Był to jakiś popołudniowy spacer w Gif, szliśmy zdaje się do budynku laboratoriów C.N.R.S. i Piotr opowiadał, jak w czasie okupacji nadzorował wykonanie egzekucji na konfidentie niemieckiej poli-cji: w zatłoczonym tramwaju przebito go długą igłą, z tyłu, pod łopatką. Profesor Piotr mówił o tym z powolnym namysłem, głośno chrząkając i unosząc jasne brwi. Czuło się, że jest urze-czony swoją poprzednią inkarnacją, która teraz chwilami jeszcze dawała o sobie znać nieruchomym, trochę nieprzytomnym zbłę-kitnieniem oka. Mówił o tych sprawach ze starannym wysiłkiem, z obiektywizmem niemal naukowym, cierpliwie dobierając słów. Pewnie tak samo wykładał genetykę swoim studentom, z takim samym chrząkaniem i namysłem. Ale potrafił też zaryczeć, a kiedy indziej lekko uśmiechnięty przyglądał się Japowi, jak gdyby więcej o nim wiedział niż my.

W tej dolinie Chevreuse, pomiędzy Paryżem a Rambouillet mieszka kilkanaście osób, które wyjechały z Polski w różnych latach i z różnych powodów. Wśród nich madame Szewczykowa, sąsiadka Krzywickich. Przybyła tu najwcześniej, jeszcze przed wojną, po strajku chłopskim w 1936, w którym brał udział jej mąż. Kiedy pewnego razu zagadnąłem ją, co słyhać i jak się jej powodzi, wzruszyła ramionami: — Ano, trza się debrouil-łować. — Pamiętam rozmaite spacery. Do dębu na Plateau Hacquinière, i do parku w Gif, jeździliśmy także do Port-Royal.

Do dębu chodziło się z Ireną Krzywicką. Dąb rósł na wzniesieniu. Kiedyś w drodze pod górę Irena powiedziała: — Dwóch ludzi mi się zwierzyło, że zmarnowali swoje życie: Ludwik Krzywicki i Boy... — Była synową Ludwika Krzywickiego, jej mąż zginął w Katyniu. Z Boyem łączył ją długoletni związek uczuciowy. Innego dnia wracaliśmy i nagle Irena, krótkowzroczna, przystanąła wahając się przed następnym krokiem. — Rozumiem, że obydwaj zginęli — patrzyła na nas przez swoje grube szkła — ale dlaczego obydwaj od strzału w tył głowy? Obydwaj. Dlaczego? — Była tym prawdziwie zdumiona, zaintrygowana. W czasie wojny straciła syna, którego przyjacielem był Piotr Słonimski. Po wojnie jej młodszy syn, Andrzej, wówczas maturzysta, dziś profesor fizyki w Ecole Polytechnique, przebył chorobę polio. Wyrwała go śmierci niemal dosłownie własnymi rękami. Lecz pod koniec tamtego spaceru rozmawialiśmy już o czym innym, o francuskiej *nouvelle philosophie*, bo przeczytała właśnie książkę Bernarda Henri Lévy'ego, którego niedawno pokazywano w telewizji. — Niezwykle przystojny — stwierdziła z kategorięnością doświadczonej pensjonarki. Zakomunikowałem jej, że jest najmłodszą z moich sympatii. — Ale ty wiesz, że w przyszłym roku kończę osiemdziesiąt lat? — krzyknęła, uczciwa i zaniepokojona.

A Nabokov? „Obronę Łuzina” kończę wieczorami. Okno można trzymać jeszcze otwarte, pierwsze dni listopada są ciepłe i o tej porze roku na Starym Mieście jest ciszej, nocą o wiele ciszej. W dzień natomiast okolice Rynku i Katedry zarobaczone tajniakami. Prymas wystąpił publicznie w Katedrze po powrocie z Rzymu. Wybór papieża Jana Pawła II i zbliżający się 11 listopada (60-lecie Niepodległości) postawiły na nogi policję, która przez ostatni rok miała zajęcia nudne: śledzenie pojedynczych KOR-owców, pisanie anonimów, wyłapywanie powielaczy itp. Teraz się zaroilo. Julek szedł do nas wieczorem w ogromnym tłumie ciągnącym w stronę Katedry. 11-go, także w Katedrze, odbędzie się msza, potem składanie wieńców u Grobu Nieznanego Żołnierza. Zawiadomienia o uroczystościach, rozlepione na kościołach, tajniacy nocą zdarli. Za dnia są mniej przedsiębiorczy, najczęściej nie do odróżnienia od ich kolegów ze skupu walut, którzy nagabują turystów o dolary czy marki. Jednych i drugich upodabnia wspólna czelność oczu i splugawienie twarzy. Pijackowie tutejsi mają inne twarze: splekane, o różowych spojówkach. Ta symbioza żywiołów turystycznych, alkoholicznych, policyjnych i dewizowych rozciąga się na całym trakcie: od miejsca uchwalenia Konstytucji 3 Maja, poprzez miejsca

straceń w latach okupacji, wzdłuż ulic, na których wieszano Targowiczan, aż do parku Traugutta, gdzie stoi krzyż w miejscu stracenia członków Rządu Narodowego 1863 roku. Wczoraj szedłem tędy z Adolfem Rudnickim, zupełnie już siwym. Narzekał, że cenzura kałeczy mu teksty. We wspomnieniu o Gombrowiczu opisał przedwojenny spacer na Wiejskiej, gdy Witold mijając gmach Sejmu wyznał, że zamęcza go pragnienie, aby tam wejść w czasie obrad, stanąć na trybunie i zapytać: „Panowie! Kiedy następny rozbiór?”. Te słowa cenzor wykreślił.

Nabokova czytam po wieczornym dzienniku telewizji, która także święci 60-lecie. Spikerzy z radosnymi minami i natężeniem w oczach robią akrobatyczne salta, by dowieść, że odzyskanie Niepodległości w roku 1918 zawdzięczamy rosyjskim bolszewikom.

Sztuka opowiadania to we współczesnej literaturze rzadkość, coraz chętniej odstępowana filmowi. Krytyka nie ceni tej zdolności, zdaje się ją ignorować, jak rzecz niewartą uwagi. Zastanawiałem się, ilu dzisiejszych autorów, chwalonych za głębinną świadomość alogiczności bytu, umiałoby dobrze opowiedzieć zwykłe wydarzenie, czyjeś życie, postać. Nabokov w „Obronie Łuzina” opowiedział czyjeś życie, przedstawił ludzką postać i skonstruował pewien los. Wykonał to nad podziw umiejętnie, z darem niepostrzegalnego zmieniania planów czasowych narracji i z tak naturalnym mistrzostwem środków, że konstrukcja i jej metaforyczny zamysł są całkowicie ukryte w materiale. Z pewnością ta naturalność wymagała niesłychanej pracy, którą przy lekturze odczuwam, co zresztą czyni mi autora bliższym. Rzecz jest o szachiście, ale w istocie o powołaniu. O powołaniu, które staje się obsesyjną abstrakcją, utożsamia się z życiem i musi je zniszczyć w myśl swych reguł. Mistrz szachów Łuzin popełnia samobójstwo rzucając się z okna. To jego ostatni ruch na szachownicy w obronie przed matem grożącym mu od partnera, którego taktykę przeniknął. Partnerem jest jego własny los, obmyślona gra figur, posunięć, sytuacji. Mogłaby to być powieść o naukowcu lub artyście.

Czytając tę pierwszorzędną prozę o niepierwszorzędnym znaczeniu (ale czy w ogóle literatura ma dziś pierwszorzędne znaczenie?) głowiłem się, z jakiej tradycji powieści rosyjskiej wywodzi się Nabokov. Kto był jego literackim protoplastą? Najpewniej Gogol. Łuzin przypominał mi jednak postać już znaną, i to nie z prozy Gogola. Ale nie mogłem ustalić, zidentyfikować pierwowzoru. Dopiero przy końcowych fragmentach, gdy o biednym,

opętanym Łuzinie znajomi jego żony mówią „pocziwy głupek”, uświadomiłem sobie, że jego dziecięca, pokorna dobroć „nawiedzzonego” łączy go z księciem Myszkinem. Nabokov nie stworzyłby takiej postaci, gdyby nie czytał „Idioty”, a prawdopodobnie również pani Łuzin byłaby inaczej napisana, gdyby nie znał kilku postaci kobiecych Dostojewskiego. Otóż Nabokov nie lubił Dostojewskiego. Dał swej niechęci wyraz w którymś z esejów.

Wydawałoby się, że jest w tym sprzeczność czy niekonsekwencja. Myślę jednak, że podobne wypadki zdarzają się często: prawdziwe pisarskie urzeczenie cudzą twórczością przejawia się niejednokrotnie antypatią, oporem. Być może to jest podświadoma obrona własnych treści przed czymś napastującym, obcym, innym. Przed kimś, kto budzi podziw, którego trzeba się wyprzeć i zatrzeć w sobie ślady. Wrogość, jaką odczuwałem w stosunku do Becketta, na pewno płynęła z takich zmańczonych źródeł. Miałem napisać esej o Beckettzie, wyargumentować całą swoją niechęć, żeby się odkazić, wypłuć go z siebie... I po przeczytaniu „Radosnych dni” zatrąłem się jeszcze silniej. Zamiast eseju napisałem „Sposób bycia”.

Spod fascynacji można się wyzwolić przez pastisz. Niekoniecznie przez pamflet. Ironiczne, autoironiczne naśladowanie bywa nieraz zamknięciem wieloznacznych stosunków, sposobem oddzielenia się raz na zawsze od niepokojącej osobowości. Lecz pisząc „Sposób bycia” (krytyka oficjalna w późniejszych recenzjach zaznaczała surowo: to nie jest nasz sposób bycia) nie sądziłem, że mój 200-stronicowy monolog ma cokolwiek wspólnego z Beckettem — co było o tyle uzasadnione, że kierowała mną intencja myślowa wprost odwrotna do „Końcówki”. Po ukazaniu się tomu żaden z krytyków także nie wypatrzył beckettowskich pokrewieństw. Ktoś główną postać nazwał „szczurem”, kto inny *everymanem*, przeważnie zarzucano mi, że postponuję życie w Polsce Ludowej, wydobywając z niego beznadziejność i szarzyznę. Gdzieś napisano po prostu: piła i skecz. Owszem, wytknięto mi wpływy („serwuje zagraniczne dania”), ale nazwisko Becketta nigdzie nie zostało przeciw mnie użyte. W tym czasie, po wydrukowaniu książki, gdy uświadamiałem już sobie zależność jej poetyki od „Radosnych dni”, zadziwił mnie ów brak muzycznego ucha recenzentów.

Niedawno, w początku lata, pewna inteligentna, miła pani przypomniała mi „Sposób bycia”. Mówię „pripomniała”, bo kiedy wymieniła tytuł, odgadła po mojej reakcji, i trafnie, że w pierwszej chwili byłem zaskoczony. — Nie lubi pan tej książki? — Wytłumaczyłem szczerze: jest mi szczególnie bliska i

bardzo daleka. Daleka, mam bowiem wrażenie, jak gdybym napisał ją w odległej epoce. A pisałem ją w epoce klęsk osobistych, do których byłem nieprzygotowany. Zaczęły mnie osaczać tak nagle i gwałtownie, że nie potrafiłem ich ogarnąć żadnym rozumowaniem. I może po raz pierwszy wpadło mi na myśl, że prawdziwe nieszczęścia nie pochodzą z katastrof zbiorowych, społecznych, historycznych: są zawsze osobiste. Usiłowałem więc doszukać się ich przyczyn w samym zjawisku pojedynczej ludzkiej egzystencji. W rodzaju istnienia, na jakie człowiek jest skazany, w jego sposobie bycia w czasie. Przy czym chciałbym podkreślić jedną rzecz: czułem w tym pewien komizm. Od początku widziałem mojego człowieczka-bohatera jako sylwetkę pocieszną, niemal chaplinowską, w jego tragedii zdziwienia własnym losem płatającym mu bezustanne figle. Wydawał mi się podobnie komiczny jak Charlie, kiedy, usunąwszy kołek, o który się potknął, powoduje spuszczenie na wodę ogromnego parowca. W dysproporcji między bezradną nieświadomością praw rządzących życiem a spokojnie nieubłaganą siłą natury kryje się obfitość nieporozumień i przypadków, wieczny g a g. Wyobrażałem sobie mego bohatera zaplątanego we własne sznurowadła, które usiłuje rozsypać w mniemaniu, że wyswobodzi się z więzów ludzkiego przeznaczenia.

Ktoregoś wieczoru w klubie *Pickwick*, na Traugutta w Łodzi, doszło do rękoczynów między Ważykiem a pewnym adwokatem. Było dwa lata po wojnie, w *Pickwicku* spotykali się literaci i aktorzy. Obrażony adwokat wyzwiał poetę na pojedynek, który się nie odbył, ponieważ sekundanci nie zdołali dostarczyć pistoletów (żadna ze stron nie rwała się do szabli). Ale przez parę dni mówiono o tym pojedynku, niepokojąc się zwłaszcza o Ważyka, który wówczas miał wygląd niepoczesny: dziwaczny melanz kota z myszą. Ktoś wtedy powiedział: — Zobaczycie, on zginie, za pięć lat nakręcą film pod tytułem „Śmierć poety” i Ważyka zagra Łapicki. — Andrzej Łapicki, piękny jak kamea, siedział przy sąsiednim stoliku. I właśnie Łapicki kilkanaście lat później zagrał w „Sposobie bycia”.

To była naprawdę odległa epoka. Na dawnym Lesznie, w budynku łoży masonskiej z czasów Królestwa Kongresowego, mieścił się warszawski STS. Teatrzyk odznaczał się jedną szczególną cechą: istniało w nim porozumienie między sceną a widownią. Kto wie, czy nie na tym polega prawdziwy teatr, że aktorzy i publiczność chcą tego samego: ażeby zostały wypowiedziane te same ważne, łączące ich ze sobą treści. W małej salce każdego wieczoru między krzesłami a sceną materializowała się

obustronna świadomość rzeczy nie powiedzianych, widzów z aktorami łączył wspólny podtekst. Tak dalece, że publiczność czuła, kiedy można oklaskiwać i kiedy oklaskiwać nie należy. Po premierowych przedstawieniach zespół dawał prywatny spektakl w bufecie. Dla siebie, dla znajomych. Publiczność to byli znajomi. Taki teatr, rzecz jasna, nie mógł długo istnieć. My lubim duże sale... Kiedy dzisiaj się zastanawiam, dlaczego coraz rzadziej chodzę do teatru, daję sobie odpowiedź, że w obecnym teatrze widownia niczego nie chce od aktorów i aktorzy od widowni. Nie ma żadnych powiązań, nikt po nikim niczego nie oczekuje. Publiczność jak gdyby przyprowadzona, za sceną czuje się urzędnicze szczeble, teatr stał się imprezą organizacyjną. Siedząc w krzesłach, w dużej czy mniejszej sali, mam wrażenie, że do teatru przyszła wycieczka. Ze sceną łączy mnie jeszcze tylko obopólna wiedza o tym, że wszystko, co tutaj zobaczę, było najpierw starannie obmacane i wyczesane przez urzędników.

Miałem wątpliwości, czy w „Sposobie bycia” powinien wystąpić aktor o *emploi* amanta. Ostrzegałem reżysera przed takim eksperymentem, na co Markuszewski wrzeszczał zdenerwowany: — Jeżeli twój facet zagra brzydal, to widownia poczuje nad nim wyższość, nie utożsamia się z nim! A jak zagra Łapicki, wtedy każdy widz w krzesłach pomyśli: ten lepszy gość mówi o mnie... I będzie złapany przez tekst! — Przekonał mnie, miał rację. Łapicki stał z siebie amanta, zagrał przejmująco i zarazem śmiesznie. O to mi przecież chodziło.

Nie byłem na premierze, obejrzałem przedstawienie w miesiąc później. Ale zanim je obejrzałem, doszły mnie odgłosy. Miano mu za złe, że jest śmieszny. Jak to, rzecz o egzystencjalnym cierpieniu, publiczność nie powinna się śmiać! Kiedy twierdziłem, że publiczność ma prawo się śmiać, bo w bólu zadawanym człowiekowi przez życie jest pewien komizm niewiedzy i zaskoczenia, moi rozmówcy milkli nieufnie. Zacząłem rozumieć, że w każdej ocenie artystycznej wyraża się nie tylko smak, lecz przede wszystkim stosunek do siebie. Nieraz decyduje zasób lub rodzaj doświadczeń. W kilka lat po przedstawieniu w STS-ie Łapicki zagrał w „Kaprysie” Musseta rolę wytwornego amanta, który zdobywa piękną kobietę, przyjaciółkę swej żony. Znowu wysuwano zarzuty: uwodzi ją za mało cynicznie, zbyt serio... Jakaż nieznajomość rzeczy! Moment erotycznego zatokowania się mężczyzny nie ma nic wspólnego z cynizmem. Uwodzielec jest wtedy poważny, nad wyraz poważny. Mężczyzna, kiedy mu s t a j e, bywa na ogół patetyczny, mówi o przyjaźni, o miłości, czasami o Bogu. Chwila erekcji zmienia samca w poetę, w mo-

ralistę, nadaje mu wzniosłość. Często zaskakiwały mnie sytuacje, w których jako czytelnik, widz lub świadek czyjś postępowania różniłem się opinią od bliskich mi ludzi. Zawsze u spodu takich rozbieżności w sądach tkwi niejednakowa zdolność rozeznania się w sobie. Prawie zawsze. W jaki sposób odróżnić dobrą grę aktora od złej, jeżeli nie ma się dostępu do siebie samego, świadomości swojej prawdziwej lub fałszywej gry? Można by mnie posądzić o pychę... Zdaje mi się jednak, że właśnie samopoznanie jest warunkiem pokory.

Stosunek publiczności do aktorów, do tych najgłośniejszych i najpopularniejszych, odbija wiele złożonych spraw, to sfera bardzo nieprostej psycho- i socjologii. Czym właściwie są ci ulubieńcy, te żywe wcielenia ludzkich marzeń. Idole! Po filmie „Popiół i diament” na ulicach zaroilo się od sobowtórów Zbyszka Cybulskiego, od chłopców w ciemnych okularach, którzy co drugie zdanie zaczynali od „słuchaj, stary...”. Chcieli wyglądać tak jak on, chcieli być tacy sami jak on. Jak długo to trwało? Rok, dwa lata. Cybulski monologował po knajpach, rzadko spał w domu, nie rozstawał się z powstańczym chlebakiem i menażką. Przy wódce mówił o sobie jako o pogrobowcu generacji rozgniecionej przez czołgi. Żył w micie, który sam stworzył; ktoś o nim powiedział: żył w ucieczce. Po kilku latach publiczność miała go dosyć. Znudził się, opatrzył, krążyły pogłoski o jego nieporządnym trybie życia, o degrengoladzie i braku odpowiedzialności. Kiedyś spotkałem go w „Bristolu”, w nocnym barze. Skarżył się, że w lokalach obrażają go nieznajomi ludzie, bał się wejść na parkiet. — Widzisz, stary... ciągle się mnie ktoś czepia. Panie Cybulski, co pan tak utył, dupa panu rośnie. — Nie wybaczali mu, że tyje, że się starzeje, nie po to go ukoronowano. Ale gdyby Wajda nakręcił nowy film o starzejącym się „idolu”, który przestaje być ulubieńcem publiczności i którego pijani goście lżą w knajpach, i gdyby główną rolę w tym filmie zagrał otyły Zbyszek Cybulski ze swoim chlebakiem przewieszonym przez ramię, ten sam postarzały, włóczący się po lokalach Cybulski, któremu miano za złe, że żyje po śmierci bohatera „Popiołu i diamentu”, gdyby taki film ukazał się na ekranach i publiczność zobaczyła w nim taką właśnie postać — pokochano by ją. Widocznie w życiu, cudzym i własnym, ludzie nie dostrzegają fabuły z bohaterem i trzeba je przepuścić przez sztukę, rzucić na ekran, aby ujrzeli w nim opowieść, fabularny kształt losu. Albo...? Nieraz dopiero śmierć tworzy tę konstrukcję. Kiedy Cybulskiego wyciągano we Wrocławiu spod wagonu, nie wiedział, że ma zmiądzoną wątrobę. Uśmiechał się na noszach

pamiętającej owe lata. Czułem w tym wystąpieniu rachunek nielekkich przemyśleń. Co mi się najwięcej podobało: trzeźwość, samokrytycyzm, zaniepokojenie. Warto przy tym zaznaczyć, że profesor rozpoczął swój wywód od półzartobliwej zapowiedzi: „Być może to, co powiem, niektórych z Państwa zgorszy...”. Był więc świadomy tego, że się narazi publiczności, że wzbudzi jej sprzeciw. Już choćby to samo zasługiwało na szacunek.

Nie było oklasków. — Widziałem, jak w ciągu przemówienia profesora Kieniewicza — powiedział Jacek Woźniakowski, trzeci z mówców — posępniały i wydłużały się twarze Państwa... — Co do mnie, brak oklasków wytłumaczyłem sobie odświętną powagą uroczystości: widocznie audytorium pragnęło uczcić ów rocznicowy wieczór w skupieniu i ciszy. Okazało się, że to była cisza grobowa. Wystąpieniem profesora Kieniewicza publiczność poczuła się dotknięta, uznała je za gorszące. W przerwie słyszałem komentarze pełne irytacji, w kilka dni później do zarządu PEN-Clubu wpłynęły listy z wyrazami oburzenia. O co, za co? Z powodu niezbyt fortunnych zdań końcowych? Otóż nie: za nieposzanowanie patriotycznych uczuć.

Doprawdy, można osłupieć... Jak to, znowu to samo, odwieczne, polskie „świętości nie szargać”? Była w tym jakaś karykaturalność, groteskowa powtórka narodowego samozniewolenia. Po tylu lekcjach krytycznych, demaskujących tę skazę w wierszykach i fraszkach, po Boyu, po Gombrowiczu... Ależ publiczność znała je na pamięć, delectowała się nimi, niektóre zresztą weszły do narodowej tradycji, do czytanek — i co, wystarczyło zebrać w sali elitę polskiej inteligencji, udzielić głosu człowiekowi, który wypowiedział się o ważnych sprawach jak człowiek wolny do ludzi wolnych, nie warunkując się nastrojem słuchaczy, ich uczuciami i życzeniami, to wystarczyło, aby elita polskiej inteligencji natychmiast zareagowała genetycznym skurczem i trzysta osób krzyknęło w duchu: skandal! Tolerancja, liberalizm, respektowanie cudzych poglądów, dekalog cnót obywatelskich (o co się upominamy, przecież właśnie o to!) wszystko od razu poszło w ką. Powtórzono mi później czyjeś — nie wiem czyje — słowa: „Miałem chęć go uderzyć”. Szczerze mówiąc, zadrżałem.

Publiczność ukoilo dopiero trzecie z kolei wystąpienie. Po informacji Aleksandra Gieysztor, który zapoznał gremium z głównymi kierunkami myśli historycznej w Drugiej Rzeczypospolitej, zabrał głos Jacek Woźniakowski, historyk sztuki, intelektualista katolicki. Przemawiał znakomicie. Uwagę poświęcił kulturze międzywojennego dwudziestolecia. Podjął również temat kultury



prawnej narodu, nie szczędząc przykładów gwałcenia prawa w dzisiejszym sądownictwie; zaledwie parę dni wcześniej był obecny na rozprawie toczącej się przed sądem w Katowicach przeciw Świtoniowi, jednemu z czynnych opozycjonistów. Nareszcie sala wezbrała. Spełniło się, wprawdzie przy końcu, ale się spełniło. To, czego oczekiwano. Padły słowa upragnione, nadeszła chwila zadośćuczynienia... powiało tchnieniem cudu. I grzmotnęły oklaski.

Notuję moje wrażenia bez uszczypliwości. Bo wobec kogo? Przeważająca część audytorium to byli znajomi, przyjaciele, ludzie w najwyższym stopniu przyzwoici (to określenie bardzo lubił Dostojewski) i myślący podobnie jak ja. Ale spośród znajomych, z którymi rozmawiałem w przerwie i nazajutrz, jedynie dwóch czy trzech wyraziło szacunek dla pierwszego mówcy. Dwaj inni wyrazili swój szacunek dyskretnie, niejako dla mojej tylko wiadomości. W gruncie rzeczy bowiem uważali pierwsze wystąpienie za niestosowny incydent, za jakąś przykrą sprawę. Dlaczego — przecież o tamtych latach mówił prawdę; przykreść to żyć w społeczeństwie, w którym prawda może być czymś niestosownym. Tak czy owak znalazłem się niemal w izolacji, gdyż wygłaszanie takich zdań, w Warszawie, w Krakowie, powoduje wytrzeszczenie oczu lub smętny półśmiech. I w końcu ja sam komuś powiedziałem: — Czemu się dziwisz? Nie każdy ptak jest pożądany. Przyszli, żeby słuchać łopotu orłów, a usłyszeli stukanie dzięcioła. No, mądrego dzięcioła...

A jednak... co z tym robić? Z ową potrzebą nietykalnego mitu, tak głęboko tkwiącą w ludziach umysłowo wyrobionych. Kieniewicz mógł powiedzieć więcej, o wiele więcej. Pominął Berezę, pacyfikacje i fałszerstwa wyborcze, getta ławkowe na wyższych uczelniach, liczbę bezrobotnych. A mimo to zranił większość obecnych. Uczuliła się wrażliwość narodowa, obrażana przez kilka dziesiątków lat, nabrzmiała, co było jątrzone. I w rezultacie wszystko, cała przeszłość dobra i zła, jasna i ciemna, wszystko dziś połyskuje werniksem cudownych obrazów. Czci się wszelkie duchy przeszłości, okadza się nawet Dmowskiego, postać dla inteligencji polskiej złowieszczą, która narobiła więcej umysłowych szkód niż państwo zaborcze, bo zainfekowała mózgi trzech pokoleń. Stawia się go dzisiaj, na równi z Piłsudskim, w randze drugiego wychowawcy narodu. Piłsudski także nie był wychowawcą, był raczej zwierzchnikiem narodu. Miał w sobie wielkość, rzeczywiście przerastał swych partnerów. ale miał też i niejedną małość, a o jego stosunku do narodu tak pisał na emigracji podziwiający go i bezstronny świadek:

„... Piłsudski, dla którego Polska była jakimś wielkim Zułowem czy Pikiliszkami, że chodził po niej gderząc i dziwaczając, i kijem sękatym poganiał lub popędzał ekonomów i parobków. Swą renesansową bujnością i litewskim uporem, szerokością swych koncepcji i małostkową mściwością, swą osobą i legendą przesłonił i przytłoczył cały okres dziejów Polski i wdarł się w życie każdego z nas”.

Kiedyś przekonywał mnie Andrzej Kijowski: „Nie trzeba tego ruszać, to jest instynkt samozachowawczy, dzięki któremu naród przetrwał”. Instynkt samozachowawczy, dobrze, ale co robić, skoro się jest pisarzem — ulegać, milczeć, pisać o kopulacji? Wciąż powracające marzenie: żyć w normalnym kraju... Pamiętam niezadowolony nos Antoniego, kiedy przeczytał „Wariacje pocztowe”: — Złotko, po co ta irtująca mania szydzenia i poniżania? — Biada nam, pomyślałem, znowu trafiło najzacniejszą głowę.

Jeszcze nie ma zimy, nadeszły ciepłe listopadowe niże i często potarzam w domu mój stary dowcip: lepszy niż nic... Przy takich ociepleniach dokuczają reumatyzm, prawa noga, jakby źle wstawiona w biodro, sprawia mi wiele kłopotu, zwłaszcza przy prowadzeniu samochodu; potem kuleję idąc na obiad. W siedzącej pozycji tę prawą nogę trzeba wyciągnąć naprzód, inaczej powoduje silny ból z promieniowaniem do stopy. Dlatego w kinie wybieram miejsca skrajne po prawej stronie i kiedy mówię do kasjerki: — Proszę o dwa miejsca prawe skrajne — widzę na jej twarzy lekkie zdziwienie. Aby więc rzecz uprościć dorzucam: — Mam dłuższą prawą nogę. — Na ogół kasjerki nie uważają tego za żart.

Wczoraj opowiadano mi o aferach poety Bohdana Chorążuka, opisanych w numerze *Polityki*. Przypomniałem go sobie, długowłosego o promiennie czelnej twarzy i ładnych dużych zębach, jakie miewają wysokie blondynki. Zawsze z uśmiechem. Przyboś wychwalał jego prozy poetyckie, używając swej ulubionej formuły, że „słowa dziwią się słowom”. To było z jakie piętnaście lat temu, później Chorążuk zniknął mi z oczu. A teraz dowiaduję się, co porabiał ów promienny dziwosłów przez ubiegłe lata. Mianowano go dyrektorem przedsiębiorstwa „Estrada”, gdzie wypłacił pół miliona złotych sobie samemu, jako dyrektor autorowi, za dostarczone przez siebie teksty poetyckie. Takie są kariery dzisiejszych Rastignaców, ulubieńców władzy ludowej. Jest ich więcej, ten był nieostrożny. Ale na pewno nie zginie. Przy obiedzie pani Marcelina G. opowiedziała mi o swym nie-

dawnym pobycie w Paryżu. Nie obliczyła się z wydatkami, zabrakło jej na opłacenie rachunku za hotel. — Usiadłam i pomyślałam: ciekawa jestem, jak Pan Bóg z tego wybrnie? — Powtórzyła to w rozmowie z Francuzką, właścicielką hotelu, która — ujęta zabawnym powiedzeniem — obniżyła cenę pokoju. Tak Pan Bóg z tego wybrnął. Z półmilionowego długu poety-dyrektora Pan Bóg z pewnością także wybrnie, znajdują się hojni właściciele.

W tej ludzkiej opowieści jedno daje najwięcej do myślenia. Chorążuk zaczynał jako student filozofii i, jak pamiętam, uczęszczał w seminarium Leszka Kołakowskiego. Odbił więc pewną drogę życiową. Drogę znaczącą. Zastanawiam się ilu młodych ludzi jego pokolenia przebyło taką właśnie drogę: od pytań filozoficznych do dyrektorskiego biurka.

Upadki bywają różne. Idąc Świętojańską spostrzegłem, że mijam kogoś, kto na mój widok nagle zdarł czapkę z głowy ruchem namiętnie skwapliwym, jakby w raptownym zachwyceniu, i równocześnie okręcił się wokół mnie, próbując zabiec mi drogę. Nie przystanęłam, śpieszyłam się do kiosku. W chwilę później dopiero przyszło mi na myśl, że to był Dziobak. Nie wybrany do Zarządu, strącona, mrugająca gwiazda. Dawno temu, gdy byliśmy jeszcze redakcyjnymi kolegami i chciano go pozbawić etatu w następstwie jakichś finansowych ograniczeń, skłoniłem redaktora (Stefana Żółkiewskiego), aby podzielił mój etat na dwie połówki, jedna przypadła mnie, druga Dziobakowi. Nazajutrz Dziobak wzruszony podszedł do mnie ze swym wężącym, niespokojnym nosem, żeby mi podziękować. A wkrótce, kiedy nie byłem już członkiem redakcji i Żółkiewski też przestał być redaktorem, właśnie Dziobak w surowej, pryncypialnej recenzji, stylem krzepkim i po żołniersku optymistycznym, potępił moją nowo wydaną książkę. Nie była to rzecz szokująca, domyślałem się, że nie pisał jej w porywie oburzenia, raczej po jakiejś rozmowie: napiszcie, towarzyszu... I w głębi duszy nie miałem mu tego bardzo za złe. Dziobak był płochliwy, źle znosił ciśnienia odgórne, ale nie był rasowym naganiaczem. Mniej więcej w tym czasie przypadła mi warta honorowa u trumny Broniewskiego w Pałacu Prymasowskim. Podchodziliśmy czwórka, by zmienić stojących kolegów, miałem zająć miejsce Dziobaka. Tymczasem Dziobak, czy się nie spostrzegł, czy popadł w zadumę nad życiem, dość że nie ruszył się, kiedy stanąłem za jego plecami. Rzuciłem więc szeptem: — Twój czas minął... — Wtedy drgnął i zbladł. Lecz jego czas wcale nie minął, skądże, dopiero się rozpoczął. W następnych latach Dziobak zakwitł setką kwiatów. Został

prezesem Oddziału i wiceprzewodniczącym Rady Narodowej, udzielał wywiadów dla prasy, otrzymał jakieś wysokie order, a nawet — co jest szczególnie znaczące — fotografowano go na tle Zamku. I on był jednak nieogłębny. Stracił rozwagę: przed wyborami do Zarządu obiecywał kolegom mieszkania, a po wyborach ich unikał albo tłumaczył się niespodzianymi trudnościami. Poza tym w ogóle stał się zbyt widoczny i eksponowany, jak gdyby w dysproporcji z własną szarą postacią, czego nie zapisywano mu na plus. Mówiono, że intryguje, zagarnia pod siebie. Minęło jeszcze parę lat, gdy za granicą doszła mnie wiadomość o klęsce Dziobaka. Nie wybrano go, dostał za mało głosów.

Tak to jest. Szary Dziobak i fioletowoszkarłatny wiceprezes, i wielu, wielu innych, toczą po tamtej stronie prawdziwie śmiertelne walki o byt. Zdawałoby się, że ten ich byt nie ma cech realnych — lecz oni dobrze wiedzą, czego chcą. Chcą być obecni jeszcze tutaj, już teraz. To jest tożsamość całkowicie wymierna, przeliczana na stutysięczne nakłady, na masową transmisję. Walczą o powielenie swojej obecności. Są zresztą rozmaici, mniej lub więcej drapieżni, niektórzy zapewne przekonani o własnej racji, inni być może uplątani we własne słabości. I jeszcze inni: obezwładnieni łaską i dobudowujący do tego filozofie, postawy, małe racje stanu. W listach, które dostałem od posłów na Sejm PRL (w odpowiedzi na apel o powołanie komisji sejmowej po wypadkach w czerwcu 1976) zawarło się sporo podobnych akcentów.

Życie w normalnym kraju... w Islandii! Ale zanotowałem kiedyś zdanie amerykańskiego biologa, Salka: „W strefach zaburzeń normalnego układu życiowego poznajemy istotne prawa gatunku”.

Dla literatury w tej „anormalności” istnieje pewna szansa: odnowiona możliwość arystokratyzmu. Szansę tworzy konflikt pisarza z reżymem. W zejściu do kameralnego podziemia, w półdobrowolnej izolacji przejawia się nowa żywotność: jest to odruch wyłączenia się z kultury masowej, oddzielenia się od twórczości kupionej. Status pisarza reżymy oferują każdemu, kto spełni zastrzeżone przez władzę warunki. Literatura odpowiada: pisarzem jest ten, który nie przyjmuje oferty. W związku z tym historyczne przypomnienie. Upadek piśmiennictwa w Rzymie m.in. został spowodowany — tak sądzi Pliniusz młodszy — jego powielaniem, lekturami publicznymi, które zniszczyły dawną elitarną literaturę zwojów.

Literatura... Nie ma jej wiele na świecie, czyżby maszyny

ją zjadły? Kiedy ostatnim razem widziałem Sartre'a, mówił, że jest szczęśliwy, odkąd przestał pisać — że pozbył się nerwicy: literatura to przypadłość, rodzaj ostrej nerwicy. Przyszło mi wtedy na myśl, iż wyczerpanie twórcze podsuwa rozmaite formuły usprawiedliwiające. Mickiewicz, gdy nie mógł już pisać, twierdził, że minął „czas książek”. I przypomniałem sobie Sartre'a sprzed lat, w czasie jego pobytu w Warszawie. Spotkał się w Muzeum Mickiewicza. Obejrzał jego dagerotyp z lat 40-tych, a potem przystanął przed fotografią zrobioną niedługo przed śmiercią. — *Quelle fatigue...* — powiedział. Było to zdjęcie posiwiącego Mickiewicza, takie samo stoi na mojej półce: otyły, z kijem w rękę, podobny do starej kobiety.

W zeszłym tygodniu rozmawiałem z JMR o jego pracy nad nową książką. Pisze o Słowackim. Mówiliśmy także o przyczynach zamknięcia Mickiewicza. Zdaje się, że trafił mu do przekonania mój domysł: w tym czasie opadła fala poezji romantycznej, zmieniał się język literatury, nadciągnęła epoka powieści. Próbował nowego gatunku, napisał „Pana Tadeusza”, powieść wierszem, i po ukończeniu arcydzieła mruknął przyjacielom Litwinom: „więcej do fraszek nie siadam”. Coś się zużyło, wyczerpało. Inni z pewnością również to odczuwali. Puszkina pisał już prozą „Córke kapitana” i „Damę pikową”, Wiktor Hugo w roku Powstania Listopadowego opublikował swoją pierwszą powieść, „Notre-Dame de Paris”. Równocześnie wstąpili na rynek romansopisarze, z gigantem sukcesu, Balzakiem, na czele, i przynęcili publiczność swymi fabułami — wulgarni, sensacyjni, plotkarscy. To musiał być wstrząs. W kilkadziesiąt lat później analogiczny szok spowodowało wtargnięcie filmu do sztuki: jarmarczna rozrywka, latarnia magiczna zaczęła wyręczać narracyjną wyobraźnię prozaików. A co teraz, co dalej?

Spotkałem wczoraj znajomą mi od dawna młodą kobietę, przeżywającą literaturę po staremu, zeszlowiecznie, z podziwem i oczarowaniem, co niebawem śmieszy jej męża, konstruktora maszyn. Uważa ją za wariatkę, krzyczy na nią, że literatura to niepoważne zajęcie, czyste zawracanie głowy! Nieszczęsna broni się jak umie, Szekspirem, Mickiewiczem. Inżynier wzrusza ramionami: kiedyś... dawniej... może... A w końcu pęka ze śmiechu: — Dla mnie ten wasz Szekspir to także powietrze! — Interesują go wyłącznie elektroniczne maszyny. Elektronika to przemysł, przemysł to produkcja, produkcja to... Kogo nakarmił Szekspir? Marli wtedy z głodu! — Ale poza tym on jest dobry człowiek — mówi jego żona ze smutkiem.

Czytam właśnie na nowo „Idiotę” (zachęcił mnie Nabokov

swoją „Obroną Łuzina”) i trafiłem na takie zdania: „Zbyt hałaśliwie i fabrycznie zaczyna się robić na świecie, za mało spokoju duchowego... Niech tam, ale turkot wozów wiozących chleb dla głodnej ludzkości jest może lepszy od duchowego spokoju... Nie dowierzam wozom wiozącym chleb dla ludzkości! Albowiem wozy wiozące chleb dla ludzkości, bez moralnej podstawy działania, mogą usunąć znaczną część ludzkości...”.

Trudniej jest być pisarzem dzisiaj niż przed stu laty, gdy powieść ofiarowywała się każdemu, jak lustro na gościńcu: kiedy literatura nie stanęła jeszcze wobec pustych, ogołoconych przestrzeni, z których straszą pytania-widma. A w Polsce jeszcze trudniej być pisarzem niż gdziekolwiek indziej, bo tutaj literatura ciągle się ugina pod dziedzictwem poetów romantycznych, którzy przekazali jej obowiązek stwarzania narodowego cudu. Jest w tym piękno i zaszczyt. Ale to ciśnie — krępuje osobowość, indywidualne człowieczeństwo. Tkwiąc w swej zbiorowej inności, sylwetki mamy niezbyt wyraziste; jakże tracimy w porównaniach, choćby z Rosjanami, z ich krańcowymi, wydatnymi typami: z Dostojewskim, Gogolem, Tołstojem, Majakowskim, z Jesieninem i Sołżenicynem, z ich samobójstwami, katogą i szaleństwem. Tłumaczyłem jakiemuś zaciekawionemu Polakowi Anglikowi, że z tradycją naszej literatury wiąże się emigracja, podobnie jak z tradycją rosyjskiej — katoga. Ale i tak niewiele rozumiał. W krótki czas później usiłowałem wytłumaczyć komuś w Warszawie rolę *c u d u* w polskiej kulturze. Mówiłem o niedowładzie polskich fabuł, z których niejednokrotnie sami przecież drwimy (polska harfa eolska...) i o tym, że nie przeszliśmy przez szkołę historycznych doświadczeń fabularnych, jakie tworzyły literaturę w krajach mających dwór, mieszczaństwo, kolonie i policję. Dwór był szkołą intrygi, mieszczaństwo szkołą kariery, kolonie szkołą przygody, a policja — szkołą rekonstrukcji zbrodni. To są podstawowe elementy fabuł: intryga, kariera, przygoda, zbrodnia. Te kraje wydały Moliera, Defoe'go, Balzaka i Conan-Doyle'a. W Polsce nie istniał dwór typu wersalskiego, centralne ognisko wielkich intryg; mieszczaństwo było zapóźnione, słabo rozwinięte; kolonii nie mieliśmy („Robinson Crusoe” nie mógłby powstać w kraju bez kolonii), nie mieliśmy też policji kryminalnej w stylu Scotland Yardu. Ale mieliśmy Cud. Tylko w polskim języku słowo „cud” rymuje się z „ludem”. Cud tkwił w liturgii kościelnej, nabożeństwo katolickie jest już samo w sobie konstrukcją fabularną — irracjonalną, nadrealną. Mieliśmy ponadto świadomość niewoli, z jej sublimacjami — pogardą śmierci, wiernością, honorem, z jej problematyką buntu,

kompromisu i klęski, i mieliśmy wybuchy geniuszu, utwierdzające wieczną nadzieję cudu: przeobrażenie Gustawa w Konrada, weselną szopkę z duchami i wizje szklanych domów. I może dlatego, poza „Faraonem”, tak mało precyzyjnie zbudowanych powieści, a z wyjątkiem Fredry i Zapolskiej — dobrze skonstruowanych dramatów.

Barokowa i romantyczna cudowność jest zakodowana w polskim myśleniu o życiu i literaturze. Zamracza i świta, przytłacza i opromienia. Czujemy jej łaskotanie w piętach, tę zapierającą dech możliwość skoku ponad siebie, ponad rzeczywistość, w marzenia, w bohatera... Wskreszenie Niepodległej, czy nie było cudem? Sam Pan Bóg zdaje się nas zachęcać. Niby w odpowiedzi na partyjne hasło „Polak potrafi”, wskazuje palcem Wadowice. Zostać Papieżem? Polak potrafi. b.!

Sto kroków od mojej bramy. Przez dwadzieścia lat zatrzymują się przy niej cudzoziemskie wycieczki, przez dwadzieścia lat słyszę ten sam ochrypy baryton:— *That is the old gothic door of fifteenth century!* — Po czym rozlega się turystyczne ćwierkanie, wycieczka ogląda moją bramę. Od dwudziestu lat przeklinam tego człowieka i nienawidzę jego chrypki. Dopiero przed miesiącem, wracając do domu, zobaczyłem go po raz pierwszy. Był niemłoda kobietą o ciemnych uśmiechniętych oczach, którymi zerknęła na mnie nie bez sympatii, jakby rozumiejąc moje wieloletnie udreki. Miała zabłocone buciuki. Odtąd, kiedy dociera do mnie z dołu jej baryton, nie czuję nienawiści.

O sto kroków od mojej bramy dzieje się cud. Nie literacki: cud prawdziwy, z cudotwórcą, który przyjechał z Anglii. Między Barbakanem a Świętojerską od rana stoi tłum. Ludzie na wózkach, mężczyźni z dziećmi na ręku, starcy, sparaliżowane kobiety, synowie pchający matki w ruchomych fotelach, sporo ludzi o na pozór zdrowym wyglądzie, wiele młodych twarzy. Wyloty bocznych ulic zatarasowane samochodami, podjeżdżają karetki pogotowia. Tłum czeka godzinami, co pewien czas odzywa się megafon spod kościoła św. Jacka, wywołując numery i nazwiska. Uzdrowiciel, Clive Harris, leczy dotknięciem dłoni. Chorzy przesuwają się kolejno, słysząc głos tłumaczki: — Head... Leg... Breast... — Uzdrowiciel, z przymkniętymi oczami, dotyka głowy, ręki, piersi. Podobno odejmuje ból, od jego dotknięcia cofają się nowotwory. Harris jest czterdziestoletnim mężczyzną o drobnej budowie, małych rękach i stopach; ma w sobie coś chorowitego, jakąś kaleką chłopięcość. Dotyka chorych jakby w transie. Uzdrowiciel z powołania, emanuje z siebie — tak

słyszałem — fale elektromagnetyczne. Co parę godzin wypija dwa, trzy kubki mleka. Cud polega również na bezinteresowności. Harris nie bierze pieniędzy.

Opowiadała o tym pani Helenka, która przyszła do nas na zreumatyzowanych nogach, żeby odpocząć po pięciu godzinach wystawiania w tłumie. Przyszła wstrząśnięta, w srebrnym lisie, filcowym ceglastym berecie i z kolczykami w uszach. Od ośmiu lat nie pracuje już u nas, ale pracowała lat dwadzieścia, polecona po wojnie przez panią Bronię, dawną gosposię ciotki Klimy Heyman, nieżyjącej siostry mojej matki. Odłożyłem robotę, żeby porozmawiać. Rozmawialiśmy o chorobach, o zmarłych, o drożyznie. Pani Helenka ma 79 lat. W szesnastym roku życia przybyła do Warszawy na służbę, w czasie pierwszej wojny znalazła się pod Kazaniem, podczas drugiej została deportowana do Niemiec; szła pieszo pędząc stado zarekwirowanego bydła, wróciła po trzech latach, znowu pędząc bydło. Jest dziś emerytką, pobiera 1.500 zł renty i skarży się jedynie na swoje opuchnięte nogi, których przed godziną dotknął Cudotwórca. Cudotwórca? Obrzuciłem wzrokiem lisa i kolczyki. — Przecież to chyba pani jest cudotwórczynią... — Pijąc herbatę odginała mały palec. — Proszę pana, ja jeszcze odkładam na książeczkę. — I widząc moje zdumione spojrzenie, zwróciła się do mnie twarzą starego, niegłupiego wróbla, na pewno trafnie odgadując, co myślę. A właśnie pomyślałem, na co może odkładać prawie 80-letnia rencistka, dlaczego nie wydaje swego półtora tysiąca w całości, jaka potrzeba, jaki cel przyświeca temu życiu, tak już bliskiemu kresu. — Na pogrzeb już odłożyłam — kiwnęła głową — a teraz składam na pomniczek.

Zrozumiałem. Po jej stronie była racja. Ta sama, która mnie każe codziennie parę godzin siedzieć w fotelu nad blokiem i odkładać słowa, linijki, kartki. Ależ naturalnie. Każdy pragnie zostawić po sobie jakiś ślad. I nawet jeśli to jest cel złudny, nadzieja urojona, życie bez nich byłoby niemożliwe, do gruntu niemożliwe. Patrzyłem na panią Helenkę z atencją i solidarnym uznaniem ciułacza, byliśmy współnikami jednej sprawy, a różnice, jakie nas dzieliły, wydały mi się doprawdy nieistotne. I po jej wyjściu, gdy znowu usiadłem do pracy i M. weszła do mnie, by usłyszeć, co ja o tym myślę, powiedziałem znad bloku zanim zdążyła się odezwać: — Ja także odkładam na pomniczek.

W dniach, kiedy Harris uzdrawia dotknięciem ręki u św. Jacka, od kilku miesięcy w całym kraju daje się we znaki brak lekarstw. Wiele aptek wywiesiło szyldziki ze znieawidzonym



napisem „Remont”, w szpitalach brakuje leków kardiologicznych. Bo gdzieś na jakimś ministerialnym szczeblu skreślono wydatki na import; nie sprowadza się z zagranicy również składników niezbędnych dla farmakologii krajowej. To bardzo wzburza ludzi. Przy czym, jak zwykle, największą wściekłość powoduje obłudny jezor *mass mediów*. Już we wrześniu telewizja nadała rozmowę prowadzoną przez kilku znanych lekarzy. Temat: plaga lekomanii i jej społeczna szkodliwość. Rozmowa w duchu obywatelsko-dydaktycznym, ani słowa o trudnościach w nabyciu leków, dominował ton dobrotliwej perswazji: po cóż wam tyle recept, drodzy państwo, zbyt często stosowane leki szkodzą zdrowiu... I to nade wszystko doprowadza do szału — nieuczciwość zabiegu, paskudny chwyt sofistyczny. Jest w tym coś gorszego niż kłamstwo.

Niedawno przeczytałem „Mój wiek”, tom zredagowany przez Miłosza z magnetofonowych nagrań jego rozmów z Aleksandrem Watem. Wat, który cierpiał na niemoc pisarską, był genialnym rozmówcą. Zawsze mi przypominał obu monologistów z „Czarodziejskiej góry” (obu naraz, nazywałem go skrzyżowaniem Napty z Settembrinim) i w taśmach autobiograficznych przekazał niebywałą, urzekającą sugestię swego oralnego eseju. „Mój wiek” opowiada o satanicznych doświadczeniach humanisty z komunizmem, o autohipnozie w zamkniętym kręgu ideologii, o śledztwach, celach więziennych, deportacji. Jest to tekst ustny, zapisany głos, i dzięki temu mimowolnie osiąga naturalność makabrycznej gawędy pod lipą, opowieści intelektualnego szlachcica o swoich przygodach w jasyrze. Oprócz narracji jest w niej nieustannie obecna refleksja, analiza. W jednej z dygresji Wat mówi o istocie komunistycznego systemu i zaszczepionej mu „zdradzie słów”, a w którymś miejscu — cytuję z pamięci — określa tę mefistofeliczną sztukę jako zastąpienie kłamstwa przez prawdę.

Kłamstwem byłoby twierdzić, że szpitale i apteki są dostatecznie zaopatrzone w lekarstwa. Otóż telewizja i gazety nie kłamią. Mówią tylko: ludzie w Polsce zażywają nadmiernej ilości leków. Na pewno jest w tym jakaś prawda. Ale w wypadku, gdy na rynku lekarstw braknie, taka prawda spełnia rolę kłamstwa.

W środę podwieczorek z udziałem mademoiselle R., którą znam jeszcze z Paryża. Prócz nas było parę zaprzyjaźnionych osób. Rozmowa przerywana rykami zalanego Pika. — Z kim śpi ta kurwa?! — Przyszedł po ćwiartce. Chudy, ciemny, siedzi

naprzeciw mnie, z wilczą twarzyczką i nowymi, białymi zębami, nie mówi po francusku. Niesamowitość zasypujemy rozpaczliwą konwersacją. Julek S. opowiada o rocznicowej uroczystości u Grobu Nieznanego Żołnierza, gdzie zeszło się tysiące ludzi (milicja niewidzialna, ukryta na zapleczu w bocznych ulicach). Tysiące ludzi śpiewało „Boże, coś Polskę” i „Rotę”. Później przez chwilę rozmawiamy o Sartrze. Miesiąc temu mademoiselle R. minęła na Montparnassie siwego *clochard*'a w czarnych okularach, który wydał jej się podobny do Jean-Paul Sartre'a. W zeszłym tygodniu, na dzień przed wyjazdem, znów szła przez Montparnasse i niedaleko „Coupole” spostrzegła Simone de Beauvoir prowadzącą pod rękę tego właśnie *clochard*'a. Sartre ociemniały, Sartre małeńki, zarośnięty, w obstrzępionych spodniach. Jeszcze w 76 latem czytałem jego wywiad w *Nouvel Observateur*. Był wtedy po pierwszym wylewie, przestał widzieć. Twierdził, że wylew nastąpił wskutek zbyt intensywnej pracy nad książką o Flaubercie: pisał ją na środkach podniecających. — Ty! — wołał Pik — mam w dupie Francuzów! — Wyszczersza na mnie perłowe zęby: — Co się podlizujesz tej paryskiej kurwie? — Ktoś go uspokaja, Artur chce ratować sytuację, chwytą się za temat kultury śródziemnomorskiej. Pik wyjmuje protezę, żeby ją pokazać zaproszonym paniom: — Patrz, kurwa, dałem trzy tysiące! — Strach, cisza. Mademoiselle R. wyraża podziw dla rekonstrukcji zabytków warszawskich. I w końcu Pik zaczyna urągać mnie i jeszcze komuś. — Jajami! — wyje — kurwa, pisze się jajami! — A teraz zaśpiewajmy, myślę, zaśpiewajmy chorał, żeby Francuzka miała pełny obraz naszego artystycznego życia.

Tymczasem, i to jest może najdziwniejsze, mademoiselle R. wydaje się ukontentowana, wyraźnie jej się podoba intelektualny salon warszawski i widzę już w jej oczach odkrywczy błysk, z jakim wylądował na Orly: „*On est très slave là-bas, vous savez, c'était comme de Mrozek... de Gombrovitch...*”. Kiedy żegnamy się u wyjścia, z salonu słychać: — A ja pierdolę tę bladź...

## grudzień

Od tygodnia mróz, rano dochodzi do 10 stopni. Dwa miesiące, przeszło dwa miesiące spędzone w Warszawie, sześćdziesiąt kilka dni bez podróży i spakowanych walizek, bez przerw czy zmian w trybie życia. Dwa pełne miesiące: o 8-ej kąpiel, trzy godziny pracy, trochę przepisywania lub korespondencji, obiad w Klubie, później spacer, czyjaś wizyta albo kino, wieczorem

parę telefonicznych rozmów, płyty, telewizja... i wreszcie cisza, książka... Północ. Jakież to błogosławione w swej powtarzalności. Każdy dzień prawie identyczny z poprzednim i następnym, nie czuje się upływu czasu, minuty, godziny przemienione w inną, pewniejszą strukturę — przedmiotów, czynności, słów — jednorodną i stałą, najzupełniej szczelną. Ani jednej szpary przepuszczającej lęk. Życie zagospodarowane i pogodzone ze światem. Ani sekundy poczucia kresu, zwątpienia o sensie.

Córka Stalina zanotowała w swoich książkach parę ciekawych obserwacji i faktów. Stalin nie lubił zmian w trybie życia, bardzo niechętnie podróżował, zawsze jadł to samo i mieszkał tak samo, w bliźniaczo umeblowanych wnętrzach. Wszystkie rezydencje Stalina były urządzone identycznie: ten sam rozkład, te same biurka i kanapki, na półkach te same książki. Przenosząc się spod Moskwy na Krym mógł czuć się tak, jakby nie zmienił miejsca pobytu. Wszędzie tak samo, żadnych różnic. Widocznie bał się zmian. Bał się zmian, ponieważ bał się czasu: każda zmiana to fizyczny znak czasu prowadzącego do śmierci. A władcy szczególnie nienawidzą śmierci. Nienawidzą rzeczy, wobec których są bezsilni, których nie mogą wyaresztować i unieszkodliwić. Dla despotów czas jest podwójną tragedią. Zbliża nie tylko ich życie do końca, zwiastuje koniec ich władzy.

Podobne skłonności cechowały Franciszka Józefa. Ta sama uderzająca niechęć do najmniejszych odchyłek w codziennym rytmie życia. Niezmiernie interesujące szczegóły podaje w swojej książce Grodziski. Cesarz żył w świecie jakby skamieniałym, zatrzymanym w czasie. Nawet zegarek był mu niepotrzebny: budził się co do sekundy o tej samej godzinie, w czterdzieści minut później zasiadał do biurka. Przebieg cesarskich audiencji utrwalił w kilku nieodmiennych gestach i zwrotach, na spacerach chodził ustaloną raz na zawsze trasą, latem wypoczywał rokrocznie w tej samej miejscowości. Zwracając ministrom przestudiowane raporty o sytuacji państwa, przez lat sześćdziesiąt osiem za każdym razem powtarzał to samo zdanie: „Dziękuję panu, bardzo mnie to ucieszyło”. Powtórzył je po raporcie o klęsce pod Sadową. Przez kilkadziesiąt lat o przewidzianej porze dnia wypijał filiżankę bulionu, przez pół wieku palił cygara jednej marki. Nie zmieniał nawet chorób: chorował i umarł na bronchit. Opięty zawsze tym samym uniformem, całej swej postaci nadał hieratyczną sztywność i odwieczność, która przezwyciężyła czas. Świat walił się dokoła, a on trwał wyprostowany, bez drgnięcia, z parą bokobrodów nad złożonym wysokim kołnierzem. Dopiero

kiedy umarł, okazało się, że cesarstwo nie istnieje. Śmierć była pierwszą zmianą, jakiej uległ.

Wszystko to bardzo interesujące, tylko jedno mnie niepokoi: że ja w tym jestem na trzeciego. Wydawałoby się, że z kim jak z kim, ale ze Stalinem i Franzem Josephem nie łączą mnie wspólne cechy charakteru. Tymczasem proszę, w mojej życiowej domenie mam niewątpliwie podobne zamiłowania. Skąd to pokrewieństwo?

Nie wiem, poczekam się jednak innymi, mniej żenującymi przykładami. Wspominam czyjeś słowa wypowiedziane o Kancie: „Prawdziwa wielkość Emanuela Kanta polegała na tym, że przez całe życie ani razu nie wyjechał z Królewca. Reszta to były dodatkowe okoliczności tego wiekopomnego dzieła”. Niedawno przytoczyłem ów cytat w rozmowie z Jackiem Bocheńskim — w odpowiedzi na jego pytanie, czy zamierzam wrócić do Berlina Zachodniego, aby dokończyć przerwany w zeszłym roku mój stypendialny pobyt. Zwykle takie pytania kwituje się niezbyt wyrażną reakcją, jakimś „może” albo „na razie”. Z Jackiem nie umiem tak rozmawiać. Próbowiałem mu rzetelnie wyjaśnić, dlaczego nie wrócę do Berlina. I wcale to nie okazało się łatwe. Oczywiście: choroba, niedobre wspomnienia. Poza tym: Niemcy...

Co mnie prześladowało w Berlinie? Może, gdyby przenieść pojęcie „zapachu” w dziedzinę psychologii, powiedziałbym, że w ciągu tych czterech miesięcy przeszkadzał mi niemiły, przygnębiający zapach. Nie oddychałem lekko tamtejszym powietrzem. Wszystko: twarze ludzkie, dźwięk języka, fasady domów, klomby Tiergartenu, wszystko było przesłonięte — niby oparem czy gazem — pamięcią atakującą mózg. Właściwie przez cały ten okres żyłem przyduszony, na półoddechu, jakby w obawie, żeby się nie zakrzusić. Kilkanaście lat temu pisząc „Dżokera” zadałem sobie pytanie: co się dzieje z winą po jej odpuszczeniu? Nie miałem zresztą na myśli lat wojny, pytanie nasunęło mi się w związku z czymś innym. Wraziłem domysł, że odpuszczona wina zostawia po sobie jakiś ślad, jakąś niematerialną pozostałość, i że ta pozostałość trwa mimo przebaczenia. Nadzwyczaj trudno używać tu pewnych określeń. „Przebaczenie” nie jest słowem jasno tłumaczącym mój obecny stosunek do Niemców. O wiele ściślej byłoby powiedzieć, że mój stosunek do Niemców się zmienił, ponieważ zmieniły się Niemcy. W Niemczech żyją dziś inni Niemcy. Inni, to znaczy młodszy, później urodzeni: po zbrodni albo pod koniec zbrodni. Wina, ekspiacja, odpuszczenie — czy takie pojęcia w ogóle mogą się odnosić do

dzisiejszej masy niemieckiej, której średnia wieku nie sięga pięćdziesiątki? Przypominam sobie aforyzm, bodaj czy nie de Gaulle'a: „Problemów się nie rozwiązuje. Problemy odchodzą”. Słuszniej byłoby powiedzieć, że wina odeszła. Lecz coś po niej zostało i właśnie o tym myślę — o tym czymś niemłym, ciężkim, mdlącym, a tak trudnym do nazwania jak zapach.

Berlińskie powietrze... Być może chodzi tu istotnie o powietrze, o to samo niebo nad tym samym miejscem. Przecież od tego miejsca się zaczęło. Walić się zaczęła nasza wiara w opatrność, w nieprzekraczalne granice zła. Wiara lub raczej przeświadczenie. Ale fundamentalne, niezachwiane, jak wiedza o prawach natury. I ta zawalona pewność przesunęła w nas łożysko świadomości, odtąd każdą ludzką rzecz widzimy z perspektywy tego zawalenia, poprzez tamtą ciemność. Mówię *my* i *nas*, co jest zrozumiałe, skoro wszystko przeżyliśmy we dwoje, razem. Po pięciu studenckich latach pięć wspólnych lat wojny. Kiedy poznaliśmy się niecały rok przed maturą, w tym samym roku, może trochę później czy wcześniej, ale na pewno w tym samym roku — w Berlinie objęli władzę naziści. W 39 pod koniec czerwca pędziłem do niej w dorożce z Uniwersytetu, żeby opowiedzieć o moim dyplomowym egzaminie; miasto o tej porze było niezwykle rojne, pamiętam zalane słońcem skrzyżowanie Alei Jerozolimskich z Bracką, jakoś szczególnie wesołe i tłoczne. Potem okupacja kojarzyła mi się ze zmorą egzaminów i któregoś dnia powiedziałem: — Zetną mnie, nie przejdę przez ten rok. — Ale przechodziłem. Przeszliśmy oboje i po latach znaleźliśmy się tutaj, dalej razem, żywi, jednakże mocno zdziwieni, a nawet trochę przestraszeni nieoczekiwanym kołem, jakie los zakreślił, by nas przyprowadzić właśnie do Berlina, na to samo miejsce, z którego wyszedł plan katastrofy. Na to samo miejsce. Chciałbym to powtórzyć. Nie o Niemcy tu chodzi, lecz o miejsce, o miejsce, o centrum sejsmiczne katastrofy: runięcia naszych wyobrażeń o świecie. Prawdopodobnie dla ludzi, którzy przebyli wojnę pod Kołem Polarnym, takim miejscem stała się Moskwa.

Po cośmy tu przyjechali... Rok w Berlinie miał być okresem regeneracji serca po jesieni przechorowanej w Paryżu. Niewiele lekarstw, kontrolne analizy krwi, a przede wszystkim spokój i spacer. Tymczasem wkrótce po przyjeździe zaczęła mizernieć, tracić siły; była coraz bledsza. Nie domyśliliśmy się, że to jest nowa choroba, bóle wystąpiły później. Lecz zanim do nich przyszło, próbowaliśmy ułożyć sobie to berlińskie życie. Chodziliśmy na długie spacer, jadaliliśmy w chińskich restauracjach. Mieliliśmy już nawet przyjaciół. Wydawałoby się, że wszystko jest na

lepszej drodze. Tak by się wydawało. Ale nie było, czułem w tym pewną nienormalność. Jakby to określić... Żyłem w podwójnej smudze czasu, w jakimś wynaturzonym planie przeszłoterazniejszym, wciąż się rozszczepiającym na wtedy i teraz. Przykładając je do siebie i nie umiając ich skleić, doznawałem uczucia niewygody z jednoczesnym dreszczykiem sensacji. Było w tym również coś z zeza. Jednym okiem patrzyłem, drugim widziałem co innego. Patrząc na ładne kobiety w „Café Möhring”, widziałem okupacyjną „Fregatę” i nas dwoje siedzących przy stoliku blisko wyjścia; mówiłem wtedy, że nie przeżyję wojny, na co się oburzyła: „To bzdura! Daję ci słowo honoru, przysięgam na własne życie!”. Teraz, w którymś z najgorszych dni, kiedy mi powiedziała, że nigdy nie wyjdzie z tej choroby — teraz ja wpadłem w oburzenie, ja krzychałem, że to bzdura, przysięgałem i dawałem słowo honoru...

Więc po to przyjechaliśmy. Wszystko niezbyt wesołe, no i trochę dziwaczne. W końcu pragnąłem już tylko jednego: wrócić. Zaczął mi się śnić fotel pod oknem i miejsce, gdzie leżą długopisy. Śniłem o życiu bez przygód. To znaczy o moim prawdziwym życiu, w którym ja sam wymyślam przygody. Niewykluczone, że podobne sny miewają biurokraci i tyrani.

W gruncie rzeczy moglibyśmy się nadać na parę bohaterów killkutomowej powieści. Gimnazjalna miłość i uniwersyteckie niby-narzędzieństwo, z ciemniejącym za naszymi plecami groźnym tłem. Polityka, ideologie... I wojna. Nasze okupacyjne wódki i romanse, tak blisko ocierające się o śmierć, zmiany mieszkań, ucieczki (z ciekawą sceną mojej dwukrotnej ucieczki w Alei Niepodległości i nałożenia mi kajdanków), a przedtem mój pierwszy rękopis i wieczór autorski, później wyjście z Warszawy i obóz w Pruszkowie, gdzie podrobiłem niemieckie zwolnienie lekarskie, i potem nasz ślub w wiejskim kościele, wśród migocących świateł. Boże drogi, cóż to za materiał na powieść-rzekę, na sagę! Gdybym ją mógł napisać. Otóż nie. Nie mogłem. Widocznie zaważyły się nie tylko nasze wyobrażenia o świecie, lecz także ich formy. Prawdopodobnie u źródeł tych dawnych wielotomowych powieści tkwiło przekonanie o elementarnej trwałej równowadze życia i śmierci w naturze, i to przekonanie runęło. Zbombardowano gościńce i lustra na gościńcach. Pozostały rozrzucone kawałki szkła, które trzeba na nowo układać.

Latem, po powrocie do Warszawy (dwie berlińskie karetki pogotowia, zachodnia i wschodnia, samolot, i na płycie Okęcia znowu karetka pogotowia), mniej więcej w trzy miesiące po

kiem, pieseczkciem, psiaczkciem, piesiuniem czy piesiem. Poza tym można *spieć*, mieć *pieski* humor czy *psi* węch. Zielień jest kolorem. Ilość przymiotników, imiesłowów i czasowników, które można wydobyć z *zieleni*, nieskończone manipulacje za pomocą przedrostków i przyrostków czynią z koloru walor semantyczny. Wreszcie można dowolnie przemieszczać w zdaniu *psa* i *zielen*, osiągając za każdym razem odmienny efekt znaczeniowy. Jest to możliwe również w innych językach, ale nie w takiej mierze, jak w polskim. Nie tylko *młody panek* i *milczkiem żwawo jedli* mają wyrazistość nieprzetłumaczalną na obcy język. Nieprzetłumaczalna jest sama zdolność przetwarzania form i mobilność składni, charakteryzujące polszczyznę.

Gombrowicz tworzył z owych przymiotów polskiego języka własną materię stylistyczną, jak zawsze z nadwyżką świadomości i dystansu. Przypuszczam, że był to jeszcze jeden element w jego maszynie zaczepno-odpornej. Chciał wniknąć najgłębiej w pokłady języka, żeby go sobie podporządkować i zarazem się w nim ukryć. Doszedł w tym do prawdziwego mistrzostwa. A jednocześnie ów styl, czasem parodystyczny lub modelowany na sarmacki barok, utrudnia dostęp polemistom, niby ośmieszając zawczasu wszelkie pryncypialne zarzuty.

Dochodziły wieści o jego rosnącej sławie i jego chorobie. Berliński napad astmy przerwano cortisonem. Gombrowicz do końca używał tego środka, wyniszczającego organizm. W Buenos Aires oświadczył Andrzejowi Wajdzie, że czuje się nowym Chopinem, teraz w Vence Bohdan Paczowski wnosił go po schodach do mieszkania. Chopina tak samo wnosili na rękach, kiedy nie miał już siły wejść po schodach. Ale podróżujący po Europie polscy intelektualiści coraz częściej odwiedzali go w Vence. Był nadal fanatykiem rozmowy, egzaminował nowo przybyłych niemal od progu. Pewien młody krytyk opowiadał po powrocie, że Gombrowicz otworzył mu drzwi i zapytał z astmatyczną zadyszką: — Więc co pan sądzi o Heglu?

W Polsce narastała jego legenda. Był nieobecny, w Warszawie nieobecność się ceni. Ale w tym wypadku była to nieobecność szczególnie podniecająca. Stworzyć z polskości pojęcie na użytek Zachodu, przekuć prowincjonalny kompleks na broń filozoficzną, to się nikomu przed nim nie udało — nikt z polskiej rury od barszczu nie zrobił rakiety międzykontynentalnej. Ktoś z postarzałych bywalców „Zodiaku” wspominał niedawno ogłoszenie, które jeden z przyjaciół Witolda zamieścił przed wojną w gazecie: „Zamieniam wady na zalety”. W ogłoszeniu figurował adres Gombrowicza.

U Paczowskich w Mediolanie byłem w kilka miesięcy po jego śmierci. Maria i Bohdan pokazywali mi ostatnie zdjęcia. Chory, cierpiący, z bolesną, piękną twarzą, Gombrowicz z Ritą, Gombrowicz obok Miłosza i w żartobliwej rozmowie z Kotem Jeleńskim. Gombrowicz ze wzdętą piersią pod rozchyloną u szyi koszulką polo, a gdzie indziej w ciemnej jesionce z postawionym kołnierzem, która zastępowała mu szlafrok. Na jednej z fotografii stoi przed lustrem, zdjęcie przedstawiało jego odbicie, za nim w głębi, także w lustrze, widać dwie kobiety, Ritę i Marię, poważne, zamyślone; wszyscy troje wpatrzeni z uwagą w coś, czego nie ma na zdjęciu. Ostatniego dnia Rita podała mu talerzyk malin z kieliszkiem białego wina. Skosztował, wypił łyk, po czym wskazał oczami wino i maliny, jakby ze zrozumieniem rzeczy: ha, proszę, więc tak się umiera... i umarł.

Chodziłem po Kurfürstendammie i często się zastanawiałem, co on mógł tutaj porabiać, jak spędzał ten swój berliński rok. Nikt nie umiał mi wskazać domu, w którym mieszkał. Poszedłbym go obejrzeć, ale nie wiedziałem nawet, jaka to była ulica. Po przyjeździe z Argentyny do Paryża on także chodził oglądać pewien dom. Na rue Bonaparte. Sartre jeszcze się wtedy nie był przeniósł na Raspail, mieszkał z matką na rue Bonaparte, w wysokim narożnym domu tuż koło „café de Flore”. Gombrowicz stał pod domem Sartre'a, poszedł tam zaraz po przyjeździe, w hotelu zostawił swój bagaż: dwie stare walizki, koc oraz ten niewielki, lekki przedmiot, którego od lat nie używał.

W mieszkaniu Paczowskich na via Elba jeden pokój był niezamieszkały, prawie bez mebli. Umieszczono w nim na podłodze rzeczy Gombrowicza, które Rita przywiozła z Vence po jego śmierci. Był to bagażyk podróżny, ten sam, z jakim wyruszył z Warszawy na swój sierpniowy dalekomorski rejs. Dwie podniszczone walizki, pled, tobołek owiązany paskiem... I położony na wierzchu przedmiot w brezentowym pokrowcu, z wystającą jasną rękąjeścią. Rakieta tenisowa?

Zabrał ją z Warszawy i woził ze sobą przez trzydzieści lat. Rakieta tenisowa — symbol naszej przedwojennej młodości, talizman, z którym tak było trudno nam się rozstać.

Jeśli w pierwszych napisanych słowach rzuca się wyzwanie, jeśli temu wyzwaniu potrafi się do końca sprostać i ponieść jego konsekwencje, jeżeli się płaci pełną cenę za swoje pisarstwo, bez ustępstw i wahań — to jest wiele, to jest bardzo wiele, i nie tylko na miarę naszych czasów. A trzeba do tego dodać rzecz w naszej epoce wymowną: że do końca karykaturował swoje cnoty, chował je w finfach stylu i przedrzeźniał minami aro-



ganta. Być może w poczuciu, iż jego Wiek nie lubi powagi i karze za prostotę. Ktoś nazwał go „katem ukrzyżowanym”. Kto wie, może współczesne legendy wymagają od swoich bohaterów takiego upozowania.

Z czterech ładnych kobiet o ładnych imionach, wielbicielek Gombrowicza w café „Zodiak”, żyje dziś tylko jedna. Dwie zamordowano, trzecia umarła. Umarła Ingeborg Bachmann: zasnęła z papierosem w rękę i obudziła się w płonącej pościeli. Nie żyje Stefan Otwinowski, nie ma już Wilka Macha. Sporo postaci ubuło z mojej powieści-rzeki.

Nadszedł list od Zarządu Głównego z prośbą o udzielenie odpowiedzi na kilka pytań dotyczących współpracy pisarzy z wydawnictwami, filmem, radiem i telewizją. W liście znajduje się zdanie takie: „Pragniemy dla celów dokumentacyjnych uzyskać wiarygodny obraz o udzielenie odpowiedzi krótkich i zawierających konkretne informacje”. Nieuwaga maszynistki? Ale list z tym niedorzecznym zdaniem rozesłano do członków Związku. Czasem się śnią takie zdania bez sensu, być może dyrektor biura jest zwolennikiem prozy onirycznej. Parę tygodni temu widziałem tego dyrektora jak wyrzucał z Klubu psychicznie chorego poetę. Włókł go za kołnierz pomagając sobie kolanem, niezwykle fachowo. Mały, o białych oczach, z wypukłym czołem. Twarz trudna do zapamiętania.

Na pięć pytań ankiety udzieliłem następujących odpowiedzi:

„1. Jak układa się w ostatnich latach współpraca Kolegi (Koleżanki) z wydawnictwami?

Od 6 lat żadne wydawnictwo w kraju nie zaproponowało mi podpisania umowy na nową książkę.

2. Z filmem?

Od 10 lat odrzucane są wszystkie moje propozycje (nie przez reżyserów).

3. Z radiem?

Od 6 lat nie otrzymuję żadnych propozycji.

4. Z telewizją?

Od 7 lat żadnych propozycji.

5. O jakich trudnościach chciałby Kolega (Koleżanka) poinformować Zarząd Główny ZLP?

O cenzurze. O karygodnej działalności cenzury w stosunku do osób i tekstów. O cenzurze nie tylko jako urzędzie. Jako procederze niszczącym mienie publiczne: kulturę narodową”.

Mniej czasu zajęło mi wypełnienie formularza Narodowego Spisu Powszechnego. Rubryki dotyczyły powierzchni użytkowej mieszkania. „Izby i pomieszczenia nie będące izbami. Wyszczególnić”.

Bardzo proste: dwa pokoje i kuchnia bez okna.

Ogonki... ogonki... Im bliżej do Świąt, wydłużają się, rosną, gęstnieją. Spadł śnieg. Śnieg to błoto w sklepach. Ludzie stoją w mokrych, pociemniałych okryciach, przesuwają się w brudnej taplaninie. Na szczęście od wczoraj sucho, mroźno. Ogonek do sklepu rybnego ciągnął się wzdłuż Wąskiego Dunaju. Podobno nadeszły śledzie. W ogonku podniecenie, stosunki niemal towarzyskie. Możliwość śledzia wywołała ideę śledzia, idea śledzia stworzyła wspólnotę. Pewien siwy człowiek, o lasce, z torbą przez ramię przewieszoną, rozprawał charczącym głosem o śledziu przedwojennym, o uliku. Mówił jakby o Piłsudskim. W piersi mu coś grało, dziko i pobożnie: — Urodę miał! Połysk miał! Dzwonko jak dukatowe złoto! — Był mroźnik, prószyło trochę. Ogonek słuchał z szacunkiem, jak pochylony wiekiem stary wiarus snuje opowieść o uliku, bohaterze dawnych czasów. Sklep otwierano o 11-tej. Dowiedziałem się, że czoło tego ogonka ustawiło się o 2-giej w nocy. Później szedłem Piwną do Placu Zamkowego. Na Piwnej przed sklepem mięsnym także stał ogonek. Ludzie ciasno zbici na chodniku, napierający ku schodkom, wszyscy milczący i wszyscy pochyleni razem do przodu, w zawziętym parciu, w ciżbie. Wraciałem tamtędy po południu. Dalej stali, tak samo zbici ze sobą, ale jakby odgięci do tyłu, z zadartymi głowami i nosami, wpatrzeni do góry, w schodki. Ze schodków szturmowano wejście, wdzierano się do sklepu. Już krzyczeli. Przed zamknięciem sklepu w tym ogonku doszło do bójki, kilka osób było pokrwawionych. Wieczorem w telewizji przemówienie sejmowe premiera o wykonaniu planu gospodarczego, przyjęte oklaskami przez Izbę. Wśród posłów znajome twarze literatów, naukowców, dziennikarzy. Tych samych, którzy dwa lata temu przysłali mi listy w odpowiedzi na apel o powołanie komisji sejmowej. Po strajkach w Ursusie i Radomiu, kiedy milicja zmasakrowała aresztowanych robotników, zwrócono się do kilkunastu posłów, aby wystąpili w Sejmie z wnioskiem o zbadanie sprawy i pociągnięcie winnych do odpowiedzialności. Apel wystosowano do posłów ze świata nauki i kultury, podpisało go 175 osób reprezentujących także naukę i kulturę. W rozestanych listach poręczyłem autentyczność podpisów. Na moją prośbę apel wysłano również do

dwojga posłów-lekarzy z województw pozawarszawskich, z prowincji. Zależało mi, by właśnie do nich dotarł apel. Sądziłem, że na prowincji zwłaszcza przetrwał jeszcze typ lekarza wrażliwego na ludzką krzywdę, lekarza-społecznika. Takich lekarzy znałem przecież nie tylko z lektur Żeromskiego i nie z dzieciństwa jedynie ich pamiętam: tacy lekarze po wojnie jeszcze żyli i leczyli. Tu zaś chodziło o krzywdę fizyczną, o połamane szczęki i odbite śledziony. Wystosowano więc apel i do tych dwojga posłów, lekarzy z prowincji.

Z siedemnastu posłów, do których się zwrócono, czterech nie udzieliło odpowiedzi, reszta przysłała listy na mój adres. Wszystkie — odmowne. Dyplomatyczne czy pełne kompleksów, sumitujące się lub wyargumentowane, ale wszystkie odmowne. Argumenty? Przebogata kolekcja. Sejm PRL nie jest parlamentem typu zachodnioeuropejskiego... Nie istnieje praktyczna możliwość powołania tego rodzaju komisji... Powołanie takiej komisji byłoby sprzeczne z interesem Państwa... To milicja została pobita i sprowokowana... Skąd Pan wie, pytał w liście jeden z posłów, czy nie podjąłem w tej sprawie odpowiednich kroków... I niemal we wszystkich odpowiedziach ten sam, wspólny, solidarny ton. Ton urażonej godności: zwracając się do nas, robicie to, by rzucić na nas cień, postawić pod pręgierzem opinii publicznej. Nas, posłów.

A wśród tych kilkunastu listów — dwa nieubłagane. Najbardziej wrogie, najjadliwsze. Dwie odpowiedzi dwojga Judymów z prowincji.

W ogonkach ludzie przeklinają. Strasznie przeklinają, ta rzeka przekleństw mogłaby zatruć ryby płynące na świąteczne stoły członków rządu. Wieczorem, słuchając przemówienia premiera, którego wyraz twarzy zawsze nasuwa mi myśl o zgniłej gruszcze, i widząc posłów w ławach, moich posłów-korespondentów, oklaskujących załamaną gospodarkę Planu, myślałem o ich listach sprzed dwóch lat, o jednomyślnej odmowie, jakiej wówczas udzielili. Zawsze jednomyślni! Prawda, sejm PRL nie jest parlamentem w stylu demokracji zachodnich... Czym więc jest?

Mnie w ogonku spotkała rzecz nieoczekiwana, o której opowiem. Pewnego dnia w spółdzielni posuwałem się do pieczywa, kolejka liczyła ponad dwadzieścia osób. Długo się to ciągnęło, za ladą sprzedawano również mleko, masło, sery; obwieszony torbami i parasolami ogonek włókł się pół kroku, po czym nieruchomiał. Nagle spostrzegłem klienta w paletku, bardzo niepozornego, który wśliznął się poza kolejką, jakoś bokiem, chyłkiem.

Piwo chciał kupić. Pieniądze miał przygotowane, już wtykał je ekspedientce, gdy zastawił mu drogę mały starzec w czapce. — Wszyscy stoją! — zaskrzeczał — chore kobiety stoją! A ty chcesz kominować? Postoisz! Tam stań! — i wskazywał miejsce na końcu ogonka. Klient w paletku zachichotał, a potem warknął zerkając spode łba na starca. Był to niesympatyczny starzec o zagiętym czerwonym nosie i bezzębnych ustach, z wyglądu dawny rzemieślnik, nieustępliwy, srogi starzec, zarazem odpychający i budzący podziw bezwzględną mocą swojej racji, którą, odwrócony plecami do gościa w paletku i grodząc mu dojsie do lady, pluł za siebie: — A ja to mogę stać? Ja, starzec? Idź i stań jak wszyscy! Dożyj moich lat! — Cały ogonek go poparł. Kobiety potakiwały z uznaniem. Patrzyłem jak klient od piwka wycofuje się pokornie w głąb sklepu.

Pełen szacunku dla praworządnego starca o krogulczym nosie, zaprzysięgłem sobie na przyszłość w analogicznych wypadkach postępować tak samo jak on. Los zechciał, że nazajutrz zdarzyła mi się okazja w sklepie z owocami cytrusowymi. Zachowałem się identycznie, według wzoru starca. I wszyscy byli przeciw mnie.

Gdy w sklepie z owocami cytrusowymi barczysty młody człowiek w kurtce podszedł do lady nie zatrzymując się w ogonku, natychmiast przemówiłem. — Przepraszam — powiedziałem — pan nie stał w kolejce, cóż to za sposób postępowania? — Ku memu zdziwieniu nie poparł mnie żaden głos. Czułem, jak moje słowa wpadają w nieufną próżnię, poczułem to od razu, w połowie zdania, w chwili gdy powiedziałem „coż to...”. W tym moim „coż to” zabrzmiało jakieś etyczne tremolando i widocznie zabrzmiało fałszywie. Nie było w językowym duchu rzeczywistości, może zamiast „przepraszam” i „coż to” należało powiedzieć inaczej; może na ty: „nie kominuj, cwaniaczku”? Ale to są już późniejsze refleksje. Wtedy w ogonku, gdy nikt ani słowem mnie nie wsparł i młody człowiek w kurtce spokojnie kładł pieniądze na ladzie, zacząłem krzyżeć. Krzyżałem głosem przykrym, jak starzec przy pieczywie. Krzyżałem o chorych kobietach. I nic, cisza, chore kobiety milczały, nie czułem za plecami solidarności żon i matek. Odezwał się tylko mężczyzna w kapelusiku: — Niech sobie stoją. Co pan chce od człowieka, wyskoczył z pracy, czasu nie ma... — Odgadłem, że towarzyszy jego słowom życzliwy uśmiech chorych kobiet. Młody człowiek zapłacił i wyszedł z butelką, kapelusik poprosił o 10 kilo pomarańczy. — Nie chciałybym być pana żoną — mówiła ekspedientka wążąc pomarańcze. — Pewnie! — zaśmiał się kapelusik — ja już miałem

trzy żony, kocha sie te wolność! — Zawtórował mu śmiech całej kolejki. Rozweselił ich, podbił, zwyciężył! Kiedy się wytaczał, niski, przysadzisty, w kapelusiku zsuniętym z czoła, dźwigając oburącz wypchane torby, kobiety odprowadziły go wspólnym i pełnym sympatii spojrzeniem. Na mnie nikt nie spojrzał. Przegrałem. Ale dlaczego przegrałem w słusznej sprawie? w tej samej, którą wygrał starzec? I właściwie czym się różniłem od wesołego nabywcy pomarańczy, który mnie pokonał? Ja w kożuchu, on w kożuchu. Ja w kapeluszu, on w kapeluszu. I obydwaj z torbami. Jednakże coś musiało nas różnić i te kobiety od razu nas zakwalifikowały, rozpoznały... Ale jak? po czym? Długo głowiłem się przed zaśnięciem: dlaczego nie umiałem wzbudzić dla siebie podziwu ani życzliwości, w czym byłem gorszy od starca w czapce i gościa w kapelusiku, dlaczego ich słowa były lepsze, dlaczego oni zwyciężyli, a ja poniosłem klęskę.

Kiedy mój brat otrzymywał codziennie kilka telefonów z pogroźkami od przemawiających schrypniętym głosikiem anonimów na służbie (w związku z Haliny działalnością w KOR-ze), obecny przy tym Jerzy Markuszewski poradził mu, żeby następnym razem, zamiast odłożyć słuchawkę, spokojnie odpowiedział: „Panie, jak pan ma tyle czasu, to naucz pan swoją babcię szczać w butelkę”. Markuszewski zawsze miał wycucie ducha językowego rzeczywistości.

A mnie odpowiadają tutejsi pijaczkowie, ci zażawieni, o różowych białkach, których mijam na Freta pod „Samsonem”. Pan Władzio... Pan Tadzio... Pan Władzio, waluciarz, po pijanemu kłania mi się z owacyjnie serdecznym uśmiechem, ale tylko po pijanemu, na trzeźwo mnie ignoruje, przechodzi obojętnie, wyniosły, pochmurny. Znamy się tak od lat. I prawdopodobnie mielibyśmy sobie wiele do powiedzenia, gdyby nadarzyła się okazja. Ale mijamy się. Za każdym razem jednak wycytuję w ich oczach jakąś wiedzę o mnie; nawet gdy udają, że mnie nie widzą, spostrzegam ów smętny, znaczący błysk. I wtedy mi się przypomina ich zbiorowy monolog skierowany do mnie, który cenzura skreśliła w „Rynku”. Mówili mi tak:

„... panie B., idź pan dalej, pan nas nie lubi, pan jest trzeźwy człowiek. Może pan masz zrozumienie dla ludzkości, ale pan nie jesteś dobry kumpel. Pan pisze: człowiek, pan mówi: życie — ale życie sie po panu nie przespacerowało. Pan pisze: twarz, pan pisze: gest — a o co panu chodzi? O siebie. Panie B., wejdź pan do bramy. Nie bądź pan taki masztrojani, wychył pan z nami te ćwiartke. My równe chłopcy, my panu opowiemy, co

to jest życie. Nie? pan nie chce? pan sobie nie życzy? No to idź pan, męcz się pan sam. Tylko my się bardzo dziwimy, że to się panu opłaci. Tutaj takich nie lubią, panie B. Tu trzeba się męczyć razem, główka w główkę. Na cudzej piersi trzeba łąkać, kochany, i zajaść w cudzą mordę, i za kudły łapami, kochany, a potem ze śpiewem w Polskę. Pan pisze: Polska. Pan widzi pomnik, pan widzi osobę na koniu. Nie włącz pan na konia, pozwól mu się pan kopnąć — będzie gest. Wisła zatruta, panie B., martwe sandacze płyną do Gdańska. A pan krugom o swoim. Że w obcych krajach panu smutno? To siedź pan na Starówce! Zajdź pan do 'Samsona' na flaczki, roztwórz się pan, bądź pan człowiekiem! Krzycz pan, jęcz pan! Rozwiąż pan ten krawat, weź pan koszulę w zęby, czołgaj się pan. Mów pan: Władek, rycz pan: Tadek! Idź pan do tych, co piszą na pana donosy, powiedz im pan: bracia kochani, razem nas Niemcy męczyli, jedna my kość! I cyk! Ciepło i miło będzie, panie B. Pan się uśmiecha? Panie B., tu nie można być lepszym gościem. Rzygnij pan, ubrudź się pan, to panu dadzą żyć. Tu trzeba z ludźmi, po ludzku. Wykrzycz pan swoją dolę, pokaż pan blizny na ciele. Pan nie posiada? Panu się tylko zdaje. Każdy Polak ma blizny. Pan myśli, że jak pan zawiąże krawacik, to nie będzie znać? Napij się pan, uswiń się pan... Pan ucieka? Panie B., gdzie pan lecisz, sił pan nie masz! Wariat... Zwiął”.

Pytanie: jak postępować wobec narzuconego przymusu, konieczności zewnętrznej, w wypadku gdy jej zniknięcie jest niemożliwe.

Następujące warianty: *ketuanées panak.*

— przyjąć ją jako konieczność, ale psychicznie trwać przeciw niej i wytwarzać w sobie przeciwstawne treści, pojęcia i wartości. Wyjście pociągające za sobą co najmniej jedną przykrą okoliczność: groźbę pęknięcia, osobowego rozdzielenia. Stąd niedaleko do dwuznacznych postaw i wynaturzeń intelektualnych, mających uzasadnić obecność dwóch rzeczywistości w człowieku i ukryć rozbitą tożsamość. (Przypadek niejednego intelektualisty).

— przekształcić ją we własną konieczność, czyli stać się samemu częścią zewnętrznego przymusu, zintegrować się z nim. Jest to klasyczny wybór „niewolników”: istnieją tylko w układzie rzeczy, który mnie zwyciężył, i jedynie pod tym warunkiem, że będę w tym zwycięstwie uczestniczył. Poza nim nie ma mnie —

poza Obiektywnym i Koniecznym jestem nikim. (Przypadek większości posłów).

— zmiękczać ją od wewnątrz, wnikać w nią w celu jej spulchnienia argumentami kompromisu i rozsądku, przełożonymi na właściwy jej język i przystosowanymi do jej dialektyki. Rodzaj mediacji pomiędzy niewolą a wolnością. W praktyce jednak mediator, adaptując się do konieczności, sam przez nią jest adaptowany i niepostrzeżenie dla siebie staje się jednym z jej wykonawców. (Przypadek redaktorów *Polityki*).

— czekać na jej autokorektę, na złagodzenie lub przeistoczenie konieczności, dokonane przez nią samą. To jest uznać się za świadomą rezerwę, która we właściwym momencie przyspieszy ów proces. Rzecz godna uwagi, ale niebezpieczna. Oczekiwanie nie dzieje się w abstrakcji i praktycznie sprowadzałoby się do zajęcia jednego z poprzednio wymienionych stanowisk. Nie ma czystego oczekiwania — czeka się zawsze w jakiejś pozycji.

— przeczyć jej bezwzględnie i kategorycznie w oparciu o zorganizowany sprzeciw, żyć w zbiorowym i nieustannym przeczeniu, wyrzucać z siebie każdą myśl, która jej nie przekreśla całkowicie. Nazwałbym to utożsamieniem się z antykoniecznością, życiem w konieczności odwróconej — ale wewnątrz niej, nie poza jej ramami. (Przypadek wielu kontestatorów).

A więc...? Więc wolność można by sobie wyobrazić tylko jako obserwację? Nie ma czystej obserwacji. Obserwacje są zawsze selektywne i zaangażowane. Więc nie istnieje żadne wyjście z niewoli przymusu, której nie można usunąć?

Zostało jeszcze jedno. Uznać, że nie jest koniecznością i ściągać na siebie jej ciosy. Nie po to, aby jej nie dawać spokoju. Żeby ona nas nie pozostawiała w spokoju.

Każdego z wymienionych powyżej wariantów doświadczyłem osobiście w różnych okresach życia. Albo w myślach.

I kto by pomyślał, że awangardowa odnoga naszej przedwojennej prozy — poetycka i paraboliczna, jednym nurtem, poprzez Schulza, wywodząca się od Kafki, drugim kontynuująca joyce'owskie rozbitcie bytu i formy, a w trzecim, filozoficznym, rozwinięta przez Witkacego i Gombrowicza — będzie miała tyle rozlewisk. I co najszczerzej, nie są to pisarze reprezentujący salony artystyczne, nie żadeni mieszczańscy synkowie intelektualni, skądże, to są przeważnie ludzie z zapadłych powiatów, kresowych lub galicyjskich, pisarze częstokroć chłopskiego pochodzenia. Ciekawe, że w poetyckiej awangardzie walczyli chłopcy, tacy jak

Przyboś, Młodożeniec i Kurek, a powojenne rozpady form literackich znalazły się pod opieką wiejskich *homunculusów*, którym mózg zastąpił wyobraźnię. Co to? Sztuczne istoty, golemy? W literaturze widzą tylko teorię! To jest tak, jak opowiadał Stefan Jaracz. Skarżył się Irenie Krzywickiej, że chłopu niesłuchanie trudno stać się intelektualistą, następuje przeciążenie mózgu: „Na dziesięciu — ośmiu wariuje. Wariują z wykształcenia”. Ale ci, którzy nie wariują, są odąd zaprogramowani na naukę, stają się fanatykami percepcji cerebralnej, a jeśli ich pociągnie w stronę literatury, dostrzegają w niej przede wszystkim nowe konstrukcje, wynalazki, produkty mózgowe. Parę lat temu spotkałem na Puławskiej Konstantego Puzynę i kiedy go zagadnąłem, co słyhać, odparł szeptem: — Niedobrze. Chłopstwo przejęło Witkacego.

I proszę, co ja innego robię — ledwie tknąłem tu spraw literatury, zaraz konstruuje jakąś teorię, puszcza się na koncepcje interpretacyjne. Tylko że ja to robię z nieczystym sumieniem. Natychmiast osaczają mnie zaprzeczające przykłady (Pigoń także był chłopem, Tytus Czyżewski chłopem nie był...) i cała teoria się wali. Nie, nie mógłbym być krytykiem, zjadłby mnie strach przed uogólnieniem. Nawet tutaj, pisząc to, co piszę, odczuwam chwilami niepokój, że notuję za mało faktów i rzeczy przeżywanych, a zbyt często popadam w komentarz. Czuć! cierpieć! kochać! Romantycy płakali, mdleli, to był styl epoki: objawiać uczucia. My chcemy być inteligentni. Zanim jeszcze przeżyjemy coś w pełni, już musimy to analizować. Tamci cierpieli za miliony, my sięgamy do statystyk: ile milionów, ile cierpień na głowę mieszkańca. Boże, a ile ucisku świadomości na głowę mieszkańca?

Więc czy nie lepiej pisać skromny dziennik, bez komentarza, bez dyskursu. Tak jak ten rumieniący się chłopak, aktor z Teatru Dramatycznego, o którym mi opowiadano. Z dnia na dzień notuje w dzienniku jedynie to, co naprawdę przeżywa: „*Poniedziałek*. Kocham ludzi. *Wtorek*. Nikt mnie nie kocha. *Środa*. Papuga ugryzła mnie w palec”.

Ale teraz przerwa. Święta, Nowy Rok...

styczeń 1979

Miałem dalej pisać o różnych literackich sprawach, gdy tymczasem nadeszła klęska żywiołowa. Śnieg.

Pierwszej nocy roku 1979 już nas zasypało. Tej nocy pałac,



z latarnią nad wejściem i światłami w wysokich przysłoniętych oknach, występował z białych ciemności, jak fluoryzująca zjawą pałacu. Byliśmy odcięci od świata. Sylwestrowi goście, którzy mieli przyjechać samochodami z Warszawy, nie wydostali się z zadymki. Byliśmy odcięci od czasu, uwięzieni w zeszytym stuleciu. Ekipa filmowa Zanussiego, kręcąc tu zdjęcia przez listopad i połowę grudnia, przerobiła wnętrza na salonowe retro: wszędzie pozawieszane brokatowe kotary, żółty staroświecki fortepian rozpostarł się koło drzwi w pokoju do kart, wywołując złudzenia, że przed sekundą opuścił go Chopin, a w bocznym salonie ustawiono na wprost zwierciadła ogromny stół z czerwonym obrusem i fotelami oraz lustrzane szafy biblioteczne, w których złożą się grzbiety niemieckich tomów Brockhousa (nigdy dotychczas ich tu nie spostrzegłem). Z zewnątrz, na attyce pałacu widnieje herbowy kartusz z włóczniami i tarczą, niezwykle zrzęczna imitacja, i jakieś kule z gipsu, urny na balustradach wzdłuż stawu. Zdawałoby się, że za chwilę ruszy stąd wesóły kulig, rozdzwonione sanie poniosą nas w tę biel do sąsiednich dworów, na tańce, na zabawy... A nie. Siedzimy w wyiębionym telewizyjnym pokoju, wpatrzeni w ekran, z którego woła do nas wystraszony spiker o wklęsłym nosku i jakby zszytej górnej wardze. W Warszawie zabrakło węgla, awarie w elektrociepłowniach, unieruchomiona komunikacja miejska, ludzie marzną w szpitalach i mieszkaniach. Pękają rury, śnieg sparaliżował główne arterie śródmieścia. Pociągi spóźnione o kilkanaście godzin, wiele połączeń wstrzymano, drogi nieprzejezdne, brak pługów do odśnieżania, wojsko rozmraża tory. Rząd ogłosił klęskę żywiołową, akcją przeciw ofensywie zimy kieruje Rada Ministrów z premierem na czele. W niektórych miastach przez dwa dni nie było światła, ogrzewania i wody. Zmniejszony dopływ gazu. Porty i stocznie nieczynne. Krajowe loty odwołane.

Spikerzy są najwyraźniej załamani psychicznie, straszą, mają grobowe miny. Zwłaszcza ten z wgniecionym noskiem, przedtem dowcipnie mrugający, teraz przemawia jak Starzyński z obłączonej stolicy, wzywa do wytrwania, do hartu ducha. Co mu się stało? Ano właśnie to mu się stało, że spełnił się zły sen, który przez lata tłamsił go nad ranem: o takim dniu, gdy trzeba będzie mówić prawdę. Prawdę i prawdziwymi słowami. Mówić o tym, o czym wszyscy wiedzą, mówić „nieprzejezdne drogi” zamiast „krajobraz pokryty białym puchem”, mówić „brak zapasów węgla” zamiast „nasze elektrociepłownie wykonały plan z nadwyżką”. To mu się stało. Nie może już dowcipnie mrugać, nie może gawędzić ciepłym tenorkiem o sylwestrowych balach gór-

nicznych, o dzieciach zaproszonych do Belwederu na kakao, o Królewnych Śnieżkach i drzewkach z bombkami. Tramwaje stoją, kaloryfery nie grzeją. Na nic „aranże” i konferansjerki. Tego się nie da ująć w pogodnych obrazkach i tego nie można dydaktycznie załgać, że Polacy konsumują za dużo ciepła w mieszkaniach albo że zbyt często jeżdżą tramwajami. A nasz konferansjer tak chętnie by pokazał i tak serdecznie opowiedział, jak to Biuro Polityczne lepi bałwana na dziedzińcu przytulnego Białego Domu... Nie może. Tramwaje stoją. Pociągi grzęzną. Służby miejskie zawiodły. Administracja jeszcze raz wykazała swoje niedołęstwo: dała się zaskoczyć porze roku. Spiker musi dziś mówić o tym, co widzą wszystkie oczy — o tym, co się naprawdę dzieje. I dlatego się boi.

A co się naprawdę dzieje? To, że nadeszła polska zima ze śniegiem i mrozem. Nie w maju: pod koniec grudnia. Można się było spodziewać, że po kilku zimach łagodniejszych nadejdzie taka ostra zima. Nie pomyśleli o tym. Nie przygotowali zapasów węgla, nie zgromadzili sprzętu. Stały fabryki (tu obok nas fabryka papieru w Mirkowie jeszcze nie pracuje), tabor kolejowy, przez lata nieodnawiany, rozpręął się pod pierwszym chuchnięciem zamieci. Dezorganizacja. Jak łatwo pokonać ten kraj, straszony wewnętrznymi i obcymi spiskami. Wystarczy 20 stopni mrozu i 50 centymetrów śniegu, po tygodniu są już trudności z chlebem. I gdzie szukać przyczyn, kogo obciążać? Rząd? Ustrój? Rosję? Samych siebie? Ta zima coś ujawniła — nie tylko słabość gospodarki i administracji, coś znacznie ważniejszego: niejasność stanu rzeczy, który zaciera społeczne rozpoznanie. Od lat nie wiemy, na co nas stać i kim naprawdę jesteśmy. Krajem niewoli czy alkoholików, przemysłową czołwką świata czy eksploatowaną kolonią lub wiecznym *polnische Wirtschaft*, męczennikami, antysemitami czy społeczeństwem nieprzystosowanym do współczesnej cywilizacji. Od wojny, to jest od czasu gdy jeszcze znaleźliśmy siebie, bo potwierdziliśmy własną tożsamość, przeżywamy swój los poza rzeczywistym doświadczeniem, coraz mniej wiedząc o sobie jako o zbiorowym charakterze. Gombrowicz by powiedział, że nie dojrzeliliśmy do formy. Nie wiemy już, co z nas samych emanuje a co nam zwalono na głowę; przestaliśmy się orientować, jaki jest nasz współudział w zafałszowanym rachunku — co się odbywa naszym kosztem a co na naszą korzyść. Widzimy kłamstwo, lecz coraz trudniej dogrzebać się prawdy. W takich razach sięga się do przeszłości; czterdzieści lat temu byliśmy jeszcze sobą, żyliśmy autentycznym życiem. Ale nasza przeszłość także już nie jest prawdą, jest

naszym wyobrażeniem o przeszłości. Tak bytujemy między przymusem a legendą, w czymś, co trwa bez względu na nasz sprzeciw czy zgodę i co nas bezustannie przerabia. Aż wreszcie pewnej zimy dowiadujemy się, że spadł śnieg. Wówczas zadajemy sobie pytanie: czy to jest nasz śnieg? czy mamy obowiązek go odgarniać? Zachodzi bowiem wątpliwość, czy ten śnieg nie jest *ich*, narzucony w ramach przyjaźni przez Rosję, więc czy nie powinni sami go odwalać. Zwracają się do nas z wołaniem o czyn społeczny. Tylko nie wiadomo, kto się do nas zwraca: społeczeństwo czy władza, której nie można zmienić. Rozglądamy się jednak za łopatą, trzeba się jakoś przekopać, wyjechać. I wtedy okazuje się, że nie ma łopat. Wówczas znowu stawiamy sobie pytanie: łopatę ma sprokurować rząd czy naród? *oni* czy *my*? Stoimy w śniegu zadumani i jednocześnie niezdolni do wyciągnięcia wniosków. Brak łopat demobilizuje nie tylko naszą energię — obezładnia myśl. Zawsze się śmiałem z Księcia w „Lalce”, który w chwilach patriotycznej niemożności mówił wzdychając: „Nieszczęsny kraj...”. Może zbyt często to powtarzał. A przecież w gruncie rzeczy wcale nie był śmieszny.

Mróz trochę zelżał, dziś rano 14 stopni. Ale znowu sypie. Wczoraj ogłoszono zarządzenie: wszystkie domy wczasowe i wypoczynkowe zamyka się aż do odwołania. Nie ma węgla, wyczerpuje się żywność. W gazetach podano wiadomość, że Warszawa ma zapas kartofli na 8 dni. Po przeczytaniu tej wzmianki ludzie rzucili się na kartofle, rozkupiono je w ciągu paru godzin. Są też trudności z nabiałem i masłem. Wziąłem z biblioteki „Dzieje Grecji” Hammonda w przekładzie prof. Anny Świderkówny, która niedawno opuściła katedrę filologii klasycznej, by w 57-ym roku życia wstąpić do zakonu. Jest dziś w klasztorze w Żarnowcu. Od Hammonda można się dowiedzieć, w jakich mękach powstawała demokracja ateńska, ile walk, rozdarć i gry prymitywnych instynktów towarzyszyło dojrzewaniu tego najmniej łatwego z ustrojów. Pięknie brzmi poetyzowane ustawodawstwo Solona. Zapamiętałem taki ustęp: „Jam równe wszystkim nadał prawa, by człek tak zacny, jak i podły jednaką sprawiedliwość miał... Tyle ludowi dałem władzy, ile mu jej trzeba, nie ująłem mu praw i nie schlebiałem zbyt... jam stanął pośrodku — by wbrew prawdzie zwyciężyć nie ważył się nikt!”. Wyzwali Persję, imperium, które dawało im zarabiać. Mogli spokojnie żyć pod rządami satrapów Dariusza. Ale lubili wolność w swoich miastach-państwach, więc oparli się Persji. Wszyscy pod Salaminę!

Wołanie o czyn obywatelski dobywające się z radioodbiorników, komunikaty niemal sztabowe o walce z atakami żywiołu i nasza garstka odcięta od świata przez zamieć, trochę to przypomina wojnę, rok 39. Wezwano nas wtedy do kopania rowów przeciwpancernych, czy przeciwlotniczych. Zgłosiłem się z dwoma uniwersyteckimi kolegami na wyznaczony punkt, było to długie podwórze, parzysta strona Nowego Światu, zdaje się, że zimą urządzano tam ślizgawkę. Każdy dostał łopate, kopaliśmy wzdłuż przeciągniętych sznurków. Dzień był bardzo ciepły, obok mnie pracowała kobieta w szlafroku i pantofelkach na wysokich obcasach. Nie szło jej — wbijając łopate widziałem kątem oka jej szczupłe, białe nogi zapadające się w gliniastą ziemię. Razem z nią kopała druga, z wyglądu służąca. — Niech pani odpocznie, poradziła jej, kiedy słońce zaczęło przypiekać. Tamta w szlafroku wyjęła paczkę papierosów, ale nie miała czym zapalić. Gdy przybliżyłem płomyczek zapalki do jej papierosa, nachyliła się ku mnie i spostrzegłem pot ściekający dwiema czarnymi strużkami wzdłuż nosa. Wtedy ją poznałem.

Na półtora roku przed maturą zaczęła mnie, kiedy szedłem Nowym Światem po nieparzystej stronie, gdzieś między Warecką a Chmielną. Słyszałem już o niej przedtem, z mojej klasy znali ją Andrzej Rudnicki i Jurek Lichtenstein, nazywała się Zosia Bergy. Jej prawdziwe nazwisko było inne, Gadomska czy Gostyńska, nazwisko poważnego lekarza, jej ojca. Zaczepiała w przejściu, rzucając półgłosem kilka słów po francusku. Później się dowiedziałem, że spędziła parę lat w Paryżu, rodzice wysłali ją na studia. Jej wygląd dokładnie mi opisano i kiedy ją minąłem w tłumie na Nowym Świecie, nie miałem wątpliwości, że to ona. Nosiła czarny bufiasty płaszcz ze srebrnym kołnierzem i mały, przylegający do głowy hełm, także czarny, którego nie można było odróżnić od włosów, czarnych albo umalowanych na czarno. Duże, miękkie wargi, oczy skośne z przedłużonymi tuszem cieniami i zupełnie wygolone brwi. Była podobna do Japonki, ale nie śniada: bledsza, o białej, jakby papierowej twarzy. Kiedy mijaliśmy się za drugim razem, spytała po francusku, czy chciałbym pójść za nią. W minutę później staliśmy w bramie i czułem w półmroku jej oddech zalatujący jakimś lekarstwem o zapachu waleriany lub opium. Nie miałem pieniędzy. Ale musiał się jej spodobać mój poprawny akcent, bo spytała, czy byłem we Francji, i w końcu zaprosiła mnie do siebie na górę. Mieszkała na trzecim piętrze, idąc po schodach co jakiś czas przystawała, by głębiej odetchnąć; za każdym razem owiewał mnie apteczny zapach. W pokoju służąca przyniosła jej lekarstwo i zaraz potem

znikła. Pokój był wynajęty, był chyba dawnym salonem, w którym zostało kilka mebli. Tego wieczoru nauczyłem się nowych francuskich terminów i okrzyku wyrażającego zaskoczenie: „*Ça alors!*”. Później rozmawialiśmy o chorobach serca i literaturze. Poleciała mi książki Colette (koniecznie w oryginale!), którą podobno znała osobiście. Umówiliśmy się, że przyjdę, jeśli będę miał ochotę, pocałowała mnie w policzek ustami pachnącymi belladonną. Zostawiłem ją leżącą na tapczanie w czarnym *dessous*, białą i chudą jak pierot. Potem jej nie widziałem aż do dnia kopania rowów, na tym podwórzu. Kiedy jej zapaliłem papierosa, mruknęła „*merci*” i było oczywiste, że mnie nie pamięta. Co się z nią działo po wybuchu wojny, nie wiem, ten dom był spalony lub zbombardowany pod koniec września; w czasie okupacji nigdy jej nie spotkałem. I dopiero niedawno, czytając jakiś pamiętnik z lat emigracji paryskiej po 1863 roku, natknąłem się na jej nazwisko. Nosił je lekarz-społecznik, opiekun wychodźców, znana i szanowana osobistość.

1939-1979... Czterdzieści lat, bagatelka! Wczoraj przy herbacie z konfiturami w pokoju Sewerynow Pollaków zastanawialiśmy się nad osobliwą procedurą czasu, tworzącą równoczesne, podwójne wrażenie przedłużonej teraźniejszości i odciętej przeszłości; jak gdyby każde „wczoraj” było zarazem „niegdyś”, w którym pozostają uwięzione nasze odbicia, cienie. Wspominamy samych siebie, jak własnych przodków, a to było wcale nie tak dawno, dwa lata temu czy dwadzieścia lat temu. Czym się różnimy od emigrantów — chyba tym jedynie, że przeszłość w ich pamięci utożsamia się z krajem, że zostali wyłączeni nie tylko z czasu, ale i z miejsca. Przeżywając nostalgię za przydrożną wierzbą, tęsknią za sobą pod wierzbą sprzed roku 39, bądź 45, lub 68 — za krajobrazem swojej młodości, nie za samym wiejskim czy miejskim krajobrazem. Przecież my mamy ten krajobraz na co dzień, a czy nie tęsknimy? Tęskni się za nieobecnymi. To my jesteśmy nieobecni, to nas już nie ma: nas z przeszłości, z roku 1922 czy 57, naszego dzieciństwa, naszych zębów, włosów... A może tęsknimy za dawnym ustrojem? może był lepszy, sprawiedliwszy? Mówiąc szczerze, nie jestem pewien, za czym tęsknię, ale jedno wydaje mi się bezsporne: że nie jest sprawiedliwy ustrój, w którym nie mam własnych zębów i gęstych, ciemnych włosów.

Dziś nad ranem obudziliśmy się w tej samej chwili, o brudno-szarym mroku, i M. opowiedziała mi swój sen. Czy to on nas zbudził? We śnie przyszła do niej ona sama, dwudziestoletnia, piękna, z uśmiechniętymi oczami, i przytuliła ją do siebie, zapew-

„Rondo” po ukończeniu i przepisaniu uzupełniałem przez dłuższy czas nowymi fragmentami, już po wyjeździe do Francji i później w Berlinie. W przeddzień naszego powrotu do Warszawy ukazał się francuski przekład „Nierzeczywistości”, niemal równocześnie z wydaniem polskiego oryginału w paryskim Instytucie *Kultura*. W kilka tygodni po powrocie „Nierzeczywistość” wyszła w kraju nakładem oficyny wydawniczej NOW-a. Maszynopis „Ronda” złożyłem na Wiejskiej w „Czytelniku”. Zdawałoby się, że moje dwugłowe cięło zostało przeze mnie własnoręcznie rozcięte na dwa niezależne organizmy. Ale nie. W tym bowiem momencie wchodzi na scenę gotycki anioł.

Tomasz Burek raz tylko o mnie pisał: kilkanaście lat temu wydrukował recenzję ze „Sposobu bycia”, utrzymaną, jak sobie przypominam, w stylu z lekką ironiczną rezerwą. Prawdopodobnie nie miał wówczas o mnie wyrobionej opinii, nie był jeszcze pewny, co ze mnie za ptak. Treści recenzji dokładnie nie pamiętam, ale uderzył mnie jej ton: rzadko o mnie wtedy pisano w sposób tak oględny, bez jadu, powiedziałbym, z tak przyzwoitymi manierami. Przez wiele lat kłanialiśmy się sobie z daleka, czytałem jego późniejsze eseje, przyznając słusność głosom, które wyrażały się o nim z szacunkiem. Mówiłem sobie: przybył nowy, poważny krytyk. Osobiście nie znaliśmy się prawie. Kiedy wydał mi się podobny do gotyckiego anioła? Latem, na Świętojańskiej. Musiał niedawno zapuścić włosy; gdy minęliśmy się po wymianie uśmiechów, przyszło mi na myśl, że ze swymi niebieskimi oczami, jasnorudymi włosami i szczupłością kończyn pasowałby do ołtarza Wita Stworsza. Czasami jedno takie skojarzenie ustala stosunek do człowieka. Odtąd poczułem się jakby bezpiecznie: świadomość, że wśród krytyków żyje rudowłosy anioł dodawała mi otuchy. Z takim samopoczuciem zacząłem czytać recenzję Tomasza Burka o „Nierzeczywistości”.

I co to? Orientuję się już po pierwszej stronie, że nie będzie tu mowy o „Nierzeczywistości” wydanej osobno pod okładką „NOW-iej”. Burek jak gdyby jej nie zauważył, pisze o innej książce... O jakiej? O tamtej, którą mu dałem do czytania przeszło trzy lata temu, o maszynopisie złożonym z dwóch tekstów, tym dziwotworze powstałym ze sztucznego przeszczepu! Przyznaje mu wysoką rangę, lecz pisze o nim w czasie przeszłym, jak o nieboszczyku. Pod koniec stwierdza z żalem: trudno, stało się, tego dzieła już nie ma. Można się domyślać, że uśmiercił je autor, nie można się jednak domyślić, czemu to uczynił. *Czytelnicy Zapisu* (recenzja jest przeznaczona dla *Zapisu*), jeśli

będą zgłębiać tę zagadkę, dojdą zapewne do wniosku, że było to literackie samobójstwo popełnione z nieznanых powodów.

Dwugłowe widmo powróciło do mnie po trzech latach, aniół wywołał tego nieszczęsnego ducha. A nie byłby aniółem krytycznym, gdyby przy tej okazji nie zwiastował nowiny. Nowina jest taka, że współczesną literaturę naszą cechuje polimorfizm. Pierwotna, rozbita i sprzeczna wewnętrznie kompozycja mojego utworu była potwierdzeniem owej prawdy. Potwierdzeniem, któremu zaprzeczyłem.

Znowu chciałbym nadmienić, że Tomasz Burek przeprowadził swój wywód delikatnie, przy użyciu cienkich narzędzi, posługując się krótkim, nowoczesnym cięciem i łagodną narkozą. Na ile mógł, oszczędził mi bólu. Ale po najmniej bolesnej operacji wnętrzości są poruszone. Przeżywałem osobliwy stan psychiczny — coś między zamięciem, osłupieniem i zaniepokojeniem. Co się stało? Przecież gdyby nie recenzja Burka, sprawa byłaby zwyczajna: w przerwie między okresami pracy nad powieścią napisałem eseistyczny tekst, w innej formie, z innym bohaterem i na inny temat. O czym więc tu mówić, podobne wypadki zdarzają się często. Burek mógł nie wiedzieć, że przez pewien czas łączyłem ze sobą dwa maszynopisy, mogłem mu ich nie dać do czytania, znałby wtedy tylko wydrukowaną „Nierzeczywistość”. A jednak jest o czym mówić. Z chwilą bowiem gdy ofiarowałem mu tę podwójną lekturę, miał prawo ją uważać za napisaną całość i zareagować na nią swymi poglądami krytyczno-literackimi. Ja natomiast miałem swoje prawo: uznać połączenie za niebyłe i dokończyć powieść. On sformułował tezę o polimorfizmie, ja zobaczyłem dwóch przyjaciół idących przez łąkę. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nasze prawa nie zderzyły się ze sobą. Stało się jednak inaczej: zderzyły się. A stało się tak dlatego, że obydwaj usiłujemy robić to samo, mianowicie tworzyć literaturę — ja za pomocą pisania, on za pomocą historii literatury. Bo myliłby się, kto by sądził, że krytyk nie ma ambicji tworzenia literatury. Ma je bodaj w większym stopniu niż pisarz, tylko spełnia je w odmienny sposób: chce tworzyć literaturę nie poprzez tworzenie jej substancji, lecz przez wytyczanie jej kierunków. Ideałem krytyka jest narzucić twórczości swój pogląd na jej rozwój i skłonić ją, by go potwierdziła. Krytycy walczą o historyczną stawkę, ich ostateczne zwycięstwo polegałoby na uwiedzeniu wyobraźni przez teorię. Wiem coś o tym. Nie tak dawno wpadł mi w ręce francuski miesięcznik z esejem zatytułowanym: „Świętej pamięci literatura”. Autor sugestywnie uzasadniał swoje przekonanie, że literatura w naszej

epoce przestała istnieć, że jej nie ma. W wywodach brzmiała nutka triumfu: literatury nie ma, umarła, ale krytyka jest i żyje. Była w tym radość decydującego zwycięstwa, nareszcie jesteśmy sami, kto powiedział, że krytyka nie może się obejść bez literatury, teraz, gdy mamy swobodne ręce, wykażemy, że krytyka może literaturę zastąpić. W gruncie rzeczy autor ujawnił odwieczne marzenie swego gatunku — marzenie obłąkane, samobójcze, lecz tkwiące w podświadomości każdego krytyka. Kto wie, może i Tomasza Burka... Czy nie nazwał mnie autorem „nieistniejącego wielkiego dzieła” współczesnej literatury polskiej? Podejrzewam, że dla krytyków prawdziwie wielką byłaby literatura nieistniejąca, którą wymyśliliby oni sami, aby podeprzeć swoje tezy. *of Galesyński: teza o ang. poezji (8W).*

Szaleństwo? Tak, szaleństwo, ale spróbujcie cokolwiek zrobić bez odrobiny szaleństwa.

Cała ta sprawa pozostawiła we mnie trochę niepewności. Ale spróbujcie coś zrobić z absolutną pewnością.

Mówiąc jednak do końca — nasza soczewica mogłaby być sprawiedliwiej podzielona. Mnie należy się prawo do części szaleństwa, a krytykom подарowałbym odrobinę mojej niepewności.

Dzień w Warszawie. Miasto sprawia wrażenie zdewastowanego przez zimę, wszędzie zwały śniegu, brudna, oszpecająca biel. Po bokach unieruchomione samochody, niektóre całkowicie zasypane, z białymi, obłymi czapami, wyglądają jak bunkry porzucone przez załogę. Na chodnikach człapią zmęczeni ludzie, twarze poszarzałe, jakby niedomyte. W tym zmęczeniu, dreptaniu i obłądowaniu wyczuwa się tłamszoną wściekłość. W sklepie ktoś mówi: — Jak się ociepli, władza spłynie. — W domu sporo listów z życzeniami i zaproszenie na sympozjum literackie do Wiednia. Temat: świadomość historyczna w literaturze współczesnej.

Dowiadujemy się wielu rzeczy, o których nie informowała telewizja. W noc Sylwestrową na Placu Teatralnym zamarzył pewien muzyk z zespołu Opery. W szpitalach położniczych przyjmowano noworodki „na sucho” — nie było ciepłej wody. Z osiedla Stegny uciekła większość lokatorów, temperatura w mieszkaniach nie przekraczała 7 stopni. Tej nocy na Stegny nie dotarłby ambulans pogotowia. P..., wypuszczony ze szpitala po krwotoku płucnym, czekał na Nowy Rok w płaszczu i futrzanej czapce, owinięty dwoma kocami. Przed północą zażył tabletkę uspokajającą i przestał się bać. Z wybiciem 12-tej wypił kubek



mleka z miodem i ukłonił się czapką przed lustrem. Rano wyruszył do przyjaciół na Mokotów. P..., człowiek łączący w sobie rygory pracy z umiłowaniem rozkoszy życia i najgłębszą potrzebą sztuki, gdy zwrócono się do niego o podpis pod listem zbiorowym w sprawie Konstytucji, oświadczył spokojnie: — Nie jestem stworzony na Joannę d'Arc, zostałem stworzony na Lukullusa. — Wszystkich rozbroił tą książącą odmową. Lukullus szedł z osiedla Stegny na Mokotów 4 godziny, telefonując po drodze z automatów i nadając miejsce swego położenia na trasie: po 4 godzinach ukazał się przyjaciołom biały, spiczasty jak góra lodowa.

Przy odgarnianiu śniegu używa się przeważnie transparentów z pochodu 1-majowego. Kij z przybitą kwadratową deską, odwrócony rękojeścią do góry, staje się łopata, trzeba tylko przedtem usunąć podobiznę któregoś z przywódców klasy robotniczej. Kiedy w Oborach zabrakło łopat, spytałem pana Stasia, palacza z tutejszej kotłowni, czy w PGR-ze nie ma takich transparentów. Pan Stasio się zamyślił: — Były — powiedział — ale poszły do Mirkowa na solidarność z Angolą. — W Warszawie śnieg odgarniają żołnierze, a w dni wolne od pracy rozdaje się łopaty urzędnikom. 17 stycznia ponad soplami i zaspami wywieszono sztandary: rocznica uwolnienia Warszawy od Niemców. Trzydzieści cztery lata temu przechodziłem dwa razy dziennie przez zamarznąłą Wisłę, były silne mrozy, nocowaliśmy w Muzeum Narodowym, na Pradze rozgrzewaliśmy się herbatą w kawiarni założonej przez Wiecha, na Targowej czy Żąbkowskiej. Pewnego razu pośrodku Wisły ktoś mijając mnie zawołał: — Nos! nos! — Zbielał mi nos, roztarłem go śniegiem. Dobrnęliśmy do Muzeum, gdzie czekano na mnie, aby mi powtórzyć, że był tu mój brat. W godzinę później zobaczyłem Mariana, który doszedł pieszo do Warszawy w kolumnie oficerów, jeńców wojennych z odbitego Woldenbergu. Nie widzieliśmy się od końca sierpnia 1939, od dnia gdy został zmobilizowany. Odprowadziłem go wtedy na dworzec i przy pożegnaniu nieznacznie wetknął mi do ręki monetę dziesięciozłotową: — Masz, przyda ci się. — Nie pamiętam, na co ją wydałem. Musiała od tego czasu przejść przez wiele rąk. I co się z nią stało, co się w ogóle stało z przedwojennym bilonem? Nie mam pojęcia. Może ta moneta jeszcze gdzieś istnieje. Niektóre przetrwały. W pokoju mojej żony na sekretarzyku do dziś leży dziesięciozłotówka z Batorym. W dniu naszego ślubu ofiarowała ją M. pani Wanda Natolska, przyjaciółka Jerzego Szaniawskiego. — Włóż ją do pantofla, przyniesie ci szczęście... — M. lekko utykała, kiedy ją prowadziłem

w kierunku ołtarza. Rachunek prawdopodobieństwa nie wyklucza możliwości, że to była ta sama moneta, którą dostałem od Mariana.

Przechodząc koło poczty na Rynku minąłem dwie ładne dziewczyny w kozuchach, które rozmawiały ze sobą z niezwykle żywym ożywieniem i tak głośno, że dobiegł mnie okrzyk jednej z nich: — Mówię ci, to był starzec, coś ohydneho, na pewno miał sześćdziesiąt lat! — Widocznie któryś z moich rówieśników poczuł się młodo i został ukarany. Nie bez zdziwienia stwierdziłem, że okrzyk tej dziewczyny nie sprawił mi przykrości, była to raczej pouczająca informacja. Ale uświadomiłem sobie co innego. Mianowicie — mój czas wewnętrzny, czyli na ile lat się oceniam w moim psychicznym samopoczuciu. Na dwadzieścia osiem. Jeśli by przemilczeć łamanie w prawym biodrze, częściowy ubytek zębów i zmianę koloru włosów, pozostałem dokładnie w tym samym wieku, co w styczniu 1945, kiedy przechodziłem przez zamrażającą Wisłę. Stąpałem wówczas ostrożnie, żeby się nie pośliznąć. Otóż, mając ów podwójny wiek, zewnętrzny i wewnętrzny, będąc przyrodniczo sześćdziesięciolatkiem, a czując się trzydziestolatkiem duchowym, być może trzeba również ostrożnie stąpać i uważać na swoje kroki. I nie tylko na zalotne kroki w stosunku do czyjejś młodości, nie tylko... Poślizg grozi w stosunku do siebie rozdwojonego na młodość i starość, do siebie żyjącego w dwóch wymiarach, z których jeden łądzi, a drugi straszy. Żadnemu z nich nie należy powierzać się całkowicie, ponieważ żaden z nich nie tworzy całkowitej prawdy. Według mnie najlepiej pogodzić się z ich sprzeczną współobecnością, lepiej powiedzieć sobie: tak jest, istniejemy razem, będziemy zawsze razem istnieć, obaj stanowimy jednego człowieka, pozostaniemy nim do końca i wraz z nim umrzemy — tak jak we śnie M. o dwóch Mariach. Co przez to zyskuję? Nic więcej, jak tylko świadomość własnej kondycji. Nie ulegając złudzeniu młodości, ale i nie osuwając się w grozę starości, mam jeszcze szansę życia, które nie będzie śmieszne ani straszne. Gdybym prowadził rubrykę dobrych rad pani Zofii, udzieliłbym następującej wskazówki: „Mój stary chłopcze, nie wstydź się w sobie młodości, dzięki której zachowujesz nadzieję, i nie bój się starości, która jest poznaniem. Za ich wspólną pomocą dokonaj jeszcze jednego wysiłku: zanim się pogrążysz w niewiadomym, wypowiedz to, co jest ci wiadome”.

Ale jak się przeżywa siedemdziesiątkę, osiemdziesiątkę? Znałem bliżej tylko jednego człowieka, który przekroczył 90 lat życia. Twierdził, że po każdej dekadzie reaguje się inaczej. Po

ukończeniu 10 lat odczuwa się dumę, po 20 nadzieję, po 30 zdziwienie, po 40 smutek, po 50 przygnębienie, po 60 rozpacz, po 70 spokój, po 80 — dumę. Co się odczuwa po ukończeniu 90 lat, tego mi nie powiedziały.

Mimo iż od kilku lat nie czytam gazet, co pewien czas wpada mi w rękę jakiś tygodnik literacki, społeczno-kulturalny czy ilustrowany. Są w nich artykuły, recenzje, a jakże, nawet dyskusje. Drukuje tam mnóstwo autorów, omawia się książki i premiery, ba, kreuje się wielkich pisarzy... Ktoś z zewnątrz, kto by przyjechał na przykład z Wenezueli, mógłby odnieść wrażenie, że w Polsce bucha życie kulturalne. Czegóż tu nie ma! Wszystko obecne, wszystko na swoim miejscu: twórczość krajow..., przekłady z literatur trojga światów, analizy współczesnej cywilizacji, sondy socjologiczne, strukturalizm, prawa człowieka i obywatela, i nowe terminy: paradygmaty, traumy, trendy.. Wszystko, pełna tęcza! Ile lat trzeba tu przeżyć, by rozszyfrować ten system pozorów i wyczuć unoszący się swąd. Wszystko maskuje tu trupy ukryte pod podłogą. Książka, o której się pisze, ma głębiej wdeptać książkę, której się nie wydaje; w każdym wydrukowanym tekście między liniami są zakopane nazwiska, jakich nie wolno wymieniać, i fakty, o których się milczy; miejsca i daty wymazane z historii tworzą martwy obszar, którego ciszę zapełnia się hałasem sztucznych polemik i gdzie pół-poeci udzielają wywiadów pół-dziennikarzom, aby wyrazić swoje pół-prawdy dla pół-czytelników. Prócz odciętej połowy nie brak tu niczego.

A co się dzieje z odcięcą połową?

Kiedy trzy lata temu powstawał *Zapis*, miałem wątpliwości, czy stać nas będzie na wydawanie pisma literackiego w oparciu o niewielką grupę ludzi piszących, którzy odrzucili możliwość społecznej pół-egzystencji. Obawiałem się, że po kilku numerach zabraknie nam rezerw. Przypuszczalnie nie tylko ja przeżywałem podobne obawy, inni także je mieli. I co najszczególniejsze, właśnie zastrzeżenia wyrażane przez innych budziły we mnie opór i wywoływały kontrargumentację. Przypominam sobie jedną z takich rozmów (pierwszy numer *Zapisu* był już w przygotowaniu, dałem do niego fragment „Nierzeczywistości”), dyskusję, która ostatecznie mi uświadomiła sens istnienia *Zapisu*. Padły następujące argumenty: „Dokonyamy wyłomu w naszej długoletniej praktyce obronnej, w grze, jaką prowadziliśmy o własną twórczość. Stosując taktykę łudzenia tyra na broniliśmy ostatnich żywych wartości w kulturze, zapewnialiśmy ich prze-

nikanie, choćby w formie aluzji i podtekstów. Decydując się na otwartą walkę, odbieramy sobie tę możliwość”.

Można było dorzucić jeszcze i to, że wydając *Zapis* ryzykowaliśmy własnym bezpieczeństwem osobistym: zaostrowanie represji leżało w interesie policji. Ale ten argument nie został wysunięty. Najwidoczniej nie chcieliśmy się straszyć.

W ciągu rozmowy parokrotnie zabierałem głos, w gruncie rzeczy po to, aby odpowiedzieć samemu sobie. Ów sposób myślenia był mi dobrze znany, to były przecież moje sformułowania, niemal dosłowne. Przez wiele lat sądziłem, że pozostało nam jedynie wciskać się w szpary, wykorzystywać każdą nieszczelność systemu, każde rozluźnienie cenzury, by przez szczeliny przemycać własną treść. Powoływałem się na przykłady, zwłaszcza na drugą połowę XIX wieku, kiedy pisarze musieli toczyć podobną grę z cenzurą, i wymieniałem tytuły z „Faraonem” na czele. Posuwałem się dalej, twierdząc, że ograniczenia i zakazy, konieczność ich wyminięcia, szukania kanonu, pobudzają inwencję: rodzą się wówczas nowe alegorie i metafory, które myląc oko cenzury kształtują środki wyrazu. I znowu sięgałem po przykłady: ze sztuki kościelnej.

Teraz jednak w tym rozumowaniu uderzył mnie minimalizm, czułem w nim przymus i wąskość. Bo właściwie czym jest kultura — czy pojęcie kultury da się sprowadzić do dzieł sztuki i myśli, do utworów? Jeśli tak jest, to istotnie nie ma innej drogi poza „łudzeniem tyрана”. Ale czy my łudzimy tyрана, czy tyran nas łudzi? Czy nie jest tak, że w zamian za możliwość publikacji wiersza rezygnujemy z oznajmienia wartości, jakie ten wiersz w sobie ukrywa, z których powstał, do których nawiązuje... Jeżeli zaś tak jest, wtedy nasuwa się podejrzenie, że płacimy zbyt wysoką cenę. Za wartość rzeczy napisanej płacimy wartością niepisaną. Przychodzą takie momenty, gdy kulturę tworzą wartości niepisane. Być może są to tylko momenty napięć i przełomów, sytuacje, w których granice codziennego trwania muszą być przekroczone, a reguły gry złamane. Wtedy staje się bezużyteczna większość przykładów z dziejów literatury — trzeba się odwołać do innych. Do tych niepisanych. Do aktów i postaw, które weszły nie do antologii, lecz do wyobraźni zbiorowej, zapładniając ją swymi gestami, scenami, twarzami.

Z niejakim zakłopotaniem przyznaję, że w trakcie dyskusji wymieniłem obok siebie listopadową noc Belwederczyków i lutowe walne zebranie Związku Literatów po zawieszeniu „Dziadów”, jako dwa przykłady niepisanych faktów tworzących kulturę.

Można by tak postawić sprawę: uczyniliśmy pewien rozsądny krok wychodząc z sytuacji trudnej do zniesienia; stworzyliśmy nową sytuację, dla nas samych nieznaną, otwartą i zawisłą od innych okoliczności niż dotychczasowe. *Zapis* powstał. Nie wiedzieliśmy czym będzie, ile numerów się ukaże, wiedzieliśmy tylko, czym nie będzie. Powstał z kilku przyczyn, z różnych potrzeb. Zapewne i z potrzeby wolności. Ale także ze wstydu na myśl, że nie zostanie po nas nic prócz wydrukowanych powieści i wierszy — nic większego. A mówiąc kultura powołujemy się na rzeczy większe. Dlatego uważam tę decyzję przede wszystkim za rozsądną. Dzisiaj *Zapis* jest oczywistością, jego materiały poddawane są krytycznym ocenom (prócz *Zapisu* zresztą istnieją już inne niezależne pisma), jest oczywistością rzeczywistą, to znaczy wynikającą z autentycznych treści, z przeżywanego stanu rzeczy. Czy jest dobrym pismem? Prawdopodobnie ani gorszym, ani lepszym niż ludzie, którzy je robią i którzy w nim piszą. Jest taki jak oni. Ale jest taki jak oni. Jeżeli pismo staje się takie jak jego autorzy, oznacza to co innego, niż gdy autorzy stają się tacy jak pismo. Również i z tego względu decyzja utworzenia *Zapisu* wydaje mi się racjonalna.

Wszystko to stało się dość niedawno. Jak długo się utrzyma? Trzy, cztery lata temu nie istniało jeszcze prawie nic. I ledwie zaczęło istnieć, rozległy się przyjacielskie ostrzeżenia. Ostrzegano zasadniczo: przed konsekwencjami. Kiedy powstał KOR, ostrzegano przed niebezpieczeństwem drugiej władzy. Po wydaniu pierwszych numerów *Zapisu* ostrzegano naiwnych przed ludźmi, którzy go założyli, przed byłymi komunistami i soc-realistami. Ostrzegano pisarzy przed śmiercią cywilną, przed utratą kontaktów z czytelnikami i nowym uzależnieniem literatury od polityki. Najgorsze wróżby, złowieszcze przewidywania... Ledwie zaczęło istnieć. Ledwie odbiło się od dna. Słowo *dno* osiąga dziś swoją godzinę szczytu, mówiąc „dno” wyrabiamy sobie alibi: wszystko jest dnem, wszyscy są na dnie. Z chwilą gdy ktoś próbuje odbić się od dna, alibi zostaje podważone. Wówczas śledzi się ruchy potępieńca: jak długo się utrzyma?

Może takie pytania trzeba umieć przemilczeć. „Jak długo się utrzyma?” Podejrzewam, że to jest pytanie, którego nie należy stawiać i na które lepiej nie odpowiadać nawet sobie samemu, jeśli zostało już zadane.

Jak ptaki wytrzymują tę ostrą zimą? Jest tu gromada wróbli, sporo kosów i ekipa sikorek. Wczoraj widziałem dzięcioła. To są ptaki, które nie odlatują do ciepłych krajów. Bo-

ciany i jaskółki odlatują. Dlaczego jedne ptaki nie mogą w Polsce żyć przez cały rok, a innym w ogóle nie przychodzi do głowy, żeby odfrunąć za granicę, tego mi dotąd nikt nie wytłumaczył. Moja sympatia jest po stronie ptaków krajowych. Tych osiadłych, tych głodomorów bez legendy, które nie emigrują. Nigdy nie była dla mnie w pełni zrozumiała radość na widok powracającego bociana, skąd się wziął ów mit zacnego dostawcy noworodków, który pożera myszki polne i żabki. A może właśnie trzeba odlecieć, przez dłuższy czas być nieobecnym, podbić swoją cenę? Przypominam sobie mój powrót z Francji siedem lat temu, kiedy rozeszła się pogłoska, że wyemigrowałem. Witano mnie jak bociana. Ile było wtedy ciepłej wdzięczności w ludzkich spojrzeniach! Ale ta omyłka niedługo trwała, wkrótce się zorientowano, że jestem krajowym wróblem. I nie pomagały moje zagraniczne buty. Tylko przez trzy dni dawali się na nie nabierać początkujący waluciarze z Rynku: — Ju wont polisz monej? — Czwartego dnia zobaczyli mnie, jak szedłem z siatką po sprawunki.

Niektóre z tych osiadłych ptaków są trudne do zidentyfikowania. Próżno ich szukać w albumach ornitologicznych, nigdzie nie figurują. Pewnego razu takiego ptaka-zagadkę Jacek Bocheński spostrzegł zagrzebanego w śniegu na leśnej drodze niedaleko Obór. Pochylił się nad nim, aby mu się przypatrzeć. Ptak leżał półmartwy, z wyciągniętymi nóżkami, ale gdy zobaczył pochylonego nad sobą człowieka, nagle się poderwał, zatrzepotał i wpadł w zaspę. Było oczywiste, że nie może latać. Jacek Bocheński nie należy do ludzi, którzy działają pod wpływem nagłych decyzji. Stał nad zaspą, dłuższą chwilę obserwując ptaka i zastanawiając się, jak ma postąpić. Namyślał się z palcem wskazującym przytkniętym do koniuszka nosa, lekko kiwając głową, jak gdyby oceniał sytuację: „A więc tak...”. Po czym ostrożnie wyciągnął rękę. Ptak wrzasnął, ale już nie stawiał oporu. Widocznie on także ocenił sytuację. Ręka kolosa była cieplejsza niż śnieg. Ptak wybrał lepiej ogrzane przeznaczenie i od razu ucichł.

Kiedy przed wieczorem zaszedłem do pokoju Jacka, siedział czytając przy osłoniętej lampce. W drucianym koszyku na pieczywo, odwróconym do góry dnem i nakrytym ręcznikiem, ptak dziobał kawałek sera. Zgadywaliśmy: kos? drozd? a może jakiś nieznany ptak leśny? Był prawie czarny, z rdzawym podgardlem i szylkretowym dziobem, ostrym, wydłużonym, nie z tych krótkich i tępych. Wyglądał tłusto, zdrowo i podskakiwał atakując mój palec, kiedy wtykałem go pomiędzy druty. Na palec Jacka

reagował inaczej: otwierał dziób zachęcająco, jakby gotów do rozmowy i żartów. Wówczas Jacek uśmiechał się, nieco zażenowany. Nakryliśmy koszyk ręcznikiem, ptak już zasypiał z łepkiem wtulonym w pióra. Wychodząc powiedziałem, że nareszcie ktoś ma uzasadnione powody, by wierzyć w Opatrzność.

W trzy dni później tutejszy autobusik zabierał sprzed oficyny gości, którzy po zakończonym pobycie wracali do Warszawy. Odbywa się to rano, około 9-tej, i zwykle przyglądam się tej scenie przez okno. Grupka odjeżdżających zajęła już miejsca, kierowca wnosił rzeczy. Jeszcze tylko na kogoś czekano. Po chwili ukazał się Jacek, niosąc w jednym ręku torbę i maszynę do pisania, a w drugim tekturowe pudełko. Szedł powoli, wpatrzone z uwagą w dziurkowane wieczko, i ostrożnie postawił nogę na stopniu. Po czym zobaczyłem go z profilu, siedzącego wewnątrz za szybą. Pudełko musiał trzymać na kolanach, co można było odgadnąć po nachyleniu głowy, pełnym skupionego namysłu. Pewnie się zastanawiał, czy dopływ powietrza jest wystarczający.

Autobusik ruszył. Gdy zniknął za bramą i nie było już go słuchać, w korytarzu rozległy się okrzyki, wybiegła pokojówka. Pan Bocheński zapomniał walizki! Nie wziął jej ze sobą, została w pokoju.

## *l u t y*

Z powrotem w Warszawie. Żadnych nowych wydarzeń, mówi się tylko o śniegu. Setki zawałonych dachów, wiele mieszkań zalała woda, sople zlatują na chodniki. Na Pivnej sople zabił psa. Tysiące ludzi odgarnia śnieg i to już nie jest „czyn obywatelski”, zarządono obowiązkową mobilizację pracowników. Wciąż za mało pługów i wywrotek. Gromady studentów, uczniów, instytucje i ministerstwa odkopują łopatami śnieg. Rynek przywalony na metr, spod śniegu wystają tylko dwie czarne studzienki.

Po powrocie przeglądałem maszynopis, skreślając tu i ówdzie powtarzające się słowa. Pewne fragmenty wydały mi się nudne, zwłaszcza te, których pisanie mnie nudziło. Tak jest zawsze. I potem takie fragmenty nudzą czytelników. A nie mam dosyć stanowczości, żeby je usunąć. Jakoś mi ich szkoda — ich, albo godzin nad nimi spędzonych. Zazwyczaj te stronicze wykreśla się później, czasami po wielu miesiącach, i wtedy mniej się ich

załuje, same odpadają. Ale to o czymś świadczy. Chyba o tym, że wszystkie te godziny były niepotrzebne. Że niepotrzebny był czas, jaki im poświęciłem. Inaczej mówiąc: że ja byłem wtedy niepotrzebny. I to jest bardzo przykra myśl.

Inna myśl: właściwie dla kogo piszę, kto zechce mnie czytać za ileś tam lat... Podobne myśli czasem gryzą i szarpiają jak bestie. Co prawda w trakcie pisania znikają, przez dwie, trzy godziny ich nie ma, ale zaraz trzeba je znów od siebie odpędzać. Ciekawe, że dwadzieścia lat temu dobiebrały się do mnie łatwiej niż dzisiaj: wydaje mi się, że od jakiegoś czasu potrafię je tresować. Z wiekiem bez szczególnego wysiłku można się stać umiejętnym pogromcą swoich zwierząt i odwracać się do nich plecami. W „Dzienniku” Julien Greena znalazłem kiedyś notatkę stwierdzającą mniej więcej to samo w innych słowach: „Po przekroczeniu pewnego wieku życie staje się podobne do schodów, z których zstępuje się tyłem. Tyłem, żeby nie patrzeć w dół”.

Wczoraj u Kijowskich mówiło się o trudnościach w dziedzinie papierniczej, tak daleko posuniętych, że podobno niektóre pisma mają się ukazywać rzadziej, a książki w nakładach kilkakrotnie mniejszych. Dochodzą do tego fakty sygnalizowane przez filmowców: brak taśmy kolorowej, zła technika kopii, manipulacje ograniczające rozpowszechnianie co wartościowszych filmów. Uprzytomniłem sobie, że przysłuchuję się rozmowie dosyć obojętnie, jak gdyby nie mnie dotyczyła. W gruncie rzeczy piszę dla jednego czytelnika i w jednym egzemplarzu, wszystko ponad tę liczbę przyjmuję jak szczęśliwe zrządzenie, którego nie zakładam z góry. Jedynym pewnym czytelnikiem jest M., której wystarczy moja ustna lektura z rękopisu. Może to absurdalne, a przecież wcale nie dalekie od prawdy. Szansa na publikację moich książek staje się coraz bardziej wątpliwa, przez co widocznie maleje we mnie jej potrzeba. Piętnaście czy dwadzieścia lat temu nie potrafiłbym sobie wyobrazić, że w podobnych okolicznościach będę mógł żyć i pracować. A już najmniej oczekiwane jest to, że — ogółem biorąc — moje życie niewiele się wskutek tych okoliczności zmieniło. Często wspominam opowiadanie P... (Lukullusa) o jego rozmowie z Achmatową, która w ostatnich latach swego życia darzyła go przyjaźnią. Kiedy pewnego razu uskarżał się przed nią na swoje ciężkie położenie (objął go zakaz druku), Achmatowa mu przerwała: — Grozi panu aresztowanie? — P... zaprzeczył. — Wyrzucają pana ze Związku? — P... znowu zaprzeczył. — Więc o co panu chodzi? — P... twierdzi, że była do głębi zdziwiona.

Takie są „ruskie pocieszenia”. W porównaniu z rosyjskim



losem nic nie powinno się wydawać straszne. Dzieje się jednak inaczej. Rosyjski los nie jest wpisany w naszą świadomość, jest dla nas czymś obcym, nie poczuwamy się do niego — do żadnych pokrewieństw ani odpowiedzialności. Cięży nad nami, lecz nie jest naszym dziedzictwem. Zawsze to czułem w rosyjskiej literaturze. Bałem się jej. Do dziś boję się niektórych opowiadań Gogola i całego Sałtykowa-Szczedrina. Wolałbym nie znać ich świata, nie wiedzieć, że istnieje. Trzeba być Francuzem, by czuć się wobec tej literatury bezpiecznym. Czytając Dostojewskiego muszę sobie powtarzać, że wyjdę cało z tej choroby, że się jakoś wymknę; bo dać się jej ogarnąć i ulec byłoby równoznaczne z duchową kaźnią, na którą nie starczy mi pokory.

A przy tym ich literatura przysuwa się do nas, staje się niepokojąco bliska. Zaczynamy nią myśleć, widzieć w niej sceny i sytuacje z własnego życia. W poniedziałkowym teatrze telewizyjnym pokazano przeróbkę „Płaszcz” Gogola. Dłużej niż kwadrans nie mogłem oglądać. W tym przemieleniu duszyczek i poniżającej grotesce beznadziejności było już coś z naszej materii. Zmniejszył się dystans między nimi a nami; to, co przedtem było dla nas pojęciem, myślą o Rosji, teraz staje się naszym własnym ciałem. Bodaj czy nie Herzen porównał gdzieś Rosję do posiniaczonej baby, obitej kijami i leżącej u stóp Mikołaja. Takie porównania dobrze się pamięta. Na ogół dopiero zima przypomina Warszawie, że jest wschodnim miastem. Tym razem cofnęła ją w ubiegły wiek. Ludzie stojący godzinę w brudnym, zdeptanym śniegu na przystanku wyglądają jak zbite wiejskie baby.

„Istnieje wyobraźnia północna, jak istnieje południowa. Ta ze słońca i wina, tamta z wódki i ze śniegu. Jak słońce fermentuje w mózgu jakiegoś Tartarina, tak wódka w mózgu Prohrowa”. Boy pisał to niemal przed półwiekiem w recenzji ze sztuki Katajewa.

Śnieg i wódka... Dodajmy jeszcze ogonki w sklepach i tępo-głowych urzędników. Skąd my to znamy? Czy tylko z rosyjskiej literatury? Ależ nie, to dzisiejsza polska rzeczywistość coraz natarczywiej przywodzi na myśl rosyjską literaturę. Rosja przenika dziś do nas innymi drogami niż trzydzieści pięć i sto pięćdziesiąt lat temu; przez wódkę, przez deprawację i łapownictwo, niekoniecznie jak dawniej przez nasyłanych rusyfikatorów w mundurach. Co tam Gogol! Na Żoliborzu rozgrywają się sceny z „Biesów”. Opowiadano mi o najściu na Latający Uniwersytet w mieszkaniu Kuroniów. Miał się rozpocząć wykład,

kiedy wtargnęła kilkudziesięciosobowa banda, podająca się za „dyskutantów”. Wykład został przerwany. Wataha zaczęła rozbijać się po pokojach wrzeszcząc, kłócąc się i awanturując. Najwyraźniej chodziło o wywołanie bójki. Prawie w każdej powieści Dostojewskiego pojawia się taka „dyskutująca” banda i wtedy zawsze cuchnie prowokacją. Dostojewski jest mistrzem nad mistrze w opisywaniu owych scen, dąży do nich, napina ku nim cięciwę fabularną, jak gdyby wiedząc, że dopiero w tych momentach strzała jego geniuszu osiągnie najwyższy i najcelniejszy lot (czy to jest fortuna przenośnia: „strzała geniuszu”?...).

Odkąd podobne sceny znamy z życia? W przybliżeniu od dziesięciu lat. Wiosną 1968 zapisałem w notatkach: „rewolucja szmalcowników kierowana przez ministra policji”. Znamienne, że nasunął mi się termin z lat okupacji niemieckiej. Nieprzypadkowo. Zimą 1940 widziałem bojówkę chuliganów idącą przez Marszałkowską pod wodzą kobiety w długim męskim płaszczu i berecie (było to wkrótce po zarządzeniu o żydowskich opaskach), bandę, która rzucała się z wyciem na każdego przechodnia z opaską, bijąc go po twarzy, a nieraz masakrując do krwi. Kobieta później zastrzelono, była pijaczką i konfidentką granatowej policji. To się działo, mówię, za okupacji niemieckiej — od razu jednak przyszło mi na myśl słowo „pogrom” i chyba wtedy po raz pierwszy zrozumiałem, jak się robiło pogromy w Rosji, jak się w ogóle je robi. Robi się łatwo. Ludność nie musi uczestniczyć, wystarczy gromada najętych łobuzów. Po marcu 68 milicjanci w Warszawie urządzali poranne odprawy lotne na skwerkach z grupkami schuliganionych wyrostków, którzy zaraz stamtąd szli pod wskazane adresy. To nie były pogromy, chodziło raczej o terror psychiczny, o wypłoszenie Żydów z Polski; ludność także nie brała w tym udziału. Po latach wszystko mi się miesza i słysząc dziś o najściu aktywu na czyjeś mieszkanie lub o ulicznym pobiciu studenta przez nieznaną osobników, kiedy władze porządkowe znikają i dziwnym trafem nie ma w pobliżu ani jednego stróża bezpieczeństwa, na wiadomość o podobnych, bądź jeszcze groźniejszych faktach — nieodmiennie ta sama myśl: szmalcownicy, pogrom, Rosja, okupacja.

Dni, gdy człowiek budzi się rano bez światełka nadziei, są ciężkie. Trzeba je przebiedować, uklepać słowami albo czynnościami. Co dzisiaj w Polsce daje ludziom nadzieję? Lub skromniej mówiąc: co ich zaciekawia? Zastanowiłem się nad tym. Naturalnie, sprawy wieczne ludzkie, takie jak miłość do kobiety, wychowanie dzieci, no i powiedzmy wyniki pracy, nauki etc. Cóż dalej? Dalej perspektywa się spłaszcza. Miłość, wychowa-

nie, praca — wszystko natrafia w myślach na bezsłoneczną, szarą równię, wszystko ucięte i zakreślone bliskim horyzontem, poza którym już nic nie świeci. Ale przyjmijmy, że życie jest takie, załóżmy i tę możliwość: że wszelkie blaski życia są jedynie naszymi złudzeniami, a prawda rzeczywista ze złudzeń odziera. Co wtedy? Z czym się wówczas człowiek budzi, czego jest jeszcze ciekawy?

Porannej gazety. Wiadomości, że na świecie zdarzyło się coś, co przemieni życie i wskrzesi nadzieję...

Poezji, filozofii, sztuki. Wytłumaczenia, opowiedzenia losu przez czyjąś wyobraźnię lub myśl, wyższą, głębszą niż przeciętna miara doświadczeń...

Szczęśliwego przypadku, nieoczekiwanych przygód, jutra, nadchodzącego tygodnia...

Dalej nie sięgam, dalej rozciąga się sfera przeżyć religijnych, wiary w odkupienie i zbawienie — ja mówię tu o ludzkiej nadziei doczesnej, czyli o ciekawości życia. Po namyśle dochodzę do wniosku, że naszej obecnej egzystencji brak wszelkich podnieć do zaciekawienia bytem, ponieważ takie podnieć wymagają nader złożonej, bogatej, a przede wszystkim naturalnej społecznej fizjologii, dopuszczającej wyobraźnię i myśl, otwartej na sztukę, politykę, informację, wytwarzającej i wchłaniającej treści dla organizmu — codziennie, bezustannie i wciąż od nowa. Tę naturalną fizjologię życia u nas zamieniono na szkielet, przez co my sami robimy się szkieletowaci. Rano budzę się wśród mglistych ni to doznań, ni to rozpamiętywań. Jakich, o czym? Trudno by je określić, lecz z nadzieją niewiele mają wspólnego. Czasami chodzi o następne zdanie pisanego tekstu, kiedy indziej o jakieś kłopoty, przykrości, a zdarza się też w półśnie, że myślę o Papieżu, o Chinach... albo o Stanisławie Augustcie. Rozmaicie. W każdym razie nic ze smaków życia nie kusi mnie do zerwania się z łóżka. Ani poranna gazeta, ani świeża, chrupiąca bułeczka. A przy tym nie mam żadnych racji czuć się patetycznie, lub biadolić i litować się nad sobą. Innym nie wstaje się łżej, jeszcze inni miewają się gorzej. Ale budzimy się podobnie: z mętным poczuciem, że nic nas nie czeka. Czterdzieści i Cztery? Apokalipsa? Duchy? Jest w tym, powiadam, coś trupiego, widmowego.

I może to także oznacza bliskość Rosjan.

W Warszawie, niedziela przed wieczorem po mroźnym, słonecznym dniu (dalekie gromadki saren na zamarznętym śniegu), rozmowa w pięć osób o różnych faktach aktualnych. Streściłem

dwa wywiady Milana Kundery, udzielone dla francuskiej prasy. W jednym Kundera odrzucił pytanie *Le Monde*'u dotyczące jego zapatrywań na komunizm. Według niego komunizm to nazwa. Mówił natomiast o rosyjskim totalitaryzmie niszczącym jego kraj. W kolejnej odpowiedzi zaznaczył różnicę pomiędzy swoją sytuacją — emigranta z wchłoniętej przez Rosję części Europy — a sytuacją rosyjskich dysydentów na Zachodzie, dla których sprawy Rosji są pleienne, ojczyste, są losem Rosjan. We wcześniejszym wywiadzie, dla *Quinzaine Littéraire*, zapytany o postawę czechosłowackich pisarzy w latach stalinizmu, odpowiedział spostrzeżeniem w takim mniej więcej sensie: „Dzisiaj widzimy te lata poprzez naszą późniejszą wiedzę o nich, pod kątem gułagu, i widzimy zbrodnię, krew. Ale wtedy dla nas była w nich również idylla, utopijna arkadia. Czy pan sądzi, że wasz poeta o anielskim sercu, Eluard, nie napisałby poematu o Stalinie? Platońskim marzeniem humanistów jest identyfikacja świata realnego z porządkiem idei. W to chciało się wierzyć, to wydawało się wówczas osiągalne”.

Kundera wykłada na katedrze slawistyki w Rennes, poznałem go kilka lat temu. Wcześniej już przysłał mi do Paryża swoją książkę „*Žart*” z dedykacją: „Memu milowanemu spisovatelu” — co mnie mile zdziwiło. W 1976 spotkaliśmy się w restauracji niedaleko „*Gallimarda*”; przyszedł z *Ugne Karvelis*, żoną Cortazara. Mocno zbudowany, wysoki, w typie chłopsko- amerykańskim, o bystrych szaroniebieskich oczach i twardej szczęce. Zaskoczył mnie wzrostem (Czesi wydają mi się okrągli i niscy), bufiastymi spodniami z weluru i jedną uwagą o Czechach: że przydałby się im nacjonalizm. Spytałem go: — Ma pan na myśli nacjonalizm czy *résistance nationale*, bo to nie jest to samo. — Machnął ręką, niby opędzając się od intelektualnych zawilgości. Był zdecydowanie sympatyczny.

Kiedy mówiłem o jego wywiadzie dla *Quinzaine*, ktoś nagle sobie przypomniał, że *Jerzy Zagórski* w roku 1950 czy 51 biegał z tomikiem poezji *Gałczyńskiego* krzycząc do ucha spotykanym znajomym: — Arkadia! Komunistyczna arkadia! — *Gałczyński* przeżywał wtenczas żarliwy prozelityzm, napisał wiersz o słubnych obrączkach kupionych na Kremlu. W tym samym okresie ja kończyłem powieść „*Człowiek nie umiera*”, w której występowały postacie komunistów przypominające sielankowych pasztery.

Utopie polityczne mają suchą kośćistość teorii. Ich dokładnie oczyszczony rysunek, bezcielesność i anatomiczna prawidłowość

Akurat odwrotnie niż myślę. W moim przekonaniu niczym się pisarze nie różnią od innych ludzi. Jedyne co ich różni: to że piszą. Więcej nie da się schwycić w garść. Dlaczego piszą właśnie oni, a nie inni, czym jest talent, skąd się bierze wyobraźnia — czy z psychologii, czy z plemników — dajmy temu spokój, Pan Bóg wie. Pisarze mają właściwości zwykłych ludzi, mogą być pedantami albo dystraktami, rozrzutnikami lub sknerami, jedni są skrupulatni, drudzy nieobliczalni, samotnicy i dobrzy kompani, ten ustępliwy, ów bezwzględny; są zwyczajnie po ludzku rozmaici, jak krawcy czy lekarze. Pan Bóg wie, dlaczego Iwaszkiewicz jest utalentowany i co się za tym kryje. Psychologia pisarza... Ale gdzie wspólny mianownik? Nie spotkałem dwóch ludzi skrajnie różniących się od siebie psychologicznymi cechami, niż Iwaszkiewicz i Słonimski — dwóch pisarzy. Nawet w myślowym widzeniu inaczej mi się ukazują. Antoniego widzę zawsze z profilu. Składał się z dwóch identycznych profilów, jak żyłotka. Kiedy ciął, doskonale wiedział, o co mu chodzi. Jarosław nigdy dobrze nie wie, o co mu chodzi. Widzę go *en face*, na wprost: twarz z pagórkami, jeziorkami, krzakami i brudami, jak krajobraz. O co chodzi w krajobrazie? Płodność Iwaszkiewicza porównywano do drzewa. Starczy mu naciąć własną korę, aby od razu pociekła żywica. Ale Iwaszkiewicz tnąc nie wie, co mu pocieknie, sam bywa zdziwiony swymi utworami i nie zawsze rozumie ich sens. Kiedy mówiłem mu o „Zarudziu”, patrzył na mnie niedowierzająco: — Bardzo, bardzo ciekawe... A ja wcale o tym nie myślałem — zachichotał — a nie wiem, co myślałem, prawda, tak.

Jubileusz, urzędowa pompa, akademie, wywiady, filmy, naturalnie, dzisiaj to jest okazja do podejrzeń. Nade wszystko irytuje uniżoność Iwaszkiewicza wobec politycznej władzy. Czemu to stare, omszałe drzewo tak się nagina? Po co — skoro może dostojnie górować? Owszem, zapewne, trzeba jednak zobaczyć Iwaszkiewicza w Stawisku, jak idzie aleją wśród jesiennych drzew i jak im się przygląda. Ma wtedy we wzroku pokorne zdziwienie, wahający się namysł, pełen szacunku i familijnej znajomości rzeczy. Raz, tak go obserwując, pomyślałem, że musi się czuć bliskim krewnym tych drzew i że dla niego psy, gwiazdy, wnuki i śmierć, topole i Szymek i stare ciotki na ganku, wszystko jest częścią natury. Władza także jest częścią natury. Jarosław, wsłuchując się w gratulacje Pierwszego Sekretarza, miał w oczach wyraz panteistycznego doznania, z jakim by słuchał wodospadu w Tatrach. Co wcale nie oznacza, że ufa wodospadom. Gdzież tam, ani wodospadom, ani politykom, ani drzewom. Nie ufa

mnie ani sobie. Bo razem z Gierkiem, brzezina i Kasjopeą nale-  
żymy do natury, a natura nie powinna budzić zaufania. Trzeba  
ją szanować jak rodzinę; dobrze znać, godzić się i niewiele ocze-  
kiwać. — Nie martw się, Polu — powiedział do Gojawiczyńskiej,  
kiedy ciężko zachorowała w Stawisku — położysz się na cmen-  
tarzyku w Brwinowie, tam sucha ziemia i ptaszków dużo, od-  
poczniesz sobie pod brzošką... — Gojawiczyńska z oburzenia za-  
raz wyzdrowiała. Ale Jarosław nie chciał jej zrobić przykrości.  
Pola, ziemia, ptaki, to są fragmenty przyrody, cmentarzyk w  
Brwinowie też dany jest od Stwórcy. Tak jak rząd w Warszawie.

marzec

Przeglądając wczoraj maszynopis „Zielonego cienia”, zatrzy-  
małem się tylko przy jednym fragmencie.

„... Do redakcji *Zewu* szedł w jesiennym deszczu przez  
Krakowskie i kiedy szurając butami usiadł przed biurkiem Na-  
czelnego, spostrzegł, że zabłocił mu podłogę. — Dwa wiersze są  
niezłe — mówił szybko Naczelny odgarnawszy palcem ciemny  
kosmyk spadający mu na brwi — co do talentu, to nie wiem,  
czy go macie, coście tak zmokli, zdejmcie płaszcz, będziemy dru-  
kować. — Był o dwa, najwyżej trzy lata od niego starszy, śniady,  
z wystającą grdyką i zgryzionym papierosikiem w kącie ust. —  
Do dupy z talentyzmem — krzywił się w chmurze dymu —  
będziemy drukować, w waszym pisaniu jest jakieś coś, jakaś  
temperatura, powiedziałbym, coś... coś... — Na ścianie wisiała  
fotografia powyżej głowy Naczelnego. Przedstawiała kilkunastu  
mężczyzn w polowych kurtkach i miękkich czapkach z daszkami.  
Otaczali człowieka w szarym płaszczu z podniesionym kołnierzem,  
wspartego oburącz na szabli. Za nimi widać było chałupę krytą  
strzechą, opłotki i malwy, a w nieco zatartym tle żołnierz u  
studni poił konia. Nie znał tego zdjęcia, rozpoznawał tylko wy-  
skoki twarze. Obok człowieka wspartego na szabli stał wysoki  
mężczyzna w binoklach, a po jego lewej ręce zadumał się brodac  
w rozpiętym mundurze i maciejówce zsadzonej na bakier z oban-  
dażowanego czoła. Na samym zaś skraj, widoczny z profilu  
w szamerowanej bekieszy, mały, rogaty ułan z baczkami nogę  
w marszczącej cholewie odrzucił w tył jak do skoku w siodło...”.

„... Z tych pierwszych miesięcy pozostały mu wspomnienia  
luźne i nieostre, prawie żadnych faktów, pamięć jak gdyby przy-  
dymiona, ciepła, pamięć krętych, wąskich schodów i przybliżają-  
cego się gwaru za niskimi drzwiami z przypiętą okładką *Zewu*,

głośno rzucających imion, płaszców walających się na krzesłach w ciasnym korytarzyku, przez który codziennie wchodził zarumieniony od pośpiechu i wiatru, już coś do kogoś wołając, już od progu kogoś przekonując (ale kogo? o czym?...), rozgrzany własnymi słowami, których później nie mógł sobie przypomnieć — pamiętał tylko, że bardzo dużo mówił i że przychodziło mu to z niezwykłą łatwością. Stał się popularny, zagajał dyskusje. W grudniu dokooptowano go do komitetu redakcyjnego *Zewu* (ogólnopolski dwutygodnik młodzieży gimnazjalnej), zabierał głos na kolegiach i mówił, mówił z biegle opanowaną techniką spojrzeń i uśmiechów, wypowiadając się na każdy temat i uprzejmie traktując przedmówców, nawet gdy nie podzielał ich zdania. I wreszcie zaniemował pewnego zimowego dnia...”

Było trochę inaczej. W tym fragmencie „Zielonego cienia” — opowiadania, które przerwałem we wrześniu nad morzem — pewne okoliczności i daty są zmienione. Nie przyniosłem wierszy. W ogóle nigdy nie pisałem wierszy. Do redakcji *Kuźni Młodych* skierował mnie mój profesor gimnazjalny, poeta, Leon Rygiel, pierwszy mąż Nałkowskiej (w swoich „Dziennikach” przedstawiła go zbyt niemiłosiernie) i dobrze pamiętam, co mi wtedy powiedział. Zatrzymał mnie na korytarzu szkolnym: — Szukają recenzenta teatralnego. Pomyślałem o tobie. Wiesz, gdzie to jest? Na Zamku, mój kochany... — To był kwiecień albo maj 1933. Redakcja *Kuźni Młodych* mieściła się jeszcze w skrzydle Zamku Królewskiego, wkrótce potem została przeniesiona do oficyny pałacu na Krakowskim, tuż obok kościoła Wizytek.

Nie przypominam sobie pierwszej rozmowy z Naczelnym, którym był wówczas Kazimierz Perl, zdaje się wnuk Feliksa Perła, blisko związanego z Piłsudskim w bojowych latach PPS-u. Ta genealogia miała dla mnie szczególne znaczenie. Mówię, że nie przypominam sobie dokładnie przebiegu rozmowy; ale pamiętam scenę: spacerowaliśmy po zamkowym dziedzińcu, Perl wziął mnie pod rękę i pytał delikatnie, kiedy mógłbym napisać recenzję z „Carewicza” Zapolskiej. Kaszłał w czystą chusteczkę do nosa. Miał wygląd nieśmiałego gruzlika-marzyciela, garbił się jakoś ujmująco, włosy opadały mu z tyłu na koźnierzyk. Ja drżałem z przejęcia. Perl nosił nazwisko człowieka, do którego Piłsudski pisał w przededniu akcji pod Bezdanami: „Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to u b l i ż a, słyszysz — ubliża mi jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą. Niech inni bawią się w hodowanie kwiatów

czy socjalizmu, czy polskości, czy czego innego, w wychodkowej (nawet nie klozetowej) atmosferze — ja nie mogę!”.

Czułem się podobnie, jakbym ze szkolnej, nudnej vegetacji został przeffancowany wprost na stok historycznej wielkości.

Legenda Piłsudskiego w moim odczuciu zawsze łączyła się z polskim socjalizmem niepodległościowym. W rodzinie miałem z polską przetransportowaną do Kalisza (stamtąd docierali do Galicji) i których bracia w parę lat później byli legionistami. Sprawa brzeska rzuciła wprawdzie cień na tę legendę, ale nie zburzyła jej doszczętnie. Nadal widziałem w Piłsudskim dawnego przywódcę Wydziału Bojowego PPS, a rozprawę z postami lewicy tłumaczyłem sobie niezrozumieniem przez nich jego ponadpartijnych racji i dalekowzrocznych zamierzeń. Przy czym oszołomiła mnie skandaliczna dosadność epitetów: „hotel, serdel i burdel”... takich określeń nie używali politycy w melonikach, to mi się podobało. Byłem wtedy w łódzkim gimnazjum matematyczno-przyrodniczym, ufundowanym przez sfery wielkoprzemysłowe. Dzisiaj w tym gmachu mieści się uniwersytet. Nauczyciele mieli sympatie endeckie; na akademii 19 marca, w niecały rok po przewrocie majowym, przedstawiciel ciała pedagogicznego rozpoczął uroczyste przemówienie od słów: „Czcimy dziś imię trzech wielkich Józefów. Józefa Hallera, Józefa Dowbór-Muśnickiego i Józefa Piłsudskiego”. Mój ojciec po tych słowach wyszedł z sali. Ale ja musiałem zostać, byłem sopranem w szkolnym chórze. Przez kilka lat dusiłem się w obcej, zimnej atmosferze gimnazjum, wbity w czarny mundur z wysokim kołnierzykiem zapinanym na haftki. Straszły mnie rebusy matematyczne, wiedziałem, że przepadnę, nie dobrnę do matury, tym bardziej że w dwóch ostatnich klasach dochodziły nowe przedmioty o złowrogich nazwach: arytmetyka handlowa, księgowość, towaroznawstwo... Z roku na rok rosła we mnie nostalgia za Warszawą, którą znałem właściwie także z legend — z historii, z literatury, ze wspomnień ojca. Kiedy wreszcie latem 1932 przeprowadziliśmy się do Warszawy, przez pierwsze tygodnie chodziłem po ulicach niezupełnie przytomny. Znalazłem się wewnątrz mitu, w spełnionym śnie. Odbywałem samotnie trasy przechadzek Wokulskiego, siedząc na ławce obok bramy wjazdowej do Łazienek przeżywałem sceny z „Nocy Listopadowej” i „Przedwiośnia”, po mojej lewej ręce bieleły się kolumny belwederskiego ganku. Wszystko tworzyło całość — literatura mieszała się z historią, rzeczywistość z malarstwem, przeszłość z terażniejszością. Wszystko było urzekające, bajeczne.



Podobnie cudownego wejścia w obraz, w żywą materię pojęć, idei i marzeń, później już nie przeżyłem w żadnej z wielkich stolic. Nowy Jork przypominał mi olbrzymią Łódź — sto Łodzi, w które powtykano drapacze chmur. Paryż odkrywał swoje uroki stopniowo, coraz to inne za kolejnym pobytem. Ale tak zapierające oddech potwierdzenie wyobrażeń i tak szczęśliwe zdumienie własną obecnością u ich źródła, jak tamtego pierwszego lata w Warszawie — nie, nigdy potem i nigdzie indziej.

Wtedy nie dostrzegłem wschodniej prowincjonalności miasta, zobaczyłem ją dopiero wstecz, po długim czasie. Próbowałem ją opisać w „Rondzie”. Mój rudowłosy bohater po przyjeździe z Poznania na studia do Warszawy odniósł wrażenie niekorzystne. Kamienice o płaskich, przykopconych frontach wydały mu się niezbyt porządnie utrzymane. Przeważał kolor brudnego piasku albo ziemistej szarżyny. Chwilami przychodziło mu na myśl, że domy zaczęto tu budować na modelu parterowej murowanej chałupy. Parę takich chałup nasadzonych jedna na drugą tworzyło kilkupiętrowe czynszówki, z jakich składały się rozległe i źle ze sobą zrosnięte dzielnice. Miasta nie można było obejść wokół, arterie prowadziły prosto przed siebie do brzydkich przedmieść, które urywały się w polu. Rzeka płynęła jakby za nisko i rozlewała się za szeroko. Kiedy opuściwszy dworzec doszedł z walizką do przystanku, zapytał, w jakim kierunku ma jechać do śródmieścia. Okazało się, że jest w śródmieściu, w jego centralnym punkcie. Było to skrzyżowanie szyn tramwajowych. Tramwaje nadjeżdżały z czterech stron, ludzie wsiadali wysiadali, po czym tramwaje odjeżdżały w cztery strony. Dworzec z zegarową wieżyczką przypominał wprawdzie gmachy magistrackie, ale w pobliżu nie widać było rynku, katedry, zamku ani opery. Tylko kilkupiętrowe domy obwieszane szyldami, sieć drutów elektrycznych i rzędy latarni rozchodzące się w te same cztery strony świata. Mojego bohatera wszystko to niezmiernie dziwiło.

Warszawa w międzywojennym dwudziestoleciu nie olśniewała cudzoziemców. Szara, o chaotycznym planie, odwrócona plecami do Wisły, mogła się wydać nieciekawym miastem. Dla mnie jednak świat był wtedy ciekawy. Po przyjeździe z fabrycznej, zadymionej Łodzi, którą traktowałem jak przymusowe miejsce postoju na ślepej bocznicy, Warszawa utożsaiała mi się z urokami świata. Nie zaliczałem się do katastrofistów. Uczyłem się na pamięć wierszy Lechonia, czytałem powieści Duhamela i zaledwie obito mi się o uszy nazwisko Kafki. Dziś budzi mnie czasem myśl, że świat jest mały, głupi i krwawy. Ale w tamtych latach było mniej informacji, mniej się wiedziało. Nie ma grubszej

1926  
Paris

omyłki niż sądzić, że im więcej informacji o świecie, tym staje się on bardziej zrozumiały. Odwrotnie: współczesne środki masowego przekazu ujawniają nieobliczalność planety, której praw nie znamy. Wszystko może się stać, o wszystkim się dowiem, ale to wcale nie oznacza, że wszystko zrozumiem. W tym czasie w wielu znajomych domach nie było jeszcze radioodbiorników, o telewizji nawet się nie śniło, filmy częściej były sentymentalne niż okrutne. Teatr Polski dał tego lata premierę angielskiej komedii muzycznej „Jim i Jill”, w Niemczech hitlerowcy nie objęli jeszcze władzy, dopiero za parę lat miała wybuchnąć wojna domowa w Hiszpanii, nie było jeszcze wiadomości o procesach politycznych w Moskwie. Azja? Afryka? Dominia i kolonie starych mocarstw leżały wówczas daleko. Świat można było ogarnąć myślą, wydawał mi się rozległy, wielki, ale normalny. Polska, niepodległość, to także było normalne dla nas, urodzonych nazajutrz lub w przededniu listopada 1918. W *Kuźni Młodych* po raz pierwszy zetknąłem się z moimi rówieśnikami, którzy uważali, że tę normalną Polskę trzeba zmienić. Byli piłsudczykami, jednakże mówiąc o Piłsudskim wyraźniej niż ja kładli akcent na jego socjalistycznej przeszłości: polska rewolucja spełni młodzieńcze ideały Komendanta. Trochę mi to dziś przypomina nawiązywanie po 1956 roku do „młodego Marksa”...

Zbyt naiwne? Och, z pewnością. Podobna naiwność zwykle staje się przedmiotem manipulacji. W „Zielonym cieniu” jest opis wizyty komitetu redakcyjnego *Zewu* u szarej eminencji na Zamku: „... Wszedł do pokoju zapełnionego młodymi ludźmi i w chwilę później napotkał czarne, uśmiechnięte oczy mężczyzny wtaczanego na ruchomym fotelu. Woskowe czoło i dłoń przy powitaniu lekka jak pazurki ptaka. I ciemny pled, zbyt wiotko opadający. Pan Adam mówił prawie szepcząc, przez cały czas ogarniając ich uśmiechem. Mówił o dorobku *Zewu*, który... „w sumie wypada ocenić pomyślnie”, a gdy ktoś z najmłodszych wspomniał o zaniedbanej łączności ze środowiskami prowincjonalnymi, spojrzął ku wnętrzu z oknem i nie przestając się uśmiechać przytwierdził z nieco figlarną powagą: — Prawda. Prawda. — Po czym zmienił temat. Zwróciwszy do nich przezroczyłą twarz z kruczym zarostem, usta rozciągnięte nienaturalnie pogodnym grymasem, wyjawiał im swoje odkrycie. Odkrył na nowo poetę. — Filozof społeczny, moralista... — zaśmiał się szeptem i uniośszy rękę ponad biurko wypowiedział niespodziewanie śpiewnym głosem wers poematu Norwida”.

globalt  
justif

Adama Skwarczyńskiego opisałem w tym fragmencie dość wiernie. Był jedną z najczystszych postaci w obozie rządzącym

Polską po maju 1926. Wówczas pełnił skromne obowiązki naczelnika wydziału kancelarii cywilnej Prezydenta, ale w wewnętrznej hierarchii pilsudczyków zajmował, jak mówiono, miejsce wysokie i szczególne. Jego wygląd ormiańskiego Chrystusa, głos, uśmiech, chudość rąk i cytat z Norwida, wszystko jest autentyczne. Miał amputowane obie nogi, dlatego pled tak luźno opadał. W scenie pominąłem tylko epizod z telefonem. Pod koniec audiencji zadzwonił telefon. Skwarczyński po odłożeniu słuchawki powiedział z uśmiechem: — Ułaskawiliśmy człowieka.

Użyłem tu słowa „manipulacja”, które w tym znaczeniu weszło w obieg dopiero po wojnie. W stosunku do nas w tamtych latach właściwie na czym ona polegała? Rozumowano tak: „Państwo kształtuje wolę narodu. Prawica jest podła, lewica jest głupia, hasła stronnictw należy zastąpić pracą i czynami, a doktryny socjalnych podziałów ideą obowiązku i służby dla Państwa”. W języku konkretniej politycznym oznaczało to potrzebę stworzenia ideologii, która odetnie młodych Baryków zarówno od marksistowskiej teorii walki klas jak od nacjonalistycznego programu endecji. Oczywiście nie mówiono nam tego wprost, naciski były kamuflowane, pośrednie. Dla mnie — nieodczuwalne. Raz tylko śmignęło mi koło samej głowy.

Istniała wtedy organizacja młodzieży szkolnej pod nazwą „Filarecja”, członkowie zespołu *Kuźni* weszli do jej władz. Organizacja była tajna (utrzymywano romantyczne pozory, to działało na młodą wyobraźnię), w rzeczywistości patronowali jej starsi panowie z rządu. Prowadziłem jedno z „kółek”, złożone z uczniów gimnazjum Batorego; zbieraliśmy się co tydzień w piwnicy na Koszykowej. Pewnego razu wygłosiłem odczyt polityczny, w którym napiętnowałem sanację za zdradę idei Marszałka — mówiłem o jego osamotnieniu, o usunięciu w cień dawnych towarzyszy walki. Wśród członków „kółka” był syn ministra Miedzińskiego, pułkownika, który w swoim czasie kierował akcją na Dworcu Głównym, gdy w pledzie majora X wykryto bibułki z szyframi. Mały Miedziński po mojej prelekcji wyszedł z piwnicy załamany i wieczorem opowiedział wszystko w domu. Wybuchł skandal, nastąpiła telefoniczna interwencja. Szefowie „Filarecji” — moi redakcyjni koledzy — postanowili mnie obronić błyskawiczną ripostą. Bez mojej wiedzy zarządono nagłą odprawę „kółka” i biedny mały Miedziński stojąc na baczność wysłuchał nagany z ostrzeżeniem za złamanie tajności organizacyjnej. Zawiadomiono mnie o tym po fakcie. Zrobiło mi się nieswojo: przecież zwierzył się ojcu... W trzy dni później zjawił się u mnie w mieszkaniu na Lwowskiej. Był to błąd

chłopiec, tylko co po mutacji, wystrzyżony krótko na języka. Przyszedł zdenerwowany, spięty, by zaproponować mi wspólną przejażdżkę samochodem za miasto: w celu odbycia dyskusji. Przyjąłem zaproszenie i rozmawialiśmy chwilę jeszcze. Próbowałem go jakoś pocieszyć, wyłumaczyć, że nie byłem sprawcą jego kompromitacji. Patrzył na mnie nieufnie. W końcu jednak musiało w nim odtajać, bo rozstaliśmy się dość przyjaźnie, a o wybiegach za miasto nie było więcej mowy. Później dowiedziałem się od jego kolegów, że zaplanował moje porwanie. Miałem zostać wywieziony do zagajnika pod Raszynem i tam pobity w krzakach.

Takie kłopoty po latach wydają się zabawne, ale wtedy... Nagle tknęła mnie dwuznaczność, nieczystość sytuacji; jak gdybym poczuł przez skórę, że tu się gra z kartą ukrytą w rękawie. Tajność dozorowana z kancelarii na Zamku, rewolucyjność prowadzona na rządowych nitkach... Po maturze przeszedłem w stan spoczynku. Dałem sobie spokój z działalnością, z pisaniem i dyskutowaniem, raz na zawsze postanowiłem zerwać z polityką. Zagarnęła mnie z powrotem na trzecim roku studiów. Wstąpiłem do akademickiej organizacji socjalistycznej, byłem członkiem warszawskiego zarządu ZNMS. Na dziedzińcu uniwersyteckim biliśmy się z falangistami, nieraz do krwi. Piłsudski już nie żył. W owym czasie krytycznie oceniałem epokę jego rządów, ale pozostał mi sentyment i urok legendy. Mój socjalizm łagodnie się z tym godził. Kiedy w kwietniu 1938 przeprowadzano u mnie rewizję, kierujący nią funkcjonariusz policji znalazł egzemplarz „Manifestu komunistycznego” i brązową plakietkę z doczepionym bukietkiem mimozy. Na plakietce widniał profil Komendanta. Policjant wybałuszył oczy. Nie rozumiał. A ja nie rozumiałem, co go tak zdziwiło.

W *Kuźni Młodych* wydrukowałem kilkanaście recenzji (bardzo słabych) i na jednym z zebrań dyskusyjnych poznałem M. Było to nasze pierwsze spotkanie od czasu, gdy zobaczyłem ją na Nowym Świecie przez szybę *gelatterii*. Ktoś przyniósł wódkę. Nalałem sobie pełną szklankę i wypiliśmy duszkiem. Później odprowadzając M. do domu, z Krakowskiego Przedmieścia na Topolową, siedłem obok niej na wół zamroczony i sztywny. Nie przypominam sobie, co wtedy mówiłem i czy w ogóle coś mówiłem. Pamiętam tylko, że pod jej domem, gdy zauważyła przy pożegnaniu, że jestem do kogoś podobny, wychrypiałem nagle: — Jestem podobny do pani przyszłego męża. — Skąd mi się wzięło to jasnowidzące szaleństwo? Z żytniówki! Musiała się wystraszyć, bo przez dwa tygodnie nie przychodziła do redakcji.

I właśnie po dwóch tygodniach nadeszła wiadomość o śmierci Adama Skwarczyńskiego. Zespół *Kuźni* wybierał się na pogrzeb, to były ostatnie dni marca, ciepłe przedwiosnie. Na Topolową pojechałem tramwajem. Byłem zgrzany, gniołem pod pachą szkolną czapkę. Nacisnąłem dzwonek u wejścia i po chwili otworzyła mi drzwi na pierwszym piętrze. Miała lekki barankowy serdak zarzucony na ramiona. Kiedy zawiadomiłem ją o śmierci i pogrzebie, przyjrzała mi się z wesołym zaciekawieniem. Za jej plecami dostrzegłem jadalnię pełną słońca, w której siedzieli jej rodzice i jacyś goście zaproszeni na obiad.

Dziwne, że z całego okresu *Kuźni Młodych* najsilniej utkwiły mi w pamięci te dwa dni. Dzień audiencji w małym, ciemnym gabinecie na górnym piętrze Zamku i tamto przedwiosenne południe niedzielne, kiedy tęskniłem już za nią i przyjechałem, żeby ją zobaczyć, i kiedy — zamiast wyznać jej swoje uczucia — zaprosiłem ją na pogrzeb. Na który zresztą nie przyszła. Pomiędzy tymi dwoma dniami istniał związek, połączył je ze sobą cień zmarłego, tak jakby czyjaś śmierć popchnęła naprzód czyjaś miłość. A najdziwniejsze, że z wszystkiego, co przez ten rok pisałem i o czym dyskutowałem, nic, ale to nic zupełnie nie pamiętam.

Piękna pani F. minęła mnie wczoraj przed księgarnią, trochę mniej piękna niż latem, gdy kiedyś zobaczyłem ją dwukrotnie w ciągu jednego dnia. Tego dnia utrwalił mi się jej obraz, a właściwie niedokończony szkic, kilka fragmentów.

Suknia przed kolana, żółta, z kołyszającą się falbaną u dołu. Purpurowe jabłka w siatce. Oczy jak pod hełmem, czujne, chłodne. Pod opalonym na brąz czołem bardzo jasne, srebrne. Czoło prostopadłe, z wygrawerowanym nacięciem, pionową kreską między brwiami.

Oczy z metalu. Przyzwoite, niemieckie usta i spokojne nozdrza, którym zdają się przeczyć małe uszy o różowym wnętrzu, podobne do chrap żrebaka. Twarz przytrzymana parą klipsów i ciasnym naszyjnikiem, wszystko z tego samego metalu, co oczy.

Wysoko wspięta ku swoim uniesionym włosom (kok mikado), chodzi na palcach, jak po klawiaturze. Stukanie pantofelków w słońcu przed Katedrą. W głębi słycać organy i chór, chodnikiem zbliża się gama. Luźna suknia z falbaną nad kolanami o skórze złotej i obcisłej. Suknia koloru ognia. Jabłka w fioletowej siatce.

We wrześniu, po wakacjach, przed Katedrą. I wieczorem na szwedzkim filmie w kinie „Wars”.

Zauważyłem, że zima starła z niej zeszłoroczny połysk. Do jej letniego szkicu weszła purpura, fiolet, srebro i złoto, których w prozie nie należy używać. Są to raczej hierarchie niż barwy. Pory roku w Polsce rozpoznaje się po kobietach i drzewach. Wczoraj przed księgarnią, w szarym marcowym powietrzu, mniej piękna pani F. była obrazem stworzonym przez inny warsztat środków. Niosła chleb w siatce, miała rozpięty, łaciaty kożuch, spodnie wpuszczone w buty i wymizerowaną twarz pod daszkiem kaszkietu. Przyszło mi na myśl, że zima — jakby operując gwaszem — nadała jej zwykły ludzki wygląd. Ale zaraz uświadomiłem sobie, że moja myśl nie trafia w istotę rzeczy, bo dwa obrazy pani F., szkic letni i szkic zimowy, dzieliła różnica o cechach przyrodniczej zmiany bytu, skóry, charakteru i płci.

Dni bez pisania, korespondencja, zamiejscowe telefony, parę niepotrzebnych spotkań z ludźmi i rozmów zainfekowanych plotkami. Na sympozjum do Wiednia nie pojadę, do Berlina nie pojadę. Ale to wszystko wymaga listów, redagowania uprzejmych odmów, wyjaśnień, i jeszcze kopert, znaczków, chodzenia na pocztę etc. Wszystko zabiera czas, którego jest mało. Dni jak posiekane tasakiem. W nocy jodlowanie za oknem, pięjące wrzaski: — Milicja! — i bełkot. Przedwiośnie. Teksty pijanych są nieraz ciekawe. Wczoraj któryś zaryczał samotnie: — Jeszcze Polska nie zginęła...! — po czym ucichł i dodał już dla siebie: — Kurwa, ruskie przyszły... — I znowu cisza. I znowu od Barbakanu ryk, skandujący, marszowy: — Gierek-Żyd-Breżniew-Żyd-wszys-cy-Żydzi-do-Izra-ela! — Nad ranem, kiedy ani rusz nie mogę zasnąć, sięgam po zeszyt z notatkami, żeby przynajmniej zapisać te głosy ciemności. I natykam się na dwie króciutkie notatki, jedna przy drugiej, o prozaiku i poecie. „W.Ż.: Polak mały” i „E.B.: tuczony wieszcz”. Obydwe podwiązują się pod nocne głosy i dają im swoje twarze. W sumie — przykra noc.

Berlin to sprawa finansów. Pół roku bez wydatków w kraju plus możliwość odłożenia pieniędzy na dalszy rok. Ponieważ moje krajowe zarobki nie przekraczają rocznie 5 tysięcy, Wydział Finansowy uznał mnie za „martwą duszę” i od trzech lat przestał mnie wzywać do składania deklaracji o dochodach. Żadnych wznowień, „Rondo” dwa lata tkwi zamknięte w wydawniczej szufladzie na Wiejskiej, tylko z zagranicy wpływają od czasu do czasu honoraria. W prasie, telewizji i radiu nie wymienia się

zakazanych nazwisk. Oprócz mnie takim kondemnatom podlega co najmniej kilkunastu autorów — *infamisów* obłożonych karą ekspulsji literackiej. Boy, Dąbrowska, Tuwim, czy nawet Broniewski w przedwojennym dwudziestoleciu nie zaznali smaku tej wewnętrznej banicji. Byliby go zaznali, gdyby władzę w Polsce uchwyciła oenerowska falanga. Wyroki są niejawne. — Nie ma decyzji negatywnej — poinformowano mnie w sprawie „Ronda” — ani pozytywnej. Nie ma decyzji.

W tych okolicznościach powziąłem decyzję wyjazdu do Berlina. Ale nazajutrz rano przypomniały mi się olbrzymie rzeźby kamienne w pustym Tiergartenie i zobaczyłem, jak idziemy gdzieś z M. po zeschniętych liściach aleją w stronę pomnika Moltkego. *Warum?*

Czarne listy, zaoczne infamie, rugowanie pisarzy z życia publicznego, tak bywało już przedtem i wtedy ich samotność była większa, a osobista sytuacja zagrożona stokroć niebezpieczniej. W kilka lat po wojnie, kiedy moje książki ukazywały się w dużych nakładach, nie wolno było wymieniać w prasie nazwisk pewnych wyklętych autorów, takich jak Zawieyski, Bąk czy Stawar. Jerzy Zawieyski biedował w sublokatorskim pokoju (za ścianą mieszkała prostytutka), wspierany zasiłkami przez księży. Wiodło mu się gorzej niż nam dzisiaj, a w kraju było groźniej. Kiedy go odwiedzałem, piliśmy herbatę żartując i unikając rozmów o tym, co nas dzieliło. Raz tylko zaryzykowałem mówiąc: — Jerzy, nie potrafię się modlić, „módl się i pracuj” to jest przykazanie dla dwóch osób. — Ale dzieliło nas w tych latach coś więcej niż poglądy; czasami po wyjściu od niego czułem się tak, jak gdybym odwiedził więźnia w celi.

Więc było gorzej. Dziś można często usłyszeć owo było gorzej wypowiedziane w formie zarzutu: „obecne zło jest mniejsze, a zatem nie należy go drażnić — było gorzej”. Niejednokrotnie taki argument wysuwają ludzie prześladowani w latach stalinizmu.

Tak. Wprawdzie mniejsze zło może sięgać głębiej i ogarniać szerzej i z mniejszym złem daje się żyć łatwiej, a to w konsekwencji oznacza... Ale tu nie chodzi o porównywanie wymiarów i rodzajów. I nie o pisarzy tu chodzi. Chodzi o to, jak się zachowa społeczeństwo w stosunku do paru tysięcy młodych ludzi — do garstki, którą z siebie wyłoniło i która od pięciu lat usiłuje je wyrwać ze stanu bierności. Czy udzieli jej poparcia, czy ją otorbi milczeniem. Żadne argumenty nie wytrzymują próby wobec faktu, że jest tych parę tysięcy. Żadne. Ani argument zachowania substancji narodu, ani obawa przed interwencją

z zewnątrz. Żadne ostrzeżenia dotyczące przeszłości lub przyszłości, żadne analogie historyczne czy racje polityczne nie cofną faktu, że w ciągu pięciu lat ta garstka młodzieży stworzyła żywy organizm w obezwładnionym społeczeństwie, anty-ciało systemu: obywatelskie komitety samoobrony i solidarności, akcje pomocy społecznej, niezależne wydawnictwa i pisma, kursy naukowe, drukarnie, kolportaż. Wykazali w tym inteligencję, odwagę, charakter. I sporo zimnej krwi: część przeszła przez sale rozpraw karnych i więzienia, ale ruch oparł się prowokacji. Ruch nie jest tajny. Działając na gruncie praw konstytucyjnych, podkreśla swoją jawność.

Dlaczego o tym piszę dzisiaj — dlatego że wczoraj o tym pomyślałem. To nie są nowe odkrycia ani obserwacje. Ale rzeczy od dawna znane pewnego dnia ukazują się w nowym świetle, w innej perspektywie. Nagle zastanowiła mnie myśl, czym będzie dla społeczeństwa ta garstka za rok, za dwa lata, za pięć? Czym ona będzie dla nas — i czy uświadamiamy sobie, że w Polsce nie ma dziś sprawy ważniejszej. Bo właśnie to, czym oni będą dla nas, to nas samych określi i przesądzi o tym, czym będziemy jako społeczeństwo.

W „Dzienniku” pisanym przez Edmunda Goncourta w roku 1895 (tom IX) znajduje się następujący fragment:

„Bleichröder, syn niemieckiego bankiera, protegowanego Bismarcka, oświadczył się młodej, niezamożnej pannie i spotkał się z odmową. Gdy matka dziewczyny przemawiała jej do rozsądku, twierdząc, że różnica religii nie ma takiego znaczenia, jakie jej przypisuje, panienska odparła: — Żydzi to nie religia, to rasa!”.

Hitler miał wtedy 6 lat.

Goncourt, nawiasem mówiąc, pisał o tym fakcie z pełną uznania aprobatą. Nie znosił Żydów. Pochodził ze starej szlachty francuskiej, z rodziny o tradycjach wojskowych. Nie lubił też roku 1789, masonów, symbolistów, dekadentów, gardził republikanami i czuł odrazę do tłumu (tłum paryski miał według niego czarnorudy kolor spalonego papieru).

Ten sam autor w innym miejscu swojego „Dziennika” opisał przyjęcie u barona Rothschilda — również żydowskiego bankiera — na które go zaproszono. Pisał tak:

„Pałac najbardziej książęcy, jaki widziałem dotychczas w Paryżu. Schody jak w Luwrze, na podestach rozstawione zastępy służby w szkarłatnych liberjach, o dostojnym i malowniczym wy-



gładzie lokajów sprzed lat. Obiad z udziałem księżnej de Richelieu, księżnej de Gramont, księcia Wagramu, młodego Pourtalès, etc., etc. Jadalnia owalna o białych boazeriach, ze stołem, na którym pną się ku srebrnym kandelabrom i wiją się wokół nakryć najpiękniejsze orchidee świata. Dla ochłody wnętrza uroczą innowacją, przywieziona, jak słyszałem, z Rosji: obeliski z lodu na konsolkach...”

Edmund Goncourt nienawidził Żydów, przypisywał im zachłanność, chytrość i wyrachowanie. Ale był estetą. Lubił japońską sztukę, Marię Antoninę i dobry smak artystyczny (którego zresztą nie przejawiał w swoich powieściach i dramatach). Do Rothschildów poszedł, mimo iż w poprzednim tomie „Dziennika” twierdził, że należy ich zmusić do noszenia żółtych odznak. Świetne urządzenie pałacu, wyszukana zastawa, lodowe obeliski i panie z arystokracji pozwoliły mu zapomnieć o wyrachowaniu żydowskiego bankiera. Ani słowa o tym, że był Żydem.

Ogólne uwagi o Żydach rozsiane są na stronicach „Dziennika” pomiędzy tymi notatkami. Goncourt w żydotwie widzi cechy diabelskie. Czytając te zdania, nasycone pasją i wstrętem i zwłaszcza pod piórem intelektualisty zadziwiająco fanatyczne, chwilami odnosi się wrażenie, że Goncourt pisał je w atakach nawiedzającej go manii prześladowczej. Otóż nie. Pisał je najzupełniej przytomnie. Po prostu: był antysemitą.

Rasizm, antysemityzm to choroba ludzi normalnych, której objawy polegają — między innymi — na tym, że wyrafinowany esteta nagle zaczyna mówić zdaniami kucharki. „Niektórzy ludzie są zachłanni, wyrachowani i chytry” — to jest sąd logicznie poprawny. Można by również powiedzieć: „Wśród Żydów są ludzie chytry, zachłanni i wyrachowani” i to także będzie zdanie logiczne. Człowiek cierpiący na antysemityzm czy rasizm wypowiada się jednak w nieco innym trybie. Mówi: „Żydzi są wyrachowani, zachłanni i chytry” — albo: „Murzyni są kłamliwi i gnuśni”. I to już nie będą sądy logicznie poprawne, nie został w nich bowiem ustalony zakres odniesienia: nie wiadomo, czy dotyczą wszystkich Żydów i Murzynów, każdego z osobna, czy tylko poszczególnych jednostek, czy też wskazują na ich zbiorowe uwarunkowanie w społeczności. Tak czy inaczej, nadużycie logiczne — niejasność uogólnienia — przedstawia zdanie na wołacz i nadaje mu tryb oskarżający. Od takich uogólnień nieraz zalatuje jatką.

Skąd się to bierze? Przypadek Goncourta jest uderzający, bo mamy do czynienia z osobistością wybitną, o niepospolitej inteligencji i kulturze. Goncourt to wypadek trudny do pojęcia

i dlatego jest dobry jako przykład, wymaga głębokiej sondy. Odkryć i zbadać przyczynę jego chorobliwej judofobii to znaczyłoby wyjaśnić za jednym zamachem pospolitsze wypadki i dotrzeć do ich wspólnego sedna. Mówię: odkryć, wyjaśnić, ale nie twierdząc, że mam na to sposób. Mam tylko hipotezy. Jedną zanotowałem sześć lat temu:

„Nienawidzące się ja. Źródłem jest tu niepewność własnej indywidualnej wartości. Człowiek szuka wtedy oparcia w wartościach zastępczych, obwarowuje się pseudowartościami. Na przykład utożsamia się z grupą. Im głębiej wątpi o sobie jako o człowieku, tym mocniej podkreśla swoją przynależność do grupy, której wartość jest dla niego niewątpliwa. Mówi: „jestem aryjczykiem”, albo: „należę do białej rasy”, albo: „nasi przodkowie uprawiali tę ziemię od wieków”. Myśli: „my, szlachta”, „my komuniści”, „my młodzi”. *My zastępuje mu ja, o którym wątpi, którego przymiotów nie jest pewien.* W tym *my* znalazł formę swojej rzekomej wyższości i odtąd może już poniżać. Jest uczciwy, ma czyste sumienie. Nie wie, że poniżając Żydów jego chwiejne ja mówi o sobie. To Żydzi są wulgarni, drapieżni i tchórzliwi — ludzie tacy jak on są miłosierni i odważni. Ale w głębi serca czuje, że drapieżni i tchórzliwi bywają również ludzie tacy jak on. Ma to w podświadomości, w cierpieniu, którego nie chce przyjąć i zrozumieć. Chwilami nienawidzi się za to i przerzuca swoją nienawiść na diabła. Nie tylko Boga stworzyli ludzie, by mniej cierpieć. Stworzyli także diabła, aby oskarżać go o swoje grzechy. Diabeł jest zawsze odmieńcem, cudzoziemcem. To ludzkość go wymyśliła, by mówić o nim to, czego by nigdy nie powiedziała o sobie. Wypowiadając się o Żydach zawsze mówi się o ludzkości. Obecność, trwanie, istnienie Żydów byłoby tajemnicze, gdyby nie to, że jest bezustannie odtwarzane przez ludzkość, która na ich przykładzie doświadcza i poznaje siebie. Można by sądzić, że Żydzi są jej potrzebni, by mogła — poprzez los, jaki im gotuje — zgruntować własne ciemności, zmierzyć swoje szaleństwo. Dowiedzieć się, czym jest”.

Pisząc to wybrałem przykład najstarszy i najtragiczniejszy: Żydów. Ale samo zjawisko i psychologiczny mechanizm przerzutu mogłyby dotyczyć również innej mniejszości w społeczeństwie — każdej wyodrębnionej grupy czy kategorii ludzi.

W piątek czekałem na M. przed domem na Senatorskiej. Przechadzając się po ulicy spostrzegłem człowieka idącego z psem. Zbliżał się w moim kierunku. Był to niski mężczyzna w popie-

latej kurtce, nie odróżniający się wyglądem od innych przechodniów. Mimo to na ulicy wszyscy przystawali i nie było nikogo, kto by się nie obejrzał. Bo pies szedł o krok za swoim panem w pozycji stojącej. Wspięty na tylnych nóżkach i służbiście wyprostowany, trzymał w pysku torbę z plastiku, przęcając się jak baletnica na linie. Był to niewielki czarny pudel. Przechodząc zerknął na mnie: w ślepkach błysnęła męka rozpaczliwego wysiłku i duma pomieszana z najwyższym zdenerwowaniem. Właściciel natomiast szedł z miną na pozór obojętną, rzucając jednak ukradkowe spojrzenia na przechodniów. Widać sprawdzał, czy jest dostatecznie podziwiany. Tak przeszli ulicą Senatorską całą odległość między Placem Teatralnym a placem Dzierżyńskiego — dwunogi człowiek i dwunogi pies. Człowiek z rękami w kieszeniach kurtki, pies z wytwornie uniesionymi przednimi łapkami, w prosząco dworskim geście. Szedłem z tyłu namyślając się. Było mi żal psa, a zarazem miałem ochotę zepsuć jego panu dobre samopoczucie. Najchętniej zatrzymałbym go i powiedział: „Pies już pokazał, co umie, niech pan teraz stanie na czworakach i weźmie torbę w zęby”. Ale nie zdobyłem się na to. Przy placu Dzierżyńskiego skręcili w prawo, tam gdzie jest sklep komisowy z obuwiami.

Właściwie dlaczego ośmieszając ludzi porównujemy ich do zwierząt? Dlaczego, aby kogoś spostponować, mówimy o nim „pies”, „gęś”, „osioł” czy „wół”? Zwierzęta na to nie zasługują. Mój pies był uczciwszy od ideologów, miał więcej wrażliwości od niejednego urzędnika, a prostotą uczuć przewyższał wielu współczesnych mu poetów. Na trzech szczytach jego pragnień znajdował się sernik, moi przyjaciele i nocne przygody na podwórkach, kiedy wypuszczaliśmy go z domu bez obroży. Nie znałem tylko hierarchii tych marzeń. Więc któregoś wieczoru, gdy na kolację przyszło kilka zaprzyjaźnionych osób, nie zamknąłem drzwi do pokoju, w kuchni postawiłem talerz z sernikiem i szeroko otworzyłem drzwi na schody. Czekałem, co wybierze. Nie tknął sernika i nie wybiegł na podwórze. Schował się pod stołem w pokoju, przytulony do nóg Julka Strykowskiego. Wybrał ludzi.

Czy Kościół słusznie orzekł, że zwierzę nie ma duszy... Pan Bóg wie, jak by wypadło porównanie duszy człowieka w popielatej kurtce z zakwestionowaną przez ojców Kościoła duszą jego pudła.

Pewien młody brodacze opowiadał mi o najnowszych sposobach uniemożliwienia działalności Towarzystwa Kursów Nauko-

układa się jak najpomyślniej, a raczej ułożyłoby się, gdyby nie wiejska dziewczyna, z którą popadł w seksualne opętanie. Nie może się z niego wyzwolić, traci żonę, doprowadza matkę do obłędu, aż wreszcie — sam półobłąkany — barykaduje się w sypialni z kochanką. Wojna, dwór zajęty przez Niemców, ruina życia, hańba, koniec: dziedzic-pozytywista zabija kochankę i pakuje sobie kulę w głowę.

Hm, dziwne rzeczy. Seks w naszych czasach ukazany jako ciemna siła pchająca do tragedii. W czasach, kiedy erotyzm stał się częścią zabawy, a swoboda kopulacji weszła do dekalogu naturalnych ludzkich wolności... I masz tu raptem, człowiek w niewoli chuci, ślepa wyrocznia namiętności, niczym antyczne przekleństwo. I może film Domaradzkiego przez to właśnie nabiera znaczenia, że zmusza do namysłu. Bo jak to właściwie jest? Czy we współczesnym człowieku żądza seksualna ma jeszcze moc drapieżnej bestii pożerającej duszę, czy też człowiek uwolnił się od niej i dręczą go dziś jedynie bestie zewnętrzne, smrodliwe lewiatany technologii, potwory organizacji i władzy. Rewolucja obyczajowa w połowie stulecia czyż nie zamieniła różnicy płci w jedną z rozrywek w ogólnej maskaradzie, wraz z jej nowymi kostiumami, tańcami, ideologiami? W maju 1968, podczas studenckiej rewolty, paryska młodzież biła się z policją, pisała na murach Dzielnicy Łacińskiej: „chleb i kwiaty dla ludu!” i spółkowała na ulicach. — Wie pan — opowiadał mi stary Joseph Breitbach — czasem pieprzyli się na schodach Panteonu. — Pokazał mi swój balkon, z którego oglądał to przez wysycigową lornetkę.

W kinie „Atlantic” było pełno, publiczność z okolic Domów Centrum, przeważnie młoda, jednakże w trakcie seansu milcząca i skupiona. Żadnych chichotów, widocznie coś ich w tym filmie przytrzymało, mimo iż część sali była już po piwku (opróżnione butelki wały się w foyer). Więc temat nie jest dla nich tak bardzo anachroniczny?

Wychodząc z kina w tłumie spostrzegam twarz młodej kobiety, próbuję sobie przypomnieć, skąd ją znam, i łapię jej spojrzenie spod włóczkowej czapki: oczy trochę za śmiałe, jak gdyby wyczekujące, że może wreszcie sobie przypomnę. I po sekundzie, gdy sobie przypominam, nie ma jej, już mi ją zasłonili. Rozumiem, trudno ją było poznać w czapce, pod którą schowała włosy, i przychodzi mi do głowy, że to spotkanie na filmie „Bestia” — akurat właśnie na tym filmie — ma coś z epilogu staroświeckiej noweli, noweli z zakończeniem po latach. Po

ilu? Chyba więcej niż dziesięć lat temu zatelefonowała pytając, czy mogę się z nią zobaczyć. Początkująca pielęgniarka, jedna z tych czytelniczek, które proszą o radę życiową. Była związana z żonatym mężczyzną, naturę tego związku określiła bez zażenowania: ciało. Po wyjściu z łóżka spieszył się do żony, w tydzień później znowu się pojawiał, zawsze z teczką, rozbierał się niemal od progu. Widywali się właściwie tylko w łóżku. Poza tym wszystko ich dzieliło: środowisko dygnitarsko-partyjne, wyższe wykształcenie, samochód, wyjazdy zagraniczne. Ale kiedy chciała zerwać, powiedział, że ją zabije. Prosiła o radę: czy według mnie ta historia ma przyszłość. Według mnie miała złą przyszłość. Poradziłem ucieczkę, wyjazd, zmianę pracy. W moim przekonaniu wypadek był dość typowy: mężczyzna z gatunku, dla którego związek seksualny łączy się z poniżeniem i który szuka go poza sferą swoich życiowych wartości. Tacy mężczyźni są kochającymi mężami, a na boku degradują swoje erotyczne partnerki. Co tydzień będzie wlaził do jej łóżka jak do nory. Było mi trochę przykro, bo najwyraźniej poczuła się zgnębiona. Nie widziałem jej odtąd, ale w rok później napisała mi w liście na kratkowanym papierze: „Miał pan rację, sprawa była minusowa. Skończone”. Teraz w filmie „Bestia” obejrzała inne zakończenie.

Wieczorem po kinie rozmowa z M., która wpada w jedną ze swoich zapalczywych tyrad, z błyskami zębów i oczu, wspinała, zapomina o wodzie kipiącej w czajniku. Przerywamy sobie, chodząc między pokojem a kuchnią, i mówimy bardzo głośno, tak że na pewno słyszą nas w klatce schodowej. O czym — o małżeństwie. O związku kobiety z mężczyzną, jako sposobie przetrzymania natury. O naszym niemonogamicznym małżeństwie, które parokrotnie mogło się być rozpaść, gdyby nie spały nas przystające do siebie różnice, tworząc ząbiony układ. Układ trybów zębatych, w którym agresje dopasowane są do ustępstw, jak gdyby charaktery zachodziły na siebie we wzajemnych sprzecznościach. Mówię, że to jest system dobrze funkcjonujący wtedy, gdy znaki dodatnie korespondują z ujemnymi, i daję przykład: małżeństwo, w którym oboje mają podobną wyobraźnię lękową, jest gorzej dobrane, niż gdy każdy z partnerów cierpi na inny lęk. Lepiej, aby ona bała się śmierci a on biedy; źle, jeśli boją się razem tego samego. Fatalny zbieg podobieństw, twierdząc, sprawa minusowa... Według M. natomiast miłość to jest fascynacja innością. Później inność staje się źródłem konfliktów i to jest małżeństwo. Czterdzieści pięć lat temu, kiedyśmy się poznali, nie mieliśmy pojęcia, że czeka nas pół

wieku walki ze sobą o stworzenie z nas dwojga trzeciej, wspólnej istoty. Przed naszym ślubem — mówiłem jej o tym nieraz — miałem podwójne widzenie: szczęście we dwoje pod jednym dachem i nienaturalność współżycia dwóch organizmów w czterech ścianach. Sprawdziło się pierwsze i drugie. Tak, śmieje się M. i przypomina mi czyjeś powiedzenie: „nie wiem, czy ją kocham, wiem tylko, że nie mogę jej niczego odmówić i nie lubię być sam w domu”. Trzecia istota, jaką stworzyliśmy, powstała z naszych żeber i wbrew naszym instyktom. Rodziła się z naszych zapamiętań i kłótni, pod bombami i wśród walących się murów, lęła się także w cieniu naszych błędów oraz szczepiły ją nasze podróże i choroby. Z wszelką pewnością można stwierdzić, że od jakiegoś momentu czy okresu zaczęła nas wychowywać i że każde z nas dzisiaj mocno się różni od osoby, jaką było czterdzieści, dwadzieścia a nawet dziesięć lat temu. Oparliśmy się, no, przetrzymaliśmy. Jak by nazwać istotę takiego związku? Związek dusz — mówi M. z nożem w ręku, krając chleb.

Płowe szarości, ogołocone czernie, zielone brązy przedwiośnia. Drzewa o nagich gałęziach, pozałamywanych i wygiętych, ukazują w pełnych rozpaczy gestach przebyłą tragedię zimy: patrzeć, co się z nami działo! Nad stawem leży jak na scenie powalona wierzba z włosami zanurzonymi w wodzie, za nią w głębi stoi nieruchomy chór dębów i wiązów. Tragedia skończona. Na ziemi szeleszczą resztki opadłych kostiumów, walają się płaty starej, łuszczącej się skóry. Ale w powietrzu już dzwoni, panowie, za chwilę początek sielanki.

## *kwiecień*

Wiosna to jest reumatyzm, reumatyzm to jest światopogląd. Światopogląd reumatyczny stwarza filozofię goryczy. Gorycz to jest sposób wyposażenia się w godność. Godność ma swój styl i właśnie tego stylu chciałbym uniknąć na wiosnę.

Umowa z zespołem „X” nadeszła wczoraj. Papiery na wyjazd do Berlina jutro składam. Słońce świeci, w nocy mam pogodny sny o domu starców, rano się gimnastykuję. Pojutrze odpuszczę winy swoim wrogom.

Dlaczego nie zanotowałem, że znowu jestem w Oborach? Najchętniej te Obory jakoś bym ukrył i zataił, że spędzam w nich część życia. Bo to jest miejsce nieco wstydlive, które nazywa się domem pracy twórczej. Sama nazwa wprawia w zakłopotanie. W rządzie okien rząd twórców pochylonych nad rządem

dzieł, które powstają na rzędzie biurek, twórcy zwrócenii profi-  
lami w tę samą stronę, gęsiego. Taki obraz. Jak się oddzielić,  
wyosobnić? A przyjeżdżam tu, żeby pracować, i kiedy siedzę  
przy biurku profilem do okna, wydaje mi się, że piszę równo-  
cześnie z innymi w sąsiednich pokojach, gdzie z kółder wylaży  
taka sama wata i umywalnie mają takie same zacieki rdzy. Jak  
wytłumaczyć, że to miejsce tchnie osobliwym urokiem i że w tym  
gęsim rezerwacie kryje się czar schronienia, który przyciąga bez-  
pańskie psy z okolicy, zawsze krążące wokół domu.

Niedziela. Hanuszkiewicz wyrasta nad klombem. Rzeźba  
męska wielkości przewyższającej naturalną, w kostiumie skom-  
ponowanym z welwetów i zamszów, na głowie płaska jak liść,  
miękką czapka, także z brunatnego zamszu, spod której wydo-  
bywają się gęste, czarnosiwe pukle; głowa wysoko osadzona na  
masywnej i foremnej szyi. Kto wie, czy gdyby go rozebrać do  
naga, nie zobaczylibyśmy posągu dyskobola. Lubię mu się przy-  
glądać. Cóż to za frajda w samym patrzeniu na tę harmonię  
ciała i ducha, zespolonych wzajemną aprobatą. Przygotowuje  
spektakl z „Trenów”. Ktoś widział już próbę i wypowiada  
swoje uwagi. — Mów pozytywy, mów pozytywy! — żąda Ha-  
nuszkievicz, stawiając ogromne wiosłujące kroki w żółtych butach  
z kieszonką na zatrzask u cholewki. Na jego przedstawieniach  
zawsze wyczekuję ostatniej sceny, po której wyprowadza zespół  
wśród owacji i w blasku wszystkich reflektorów. Idzie pierw-  
szy, za nim aktorki i aktorzy, nad którymi góruje wzrostem.  
Przypomina mi się wówczas końcowa parada w cyrku „Medrano”,  
gdy dyrektor-pogromca, we fraku i z białym biczem, otwierał  
pochód linoskoków, woltyzerek i kłownów, prowadząc ich przez  
arenę w takt marsza gladiatorów. Rampam-paramпам, bum, bum,  
bum! Boże, teatr powinien mieć coś z cyrku, dyrektor teatru  
coś ze sztukmistrza i tresera, a deski sceniczne muszą trochę  
pachnieć areną! Jeśli tak nie będzie — nie będzie teatru, usmier-  
cą go intelektualiści. Hanuszkiewicz trzaska białym biczem, jego  
Balladyny jeżdżą na motocyklach, Konradów wiesza na rolkach  
pod sufitem — i darowałbym mu wszystko, gdyby nie twierdził,  
że to jest koncepcja intelektualno-artystyczna. W swoich najlep-  
szych, doprawdy wspaniałych spektaklach, w „Beniowskim” czy  
„Miesiącu na wsi” nie był intelektualistą, po prostu miał pom-  
ysł. Dyrektor teatru musi trzaskać biczem i mieć pomysły.  
Nie koncepcje: pomysły nowych sztuk i wolt. W „Miesiącu na  
wsi” dyrektor Hanuszkiewicz miał pomysł z psami. Na scenie  
leżały dwa żywe wyżyły, leżały wśród kwiatków na trawie, obok  
prawdziwej sadzawki, i zrobili spektakl. To była sztuka z psami.

Nigdy nie zapomnę tej premiery. A że oceniam artystów miarą ich najlepszych dokonań — i chciałbym, aby mnie również według nich oceniano — dlatego przyłączam się do sympatii, jaką Hanuszkiewicz ma dla siebie. Chodzimy wokół klombu, rozmowa o znakach astrologicznych, o kimś urodzonym pod znakiem „Barana”. — O, to ciężka sprawa — wzdycha Hanuszkiewicz patrząc w przestrzeń spod ciemnych brwi niezwykle błękitnymi oczami. — Pan zdaje się niejedno wie o „Baranach”...? — Proszę pani — błękit smutnieje — atakowało mnie kilku „Baranów”. A to jest tak — ręka z dwoma wystawionymi knykciami naśladuje trykanie — do przodu i głową w brzuch, i głową w brzuch. A ja „Bliźnięta”... Natura ufna, dziecięco pogodna, myśli w mówieniu.

Ale trzeba było widzieć ten ruch ręki i ten cierpiący lazur w oku. Pełna delektacja.

Wielkanoc, w pierwszy dzień świąt z Julią i Arturem do JMRymkiewiczów na Filtrową przelatujemy przez miasto niemal puste, ale już oczyszczone z brudów zimy, błyszczące szybami i asfaltem. Po drodze odwożę kożuchy, z domu zabieram pocztę i książki. Na Filtrowej w pokojach świetlicie, przewiewnie, pijemy mocny napój z rumem, po czym jedząc rozmawia się przy stole. Ewa, Julia i Maria wyglądają jak trzy siostry z Czechowa w swoich spódnicach i bluzkach, siostry w różnych kolorach, od bieli do złota i brązu. My obaj z Arturem siwi, JMR wystrzyżony i okrągłogłowy, w telewizorze Łapicki, także siwy, mówi partie Arnolfa ze „Szkoły żon” w nowym przekładzie Artura. Wieczór upływa między pokojem a kuchnią, między rozmową a telewizorem. Mały Wawrzek Rymkiewicz pokazuje mi arkusz zagryzmołony ćwiczeniami gramatycznymi: „Wilk, wilczyca. Niedźwiedź, niedźwiedzica. Lew, lewica”. — Ile za to dostałeś od pani? — Pięć minus. — W szkole podobno krąży taki wierszyk: „Kto ty jesteś? Chłopak Gierka! Jaki znak twój? Młot, siekierka! Gdzie ty żyjesz? W wolnym kraju! A jak zwą go? Ja nie znaju”. Opowiadam o wystawie fotografii w Muzeum Historycznym, fotografii z Warszawy końca XIX wieku. Mówię o dwóch zdjęciach. Jedno w wielkim powiększeniu, prawie na całą ścianę, przedstawia róg Krakowskiego i Koziej, z wejściem do cukierenki obrośniętej winem i z dwoma rosyjskimi oficerami w letnich białych mundurach, mijającymi kobietę w ciemnej spódnicy i jasnej bluzce, z parasolką od słońca nad szerokim kapeluszem. Z tyłu idzie uczeń w gimnazjalnym kaszkiecie, gdzieś dalej za nim wąsaty żołdat, niosący pod pachami dwie wypchane torby, a w przeciwną stronę elegancki, godny pan w cylindrze. W głębi



koło skweru stoi konny omnibus. Od tego zdjęcia długo nie mogłem odejść, wrażenie bardzo silne. Ilość szczegółów, znaków życia jakby nie do ogarnięcia, inna niż dziś materia i ruch, przytrzymane w chwili naturalnego spokoju południa, w swobodnej, niespiesznej codzienności. W porównaniu z tym żywym obrazem dzisiejsze ulice wydają się martwe, ślepe, zabite hukiem i wściekłością, uduszone tłumem. I drugie zdjęcie, mniejsze od pocztówki. U dołu na poźółklej ramce drobniutki wyblakły napis atramentem: „Pędzeni na Sybir”. Dwaj młodzi ludzie stojący pomiędzy dwoma konwojentami w rosyjskich czapkach bez daszków. Zesłańcy mają obszarpane surduty, spodnie wytarte, trzewiki pokryte błotem. Żołnierze w szynelach tak samo zszarganych i ubłoconych, obydwaj uśmiechnięci do fotografii. Ale jeden z zesłańców, o wyglądzie studenta, mały, szczupły, brodaty, w drucianych okularkach, z przechyloną na bok głową patrzy wzrokiem ostrym i czujnym, z wyzywającą inteligencją nerwowca, i przysunął się blisko do drugiego zesłańcy, jak gdyby chcąc mu coś pokazać, powiedzieć rzecz bardzo ważną, czy przestrzec, lub może tylko nie rozluźnić ich ścisłego związku w chwili fotografowania. Zdjęcie wykonane w 1864 roku. Wpatrywałem się w nie z dreszczem w tyle głowy. Ci dwaj brodaczy chłopcy, ten dumny okularnik-intelektualista... Właściwie kogo i przed czym on chce ostrzec?

Obydwie fotografie mogły być zrobione jednego dnia. Narożnik Krakowskiego Przedmieścia i Koziej w słoneczne południe roku 1864 z pewnością wyglądał podobnie jak w 1894-ym. Kobieta z białą parasolką mogła iść w stronę omnibusu, a pan z laską i w cylindrze zmierzać do obrośniętej bluszczem cukierenki o tej samej godzinie, kiedy dwaj zesłani studenci dali się sfotografować między konwojentami na etapie. Mówię do Ewy R., że każda przeszłość ma dla mnie sakrę, świętość, bo jej nieruchome obrazy ukazują zmarłych. Wszyscy umarli. Każdy z nich musiał wykonać ciężką pracę wydobywania się z ciała, przejść z osobna i sam przez... — Przez czarny tunel — wyjaśnia JMR. Czytał relacje Amerykanów, którzy przeprowadzili wywiady z ludźmi reanimowanymi po śmierci klinicznej. Przywróceniu do życia opisywali długi ciemny tunel ze światłem w głębi, niski tunel, który trzeba było przepłynąć, dowiec się do tego światła. — Podobno okropny wysiłek — mówi JMR — dyszenie, pompowanie, czołganie. Straszna praca. — Patrzy na nas z trochę dzikim uśmiechem, chłodno, ciekawie.

Później jest mowa o przeszłości — o europejskim pojęciu historii, stworzonym przez Żydów i Chryścian, którzy umieścili

Boga w czasie. Tego nie było, ktoś zapewnia, były opisy wojen i kroniki panowań, i byli bogowie. Wszystko w symultanicznym kręgu, w skłębieniu... dusze, ciała, bóstwa, wyrocznie, zdarzenia, losy. Nie odróżniano historii od natury, w życiu uczestniczyły ptaki, zwierzęta i pioruny tak samo jak ludzie. To Stary Testament objawił początek czasu i z niego wyłania się nasza linearna struktura przeszłości. Z Pierwszej Przyczyny i z Siedmiu Dni. Dopiero tam historię od natury oddzielono grzechem.

Ewa i M. oglądają w kuchni „Rodzinę Połanieckich”, słysząc urywki dialogów i w pokoju rozmowa schodzi na pana Henryka. Czy był tak głupi, jak ta powieść, i który to z francuskich pisarzy nazwał go „geniuszem przeciętności”. Twierdzą, że Sienkiewicz nie był człowiekiem głupim, a pewne jego pisma, zwłaszcza wczesne reportaże i listy, świadczą o czymś przeciwnym niż głupota. To pełen energii młody pozytywista, który postanowił się wyrwać z prowincjonalnej stęchlizny, uciec od warszawskiego podwórka, na zawsze, daleko, do Ameryki, w pampasy, założyć tam falanster z aktorką i hrabią. Wrócił z odparzonymi rękami, rozczarowany traper i kochanek, już bez pozytywistyczno-romantycznych marzeń, ale z talentem. Sprzedał go zaraz po powrocie na warszawskie podwórko. Skapitulował, przyjął zamówienie na epos narodowy. To nie była głupota, to był układ małżeński, ślub z ojczyzną zawarty z rozsądkiem. Gierymski na tym podwórku zwariował. Pan Henryk był realistą. W swoim szczęśliwym patriotycznym małżeństwie spłodził trzy złote jaja „Trylogii”. Rozpędzam się i mówię, że Sienkiewicz to Dumas-ojciec skrzyżowany z Dumas-synem i przełożony na sarmatyzm.

Pisarskie konformizmy. Dzisiaj nam się śni, że konformistą można być jedynie w stosunku do władzy. Doprawdy. A umysłowe tchórzeństwo przed narodem, a rozmiękczenie mózgow przez opinię społeczną? Myślicie, że to już nie grozi! Ktoś wtrąca: — Nie ma opinii społecznej, jest tylko telewizja. *większość*

I znów nawraca się do telewizji, do jej galerii twarzy stałych, które rozpoznaje się z przykrym zdziwieniem na ulicy, i twarzy dobieranych, których się nazajutrz nie pamięta. Jest tam ekipa intelektualistów, mówiących falsetami kastratów o niezwykle wydelikacowanej dykcji i jak gdyby z namysłem sumienia w obliczu moralnych komplikacji świata, epoki, bytu... Niekiedy pojawia się twarz rzadziej ukazywana i odzywa się po latach głos znajomy, bas z przeszłości. Przed tygodniem pokazali Czeszkę. Bohdana Czeszkę w starym, rozciągniętym swetrze, na tle półek i narzędzi stolarskich, otyłego, zapuchniętego Czeszkę z chrypką

dobytą się z fałd brzucha. Pimpek Sadełko! Agawa! Uczeń grubego Stefana w gimnazjum na Prostej! Małymi rękami kreślił swoje myśli przed kamerą, właściwie czubkami palców. Zawsze wyobrażałem sobie, że pisze czubkami palców, z ledwie wystającym z nich piórkim, ciężko sapiąc nad miniaturowym i kunsztownym haftem swojej prozy. Nie, ani przez moment nie wierzyłem, że to jest mężny zapaśnik i łowca dzikich zwierząt. Widziałem go w sidłach, szamoczącego się po ciemku w cichym strachu. W każdej niemal rozmowie czułem jego zajęte serce, kiedy mi ciepło potakiwał, dopóki nie przysiadł się ktoś agresywny i pewniejszy siebie. Wówczas od razu zdradzał — można to było rozpoznać po uchyleniu zwężonych oczu i pieścizliwym, stękającym pomruku, z jakim wykręcał ode mnie głowę, by ofiarować się mocniejszemu. „To kobieta — mówiłem — najlepsza myśliwa w Polsce, same cycki i fałdy, imitacja bicepsów”. Byłem wtedy ukłuty jakąś złośliwością, która wyszła od niego i doszła mnie z trzecich ust. Ale dobrze wiedziałem, o czym mówię. Wiedziałem, że Pimpek Sadełko odda się mocnemu. Wtedy jeszcze łączyła nas przyjaźń, może raczej zażyłość, jeden z odcieni przyjaźni. Czeszko miał bliższych przyjaciół wśród malarzy, choćby Marka albo Izaka, do którego przemawiał głosem kołodzieja spod dębu: „Wierzaj mi, drogi Iza-aku” — co brzmiało pięknie. Sam był także malarzem, z późniejszej grupy „Arsenału”. W środowisku literackim natomiast zaliczano go do „pryszczatych”. Nie pamiętam, kto wymyślił tę nazwę, sugerującą jedną, wspólną twarz bez indywidualnych rysów; wśród „pryszczatych” były indywidualności nader wyraziste. Z tymi dwiema grupkami Czeszko przeszedł drogę od wojny do Października. „Dzieliłem losy garstki młodych lewicowców — mówił przed kamerami — tak, Gwardia Ludowa, Partia, potem malowanie, pisanie, posłowanie, et caetera, et caetera...”. Chryпка, strzepnięcie czubkami palców w rękawie swetra i pomrukujący namysł. Nie pokazywał mi swoich płócien, znałem tylko jego małe prozy. Cierpliwie wypracowane, misterne a zarazem czułe. Budziły we mnie podziw, nie umiałbym tak pisać. Plotki, wszystko, co o nim pokątnie mówiono, starałem się puszczać mimo uszu. Po pijanemu w knajpie zaryczał na widok kompozytora z Hollywoodu: „Weźcie tego Żyda z powrotem za Atlantyk!”. To już było w dobre kilka lat po Październiku. Jeszcze kilka lat, mniej dobrych, i siedzieliśmy na zebraniu w Komitecie Centralnym. Partyjni pisarze, delegaci na zjazd ZLP, odmawiali poparcia dla składu przyszłego Zarządu, wygłaszano przemówienia, padły jakieś zarzuty. Nagle z głębi, spod ściany rozległo się

mruczenie, prychnanie, ktoś przeciw nam urągliwie stękał. Kto to? Pimppek Sadełko! Wykręcał od nas głowę, dysząc, sapiąc i rzucając ukradkiem miłosne spojrzenia ku Prezydium. Potem na Zjeździe unikał nas, chodził bokami. Ostatniego dnia, w przerwie obrad, siedziałem w pustej sali. Było już po przemówieniach i nocnej odprawie partyjnej, kiedy trzynastu pisarzy głosowało przeciw uzgodnionej liście zarządu. Przegraliśmy. Siedziałem rysując profile i figury w bloku leżącym na pulpicie. Nie spostrzegłem, jak przysiadł się do mnie. Dosunął się bardzo blisko i zaczął bez słowa kreślić długopisem na tym samym arkuszu małe ludzkie postacie obok moich nosów i koni. Nie odezwał się, ale siedział przy mnie. W milczeniu długą chwilę bazgraliśmy razem na papierze, wydawał z siebie tylko cichutki pomruk. Później zachodziłem w głowę, co mogła ta chwila oznaczać. — Słuchaj — mówi Artur — to było pożegnanie...

Do Obór wracamy po ciemku Wisłostradą. W pałacu świeci się jeszcze parę okien. Zapalam lampę w pokoju i sprawdzam godzinę na zegarku. Już północ.

Zaraz po Wielkanocy, prawie nazajutrz, eksplodował ładunek wybuchowy na placu w Nowej Hucie, tam gdzie stoi pomnik Lenina z nogą wysuniętą do przodu. Radio nadało komunikat o „nieznanych sprawcach” i poranieniu kilku osób w przyległych budynkach mieszkalnych.

Figurze Lenina urwało kawałek tylnej nogi. Wybuch nastąpił w nocy, we wtorek. W środę rozpoczęły się aresztowania. Przeprowadzono rewizje u członków KOR-u i Ruchu Obrony Praw, zatrzymano kilkadziesiąt osób. Dowiaduję się o tym przez telefon. Siedzą: Kuroń, Chojecki, Macierewicz, bracia Czumowie. Do dzisiaj jeszcze nikogo nie zwolniono. — Chamska robota — słyszę w telefonie — szycie dratwą. — Nikt nie ma wątpliwości, że wybuch przygotowało Bezpieczeństwo i że w Rotundzie także była bomba, nikt już nie wierzy w gaz. Wciąż dochodzą nowe nazwiska zatrzymanych w Warszawie, w Poznaniu, Gdańsku, we Wrocławiu. Najbliżej uszkodzonego Iljicza najmniejsza łapanka: w Krakowie wzięto tylko jedną osobę. O czym to świadczy? — O tym, że nie o wykrycie sprawców tutaj chodzi.

Walki frakcji partyjnych? Mogą to być walki frakcji, albo machinacje policji, albo sterowana z zewnątrz reżyseria. Wszystko to być może. Możliwe też, że zrobił to wariat. W każdym razie jest zastanawiające, że eksplozja — wybór jej obiektu i momentu — ma charakter tak widomie antysowiecki. Wybuch nastąpił w przededniu rocznicy układu między Polską a ZSSR.

Łydka Lenina wylatująca w powietrze na otwarciu X Zjazdu Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej! Przez 35 lat w Polsce uczyniono sporo, aby podobne rzeczy się nie działy. A więc... po co te bomby? Po to, żeby osobę numer 1 skompromitować w Moskwie i osadzić na stolcu twardszą pałkę? To by tłumaczyło pożary i wybuchy.

Doszedł mnie również taki komentarz: boją się przyjazdu Papieża, chcą zaognić wewnętrzne napięcie i doprowadzić do okoliczności tak drastycznych, aby wizyta Jana Pawła II w Polsce nie mogła się odbyć. I to byłoby także możliwe, choć niezbyt prawdopodobne wyjaśnienie.

Wszystko mętne, śliskie, przyczajone w kupie świństwa, którego smród miesza się z powietrzem. Wszystko dokoła zaraża nieczysta *materia politica*, która głęboko weszła w ludzi. W moich notatkach znalazłem cytaty bez nazwiska, opatrzone datą — rok 1880: „Z polityki oportunizm wkrótce przejdzie do życia codziennego i zobaczymy oportunistyczną moralność, oportunistyczny honor etc.”. Sto lat temu ktoś miał jasnowidzenie. W liceach uczniowie stosują dziś reguły sztuki politycznej wobec nauczycieli i nauczyciele wobec uczniów. Przykłady nieraz są rozbrajające. W zeszłym tygodniu pokazano mi wypracowanie szesnastoletniej uczennicy na temat lektury wybranej: napisała o „Nierzeczywistości”. Inteligentnie, dojrzałe, ale z jakim wyuczuciem dozwolonych granic, z jakimi niuansami w podtekstach. „Pewne nielogiczności w życiu naszego kraju...”. W każdym zdaniu bezpiecznik. Po to, aby nie stawiać nauczycielki w trudnej sytuacji. A nauczycielka, znam ją, sama uczciwość i rzetelność, dała jej tylko czwórkę, dorzucając uwagę: „za nieuwzględnienie innych utworów pisarza”. Obydwie się zrozumiały.

Rozmawiając wczoraj przez telefon z Marianem, czułem w uchu coś jak chrobotanie robaka. Podśluch. Instalacje podsłuchowe działają w większości znajomych telefonów, ale u Marianów ponadto jeszcze są gwoźdźdiki. Powbił je w czasie remontu młody człowiek, który sam się zgłosił. — Państwa mieszkanie to radiostacja nadawcza — uśmiechnął się zaprzyjaźniony ksiądz, rzuciwszy okiem na gwoźdźdiki. Był specjalistą od wykrywania podsłuchów w kościołach, u przyjaciół interesowały go najbardziej żyrandole i gwoźdźdiki. Detektyw w sutannie... Ależ ja to skądś znam, gdzieś chyba już słyszałem? Ach, prawda, wielobny ojcze Brown, ty byłeś pierwszy! Tak oto Kościół się unowocześnia.

W ostatnich numerach *Tygodnika Powszechnego* obfitość

rzeczy do czytania, wiele miejsca zajmują teksty poświęcone Janowi Pawłowi II. Wśród nich przemówienie, jakim powitał w Watykanie delegację społeczności żydowskiej. Papież zwracał się do Żydów w słowach prostych i mądrych, które czytałem z uwagą. Z uwagą i czymś więcej — z drzeniem podobnym do nadziei i ulgi, jaką daje światło. Na takie słowa nie jest łatwo być głuchym. O wiele ciężiej jest po takich słowach uchylać się przed myślą o Opatrzności czuwającej, przed czystymi duchami rozumu i dobra; trudno wówczas nie wierzyć w ludzką zdolność do oczyszczenia się przez miłość. Kiedy pisałem tu na pierwszych kartkach, że stare chrześcijańskie Kościoły nie płoną już ogniem świętego szaleństwa, czy miałem rację? W tym Papieżu płonie święty ogień wiary. Wiary w Boga czy wiary w Człowieka...? W istocie to znaczy Jedno.

Uśmiechnięty Namiestnik Chrystusa z krzyżem i mikrofonem w rękach, błogosławiący wiernych w trzydziestu językach świata, z pewnością kocha Boga i Człowieka. Boga, który dał mu uczynić wielkie dzieło ze swego człowieczeństwa, i człowieka w sobie samym, że miał siłę to dzieło wypełniać. Z pewnością wierzy w ocalenie ziemi przez niebo i wybawienie od nienawiści przez rozum Kościoła, i jest przekonany, najmocniej i najspokojniej przeświadczony, że światło w głębi czarnego tunelu może zobaczyć człowiek jeszcze żywy, lecz że wymaga to odwagi serca. Mówił: „Bracia moi i siostry, nie bójcie się...”. Kilkakrotnie powtórzy słowo *paura*. Sądzę, iż miał na myśli bojaźń w obliczu dobra, trwogę przed wysiłkiem, jakiego trzeba dokonać, by ujrzeć Boga w drugim człowieku. Ten niezwykle Papież *è polacco...* Chciałoby się zapytać: Ojciec Święty, a jak widzisz człowieka w Polaku?

W dniu ogłoszenia wyboru Karola Wojtyły na Papieża ludzie w Warszawie biegli ulicami krzycząc z radości. M. idącą przez Świętojańską objął jakiś zapłakany staruszek: — Słyszała pani? Cud! cud! — To nie romantyczni poeci wymyślili mesjanizm polski. Nagle o jednej godzinie wszyscy stali się mesjanistami, jakby od dwustu lat żyli w oczekiwaniu na dzień Przyjścia. Taki zbiorowy odruch irracjonalizmu mogły przekazać tylko geny narodu, który w ciągu dziesięciu pokoleń tracił wiarę w ziemską sprawiedliwość historii. Trzeba było aż tylu domowych potopów, tylu rozbiorów i zdrad, by to, co w innych krajach jest myślą polityczną, świadomością obywatelską lub poczuciem prawa, tutaj przeistoczyło się w łaknienie nadrzeczywistego znaku Niebios. Słowo cud wymówiły w tym dniu jednocześnie usta dewotek i intelektualistów. W numerze *Więzi* poświęconym

Janowi Pawłowi II przewijało się to słowo wśród wypowiedzi pisarzy nie tylko katolickich. Trochę niespokojnie czytałem ten numer *Więzi*. Kilkadziesiąt tekstów — i niemal co drugi zwracał się ku człowiekowi w Rzymie, kierując ku niemu, ba, przelazując na niego swoje narodowe czekanie, wszystko, co niespełnione i niedokonane. Całą swoją polskość zawierzali jednemu Polakowi, kładąc mu ją na głowę, z cierniami i kolcami. Czytając zadawałem sobie pytanie, czy aby nie za silnie wezbrany jest ów przybór uczuć i co ma z nim uczynić Papież, jak mu sprostać? Człowiek w Polaku woła dziś do Papieża: odkup nas, przywróć nam godność wielkiego narodu i powiedz światu, kim jesteśmy! Przejmujący jest głos Polaków zanoszony do Papieża. I znów stawiam sobie pytanie: czy Jan Paweł II jest w mocy wszystko to zrobić, zrobić za nas? *na to w k. raczej zobierz wyborcu*

Dzieje się rzecz zadziwiająca. Z jednej strony trzydziestopatomilionowa zbiorowość nabrzmiała marzeniami wieków — z drugiej człowiek ze swoją uniwersalną misją i swoją ludzką sprawą. Człowiek, który za młodu był aktorem, chodził w góry i pisał wiersze, i którego krakowscy przyjaciele nazywali zdrobniałym imieniem. W ciągu jednej nocy Karol Wojtyła stał się legendarnym wysłannikiem Opatrzności, za miesiąc pojawi się tutaj, w Warszawie, i już dzisiaj trzydzieści milionów ludzi ma cudowną pewność, że przybycie tego człowieka odmieni ich los. Jan Paweł II — słyszałem — z lotniska na Okęciu wzleci helikoptrem nad miasto, po czym opuści się na Plac Zwycięstwa (dawniej Piłsudskiego, „plac Zwycięstwa Piłsudskiego” mówi Wawrzek R.). Ojciec Święty szybujący w niebiosach nad Warszawą, polski Papież, który zstąpi z obłoków w samo serce Stolicy... proszę mi nie mówić o wizjach romantyków i surrealistów, takiego obrazu żaden poeta by nie wyśnił. Ale powiadam: jak On to przeżywa i co myśli na widok wznoszącej się ku niemu oszołomionej nadzieją polskości, tej zbełtanej fali, która chce się oczyścić jego rękami?

Przed tygodniem będący tu na obiedzie Andrzej Wajda mówił mi o swoim niedawnym pobycie w Rzymie, o audiencji papieskiej, której dostąpił w Palmową Niedzielę. Wajda potrafi nie tylko kręcić filmy, jest także wybornym opowiadaczem. Przyjechał skłopotany — urzędnicy położyli rękę na zatwierdzonym już nowym scenariuszu w przeddzień rozpoczęcia zdjęć — ale opowiadając stopniowo się rozgrzewał. Jeden szczegół silnie utkwiał mi w pamięci, opis krótkiej rozmowy z Papieżem. Jan Paweł II pytał o „Człowieka z marmuru”. Wspomniał, że nie oglądał tego filmu i byłby ciekaw go zobaczyć, na co Wajda

zapewnił, że projekcja kopii znajdującej się w Rzymie nie nastęczy trudności (istotnie film Papieżowi wkrótce pokazano). Tyle zapamiętałem z relacji o samej rozmowie. Jednakże Wajda opisał więcej niż jej przebieg: „Słucha niezmiernie uważnie, patrzy trochę obok wzroku człowieka, gdzieś dalej poza nim, i słuchając przez cały czas trzyma go mocno za przegub ręki, ale bardzo mocno, żelaznym uchwytem. Jest w tym chrześcijańskie miłosierdzie i coś z magnetycznego dotyku uzdrowiciela. Wielka siła. A zarazem brak pośpiechu. Kilka tysięcy ludzi odnosi wrażenie, że do nich przyszedł i że dla każdego znajdzie czas”.

Otóż Wajda jeszcze w Warszawie, na miesiąc przed audiencją u Papieża, postarał się, aby zostać przyjętym przez Clive Harrisa w kościele Dominikanów. Postarał się o to z reżyserskiej ciekawości. Musiał jednak wskazać miejsce bólu. Wymienił brzuch. Harris najpierw mocno przygarnął go do siebie, po czym obiema rękami zaczął ścisnąć mu głowę. Asystenci sądząc, że źle ich zrozumiał, podszepnęli: brzuch, brzuch... Mimo to Harris nadal ścisnął głowę Wajdy. Rozpoznał prawdziwe źródło udręki. I z tym uzdrawiającym gestem Harrisa u Dominikanów skojarzył się Wajdzie w miesiąc później żelazny uścisk miłości chrześcijańskiej, w jakim Papież trzymał przegub jego ręki w czasie postu-chania.

Z kroniki bieżącej: zwolniono aresztowanych po wybuchu ładunku wybuchowego w Nowej Hucie.

— Przeszłość, tradycja, historia — mówi do mnie w ciemności podczas spaceru wokół klombu — to są kategorie myślowe, które usiłuje się dziś wyjąć z mózgow. Bardzo wiele zrobiono w tej dziedzinie. A robi się więcej. Reforma szkolnictwa wyprodukuje pokolenie zaopatrzone w informację o historii: o tym, że coś już przed nami istniało. Rodzaj *kompedium*, bryku na temat postępu, który od jaskini zaprowadził nas do socjalizmu. Ale żadnych nawiązań, żadnych ponadczasowych znaczeń... nic, co by mogło tworzyć z przeszłości wartość dla nas na dzisiaj. I to jest amputacja duchowa. Odpadną całe struktury kojarzeń wypracowane przez humanizm, znikną ideogramy, symbole, zgaśnię obrazowanie kulturowe i poczucie więzi z umarłymi. Czym będzie dla produktów tej hodowli Via Appia czy katedra w Reims, albo warszawska Cytadela? Dekoracjami, które się odkurza. Do dziś brak nam pewnych żywych wyobrażeń świata antycznego. Nie kończyliśmy szkół filologicznych, nie mamy pełnego odczucia kultury Hellenów, Latynów... Już jesteśmy o coś mniejsi. Takie głuche punkty, które nie rezonują, to zawsze są szwy,



zgrubienia. Coś z nas wycięto i zszyto. Teraz wycina się z człowieka przeszłość, zaszywa się w nim źródło. Pozostawia mu się zwiedzanie zabytków i modę. Modę „retro”. A to jest na razie początek, przyspiewka do wielkiej manipulacji genetycznej. Ludzkość zaprogramowana przez komputery, *universum* funkcjonalnych kalek i pół-idiotów dopiero świta przed nami... *alles, la piece n'est pas finie*

Kilka dni wiosennego ubytku sił. Na myśl o pisaniu nogi miękną, jakby ugrzęzły w wydmie piasku. Przypadkiem wpadł mi w ręce skórzany karnecik, w którym robiłem notatki przeszło rok temu, na początku pobytu w Berlinie. Niektóre mnie zainteresowały.

„Na Kurfürstendammie piękna twarz mężczyzny o siwych skroniach, w granatowej czapce z daszkiem. Małe, przylegające uszy i zimnoniebieskie uśmiechające się oczy. Rutynowana męskość w linii ust. Całe zło w oczach i ustach. Twarz srebrnówłosego łotra”.

„W zw. z odbiciem zakładników w Somali i późniejszym samobójstwem w więzieniu trojga niemieckich terrorystów z grupy Baader-Meinhoff. Pilot samolotu Lufthansy odmówił startu z powodu defektu maszyny. Porywacze kazali mu uklęknąć i przyłożyli pistolet do głowy. Pilot wzruszył ramionami: nie ma prawa ryzykować dalszego lotu, jest odpowiedzialny za bezpieczeństwo pasażerów. Zabito go wystrzałem w skroń. Temat: bohaterstwo wynikające z etyki zawodowej i zbrodnia jako produkt etyczny ideologii. Temat na film współczesny”.

„Pierwszego dnia, kiedy wprowadziliśmy się na Güntzelstrasse, niemiecka rodzina mieszkająca o piętro wyżej przysłała nam przez córeczkę chleb, sól i pfennig na tacy z różową serwetką”.

„O karze śmierci. Za czy przeciw. Współczesne społeczeństwa zachodnioeuropejskie niejednokrotnie są za karą śmierci (niedawna ankieta wśród Francuzów); reakcja na terroryzm. Theo E. mówi: nie wypowiadam się w sprawie kary śmierci, ponieważ nie wiem, czym jest śmierć. Kudłaty socjolog, Brazylijczyk: argument, że człowiek nie ma prawa pozbawić życia drugiego człowieka, jest fałszywy. To człowiek daje życie drugiemu człowiekowi (przez zapłodnienie), nie pytając go o zgodę. Odwrotnie, człowiek może również pozbawić go życia bez jego zgody... itd. Ja: niewykluczone, że byłbym za karą śmierci, gdyby kultura, z jakiej wyrosłem, miała inny stosunek do życia. Np. zakorzenioną wiarę w wędrówkę doskonalących się dusz.

Wówczas zapewne podpisałbym wyrok: pana obecna inkarnacja jest fatalna, obrabował pan bank i zabił kasjera; aby otworzyć panu drogę do pomyślniejszych wcieleń, wyrokiem sądu skazuje się pana na uśpienie. Mówię, że dla kary śmierci musi być pokrycie kulturowe, religijne (islam). Tymczasem ja mam white w mózg przykazanie nie zabijaj. I wy także. Kara śmierci budzi w was odruch protestu, jakkolwiek byście twierdzili, że jest inaczej”.

„Rasizm, antynegryzm w USA narodził się z szoku. Farmerom importowano Murzynów, tak jak się importuje nową rasę psów. Pewnego dnia pies w szarym meloniku i kraciastej marynarce wszedł do restauracji z cygarem w zębach i zamówił piwo. Farmerzy przerazili się, że ich jedyną wartością jest biały kolor skóry”.

„W zw. z fragmentami dzienników Manna we *Frankfurter Allgemeine*. Cały Tomasz Mann, od początku, wszystko, czego tknął piórem, jest bezprzykładnym i szczytowym osiągnięciem w dziedzinie autokreacji. Świadomie opracowywał i przekazywał swoją osobowość nie tylko w dziełach, ale — z niebywałą konsekwencją i skrupulatnością — również w listach, odczytach, wywiadach etc. Udało mu się stworzyć monumentalny obraz własnego człowieczeństwa (pośrodku między Goethem a Panem Bogiem). Nie zapominał o tym nawet pisząc liściki do swoich małych wnuków. Przejmujące słowa zmęczonego Twórcy w jednym z ostatnich listów: zostawcie w spokoju starca...”.

„W literaturze niemieckiej pociąga mnie jedynie to, co przewyższa ją samą. Takie postacie i dzieła Niemcy wydają z siebie co pewien czas, jak gdyby ukazując swoją niższość w porównaniu z nimi: z Goethem, Lessingiem, Hölderlinem, Mannem... Natomiast w literaturze francuskiej bliska mi jest także jej „średnia wielkość”, jak choćby Prévost, Daudet, Renard, Colette, a nawet Maurois”.

„Myślę, że od b. hitlerowców trzeba się dowiadywać tajemnic ich ówczesnego zwycięstwa — po to, żeby rozwiązać tajemnicę naszej ówczesnej klęski. Dlaczego pewien typ człowieka wtedy wygrał i dlaczego inny typ człowieka wówczas przegrał. Dlaczego Ossietzky przegrał z Goebbelsem. Dlaczego przegrała niemiecka socjaldemokracja. Dlaczego we Francji przegrali ludzie pokroju Leona Bluma i Piverta. I dlaczego przegrali żyrondyści, dlaczego przegrali mienszewicy. Takie sondy mogłyby dopomóc w rozpoznaniu praw gatunku”.

„Niewinność waszych pojęć o wolności, od dawna zdystan-

wany nocnym kuciem skryptów. Dobrnąłem tak do pełnoletniości. Wtedy spadł na mnie kolejny cios. W życiu M. pojawił się ktoś inny, zakomunikowała mi o tym. Potrafiłem już opanować technikę zdawania egzaminów, ale do tego egzaminu nie byłem przygotowany. Przeżywałem tortury zazdrości. Odbywałyśmy długie rozmowy w kawiarniach. M. chciała mi pomóc — postanowiliśmy zachować przyjaźń — i kiedyś mi doradziła, żebym zaczął czytać tomy Prousta. Namawiała mnie na tę lekturę ze szczególnym przekonaniem i elokwencją, połyskując zębami wśród piętrzących się superlatywów, byłem jednak dostatecznie nieufny, by słuchać z podejrzliwą rezerwą: czułem, że zachęca się mnie do jakiejś psychicznej kuracji. Obliczałem w myśli ilość stronic... To jasne, miałem się w nich pogryźć, żeby siedzieć w domu. Ale w pewnej chwili dotarło do mnie jej powiedzenie: — Brak ci dystansu, nie widzisz się z zewnątrz. — Twierdziła, że opis zazdrości Swanna nada moim udrękom wyższą formę i zobaczą ich ogólnoludzki wymiar. — Trzeba się przecież czegoś uczyć — powiedziała — jakieś wartości ponad sobą samym. — Dziwne, ale właśnie te słowa, może zaimprovizowane, jak tyle innych, w przystępie inteligentnej myśli po zaciągnięciu się papierosem, te słowa z zatartym *r* (nigdy go nie wymawia) i rzucane trochę na odczepne — coś mnie w tych słowach uderzyło. Wyższa forma... wartość ponad sobą samym...? Zdaje się, że po raz pierwszy zamajaczył mi domysł, że między literaturą a mną rozciąga się napięta lina, po której należy przejść nie patrząc sobie pod nogi i konieczny jest przy tym pewien rytuał ignorowania przepaści, jakiś gest czy sposób zaklęcia. Czytając „W stronę Swanna” miałem przejść po tej linii. Powiniennem się odzielić od własnych cierpień, wspiąć się i zobaczyć je w innym człowieku. Po co? Po to, aby je uogólnić, przekształcić w hipotezę wartości. M. nie zdawała sobie sprawy, że podsuwa mi jedno z założeń humanizmu: człowieczeństwa spełniającego się poprzez ból.

Utknąłem w połowie drugiego tomu. Literatura i życie... Życie czasami układa ze swojej materii formy niezdecydowane. W dalszym ciągu spotykaliśmy się w kawiarenkach, wypalając dziesiątki papierosów i przygotowując się do ostatecznego rozstania. I nie umieliśmy się rozstać. W tym czasie nie czytałem już Prousta, byłem Swannem, który się upolitycyzył. Kolportowałem na ulicach ulotki antyfaszystowskie, wygłaszałem przemówienia na wiecach, przychodziłem nieraz do kawiarni po bójce z falangistami. M. pytała trochę niespokojnie, czy w organizacji studenckiej, do której należałem, są interesujące dziewczyny.

Przez długie miesiące rozstawaliśmy się ze sobą, widując się tak samo często jak dawniej; niekiedy widywaliśmy się we troje. Ale coś nas przecież łączyło, coś, czego nie mogliśmy rozerwać ani rozplątać — nie potrafiliśmy nawet tego nazwać. Z lektury Prousta pozostało mi tylko zamglone wrażenie, że ze swoją raną można żyć na co dzień, przyzwyczaić się do własnego bólu i że świat nadal wówczas roztacza pulsujące kształty i barwy, a zraniony człowiek jest częstką urody świata. Zresztą to nie był już ból, tylko pamięć bólu. Nad światem zaciągał się cień, gasły kolory, mętniały zarysy. W pierwszych dniach września 39 mężczyzna, który był przyczyną moich cierpień, otoczony przez Niemców pod Jabłonną z oddziałem żołnierzy, wystrzelił do siebie z pistoletu. Zrobił to w rowie obok szosy. Akt złożenia broni przed wrogiem nie mieścił się w jego porządku wartości, żył w hipotezie honoru.

— Proszę pana — mówi Jan Wyka na czarnej drodze w wąwozie — wyjście jest tylko jedno, świat nieuchronnie zmierza do komunizmu, nie ma innego rozwiązania. Śmieszą mnie te dzisiejsze rozdarcia, te infantylnie wątpliwości... Ślepe kocięta, dzieci! Ależ to oczywiste, pewne formy ustrojowe demokracji zachodnich muszą się połączyć z treściami demokracji ludowych, jak można tego nie rozumieć? Wie pan, kim jestem: jedynym w Polsce eurokomunistą. Moi przyjaciele z madryckich okopów kierują tam dzisiaj Partią. A ja tutaj uchodzę za marzyciela, za dziwaka... mnie z Partii wyrzucili. Słyszał pan, odmówiono mi paszportu do Hiszpanii, wystosowałem list do Pierwszego Sekretarza. Nie ma pan pojęcia, jak mnie śmieszy ich upór i krótkowzroczność! Nie widzą, że sami, chcąc czy nie chcąc, zbliżają się do eurokomunizmu, bo rzeczywistość pcha ich w tę stronę! Tak, walczyłem w Hiszpanii w czasie wojny... Ach, chodzi panu o to, gdzie byłem podczas wojny światowej? Jak to, więc pan nie wie? W Anglii. W domu wariatów. Nasi emigranci uważali, że normalny człowiek nie może być komunistą i wsadzili mnie na trzy lata do zakładu dla umysłowo chorych. Trzy lata z krótką przerwą. Rozumie pan, nie mogłem zejść z moich pozycji ideowych. Pisałem listy, protestowałem... I proszę pana, wyciągnięto mnie stamtąd przez interwencję dyplomatyczną. Jak tylko powstała ambasada PRL w Londynie, mianowano mnie jej radcą kulturalnym. Dopiero później przeszedłem do pracy w KC.

Parę kartek wstecz napisałem (o moich wczesnych autorach), że literatura dzieli mnie od śmierci. Gdzieś dalej zboczyłem z te-

matu i zagubił mi się ten wątek. Może by jednak do niego nawiązać. Było kilka dni szarych, z cichym deszczem, teraz od południa kawały błękitu i słońce. A to wzmagą poczucie nieśmiertelności. Ptaszki ćwierkają. Jutro przerwa, do załatwienia mnóstwo spraw w Warszawie, znów będzie dogorywanie w ogonkach. Tak, wzruszałem się nad Duhomelem, zachwycałem się Kiplingiem, owszem, wielbiłem Żeromskiego i przeżywałem „Lorda Jima”. Dzisiaj to są lektury naiwne. Co oni czytali po iluś tam latach, ci nieco młodszy lub dużo młodszy ode mnie: Kafkę? Borowskiego? Becketta i Joyce’a? To nie są lektury naiwne. Oni także nie byli naiwni.

Przypominam sobie, jak Adam Pawlikowski chodził po Nowym Świecie z „Procesem” Kafki pod pachą. To były jeszcze lata przedpaździernikowe, ale w powietrzu już drgały ciepłe prądy. Adaś nie rozstawał się z Kafką, recytował go z pamięci znajomym na chodniku, on pierwszy zaczął głosić nową ewangelię literacką po epoce czytanek. Poznałem go w ostatnich latach wojny, był jednym z tych chłopców, którzy wprost z matury poszli do Powstania. Z obozu jeńców zawędrował do Włoch, wrócił, spotkałem go w Krakowie. To był chyba rok 1947, minął mnie na Karmelickiej w swoim *battledress*’ie z odprutymi nazywkami. Miał już wtedy sławę genialnego *playboy*’a o twarzy księcia z perskiej bajki, opowiadano o jego niebywałej erudycji, rekordach w powodzeniu u kobiet i o koncertach Bacha, które wygrywał na okarynie. Zaczarował Wilka Macha, przyjechali razem do Warszawy. Adaś (jeszcze go nie nazywano „Dudusiem”) pisał recenzje muzyczne dla *Przeglądu Kulturalnego* i grał „Pasje św. Mateusza” na okarynie w „Dziekance”. Dziewczyny... zawsze było przy nim kilka najpiękniejszych, urzeczonych, które wkrótce przechodziły w inne ręce. Przyjaciele zarażali się jego stylem, dowcipem i sposobem mówienia. Kiedy Holoubek po raz pierwszy wystąpił w Warszawie, zawołał ktoś: — Ależ on mówi dokładnie jak Adaś! Te same intonacje, akcenty! — Wilek przyprowadzał go do nas, spędzaliśmy razem lato w Kazimierzu. Potem widywałem go już tylko przelotnie. Kiedyś zajechał z jakimś cudzoziemcami przed „Bristol” czerwonym sportowym bolidem, z którego wyprowadził na smyczy czarnego pudelka. Był już Dudusiem w srebrnym garniturze. Ostrzeżono mnie: — Uważaj, jak z nim rozmawiasz. — Na co ktoś trzeci wzruszył ramionami: — Z Dudusiem można spokojnie rozmawiać, on jest od innych spraw — W tym czasie nie chodził już z „Procesem” Kafki pod pachą. Pojawiał się w lokalach u boku grubego pana Lola, ex-kawalerzysty, który stręczył zagranicznikom dziewczyny

za dewizy. Słynne orgietki i balety organizowane przez Dudusia, egzystencjalna filozofia seksu, pewien niegłupi człowiek zauważył: — W policyjnym kraju nie można być rozpustnikiem, za to się ciężko płaci, jeśli się nie jest u góry.

Okolo roku 1952 w środowiskach artystycznych odbyła się branka do UB. Łapano dawnych akowców, intelektualistów, którzy wrócili z Zachodu, bywalców nocnych lokali, pederastów — ludzi z „hakami”. W wiele lat później w Sopocie na plaży przed Grand Hotelem mówił o tym smażąc się w słońcu były dygnitarz partyjny, wówczas już w niełasce. Zaprzyjaźniony grafik przybiegł do niego rano z trzęsącymi się rękami, wprost z nocnego przesłuchania. — Pytam go: „Podpisałeś?”. „Jeszcze nie. Krzyczeli, że jak nie podpiszę, to zgnoją mnie za Kedyw. Mam trzy dni do namysłu”. „Człowieku — powiadam mu — nie rób tego, do końca życia będziesz nieszczęśliwy”. I zatelefonowałem do Różańskiego: „Zejdźcie z chłopaka, on się psychicznie nie nadaje”. Puścili go.

Czytając „Ogród dzikich zwierząt” miałem akurat tyle lat, co oni, kiedy szli do Powstania. Później na Solcu, gdy czytałem przed zaśnięciem „Noce i dni” i racjonalistyczne powiastki Anatola France’a, byłem w tym samym wieku, w jakim ich zmuszano do współpracy z policją. Przypuszczam, że musieli nienawidzić tego, co pisałem. Z zapartym tchem czytali Kafkę. Ciemny labirynt „Procesu” i groza „Kolonii karnej” utwierdzały ich w hipotezie bezsensu i nicości. Co zobaczyli pod rumowiskami zawalonego świata? Chaos, nikczemność i absurd. Ach, jak musieli nienawidzić złudzeń porządku i światła.

Adaś Pawlikowski w ostatnich latach jeździł po ulicach na rowerze. Od czasu gdy wystąpił jako świadek oskarżenia w procesie karnym przeciw autorowi satyrycznych kupletów często przebywał w zakładzie dla nerwowo chorych. Wychodził stamtąd co kilka tygodni i wtedy jeździł na rowerze. Pewnego dnia przejeżdżał przez Świętojańską. Zatrzymał się i nie zsiadając z siodła opowiedział mi szeptem, jak ubecy ścigają go nocami po dachach. — Dotychczas potrafiłem im uciec, ale wiesz, to bywa męczące... — W miesiąc później doszła mnie wiadomość, że wyskoczył z okna w mieszkaniu przyjaciół.

*Lost generation... Angry generation... Beat generation...* A to pokolenie jak nazwać: pokoleniem zdradzonym?

Warszawa ma nieraz przejmujące odruchy. Pewnego dnia wykonują je czyjeś niewidzialne ręce, są to gesty żalu lub pamięci

i w takich dniach miasto staje się żywą istotą. Na oszalowaniach zniszczonej Rotundy pojawiają się wiązanki kwiatów. Codziennie ktoś przynosi czerwone tulipany, goździki, świeże narcyzy. Z początku podawano je robotnikom pracującym przy odbudowie szkieletu i ci zawieszali je wysoko na rusztowaniach. Teraz przyczepia się kwiaty do desek oszalowań, ponad którymi wyrasta już nowa szklana Rotunda. Dokoła tłum, wirujący ruch samochodów, gwizdki milicjantów. W spalinach, w dzwonieniu tramwajów i ryku motorów czci się pięćdziesięciu zmarłych. Ktoś o nich pamięta. Dziwne miasto.

W czwartek wybuchł pożar na Piwnej w budynku klasztornym przy kościele św. Marcina, tam gdzie dwa lata temu odbyła się protestacyjna głódówka. Płomień i kłęby dymu buchały do góry, ze strychów, zagrażając przyległym kamieniczkom. Ogień był potężny, ugasiła go wezwana straż pożarna. W Warszawie mówi się o tym: „rosyjskie pożary”. Tajemnicze pożary w Moskwie i Petersburgu wybuchły jeszcze za caratu i te pożary w Rosji mają tradycje policyjne. Wczoraj przywiózł ktoś wiadomości z Lasek. W sferach kościelnych utrzymuje się przekonanie, że ogień został podłożony. Tego dnia w budynku klasztornym był pewien mężczyzna, który przyszedł z miasta. Prosił, aby go ochrzcić. W ręku trzymał niewielką paczkę, później gdzieś zniknął i podobno zakonnice widziały, jak wchodził na strych. Do kościołów zgłasza się obecnie wiele osób dorosłych, które nie zostały ochrzczone, jako dzieci ludzi niewierzących. Proszą o chrzest.

Wczoraj obiad w Klubie Literatów. Dwie salki w podziemiu, oddzielone arkadką i trzema schodkami, przy stołach tłok, pod ścianą czeka w ogonku siedem osób. Duszno, brak powietrza. Widelce i łyżki blaszane, nie ma obrusów i serwetek, na zwolnionym miejscu siada się nad talerzem z resztkami cudzego jedzenia. Przychodzą tu na obiady pisarze-laureaci i biedne poetki, głośni aktorzy, starsze panie żyjące z tłumaczeń i wspomnień oraz kilku wziętych adwokatów. Sporo efektownych, modnie ubranych dziewcząt. Córka Andrzeja Łapickiego czekająca w ogonku nie różni się od Paryżanek z Café de Flore, obok jej mąż, Daniel Olbrychski, w wyszukanej koszuli *à la roubachka*, z medalionem na piersi i płoworudym zarostem, przypomina jakieś postacie z rosyjskiej literatury, Bazarowa czy księcia Myszkina... Znani filmowcy, właściciele zagranicznych samochodów i willi nad Zalewem, słóczeni z autorami na indeksie i chudym plebsem recenzenckim, przemieszany literackimi szpicelkami.

Wszyscy razem zajadają kapuśniak blaszaną łyżką. Przy stoliku w głębi salki profesor Maria Janion, otoczona swymi asystentkami, mądra, wspaniała pani profesor Janion o lwiej głowie trybuna nauki i smutnym, ciężkim spojrzeniu spod grzywki; w wyglądzie ma coś monumentalnie jakobińskiego, coś z Marata w wannie.

Przychodzą tu zjeść obiad. Siedzą obok siebie zrównani, kapitulując przed męczarnią jedzenia na mieście lub gotowania w domu, przed brakiem mięsa w sklepach, przed chamstwem sprzedawczyń i kelnerów. — Cicho! — krzyczy podająca pani Joasia — nie słyszę zamówień! — Przeszło ćwierć wieku podaje nam klubowe obiady, była piękną, silną dziewczyną, wszystkich tutaj pamięta z lat ich i swojej młodości.

Po obiedzie wstępuję do domu i zbliżając się do Rynku słyszę już dźwięki katarynek. Jest dwóch nowych kataryniarzy. Oprócz tego dawnego w czarnym kapeluszu, z baczkami i papugą w klatce (mówią o niej „papuga w stopniu porucznika”), tego, który od siedmiu lat kręci na zmianę „Pije Kuba do Jakuba” i „Tango Milonga”, doangażowano mężczyznę w pelerynie do ziemi i drugiego w meloniku. Reprezentują starą Warszawę pana Prusa, poczciwe retro, *la belle époque*. Postawiła ich tutaj z katarynkami na etacie chłopsko-urzędnicza władza, która pilnie dba o to, aby jej nie posądzono, że przyszła znikąd. Nie: stoją za nią cienie i mury przeszłości, falsyfikat prusowskiej katarynki i kopia królewskiego Zamku. Wszystko jak na pożółkłych fotografiach... Ale na tych starych fotografiach byli jeszcze stójkowi z wąsami i mam ochotę napisać do Rady Narodowej, czy by nie zaangażowała kilku poczciwych funkcjonariuszy w kaszkietach i letnich białych rubaszkach.

Pan Pawlak, nasz gospodarz domu i były sanitariusz Pogotowia, zmywa ścierką zanieczyszczoną sień. Opowiada mi, jak przemawiał do milicjanta: — Panie władza, to jest od „Murzynka”. Tam podają szpageti napolitańskie, ale nie mają na czym ugotować, bo do „Murzynka” miasto nie doprowadziło gazu. Kładą suchy makaron pod kran z gorącą wodą, aż zmięknie, polewają sosem i jest szpageti napolitańskie. Jak klient źle się poczuje, to zrzuca w naszej sieni, bo w „Murzynku” nie ma ubikacji. Trzeba zawiadomić szanepid, uważam.

„Życ samym sobą, wymieniać mało urozmaicone idee, obracając je wokół swej własnej, wciąż jednej i nieziennej; czytać w gazetach wiadomości pozbawione niespodzianek... znajdować w nich tylko gadaninę o klęskach przyozdobionych nazwą ofensywnego manewru; wieczorami być wygnanym z ulic wskutek przymusowej oszczędności światła, nie móc się cieszyć nocnym



życiem miasta, które tak wcześniej gasi lampy... Nie móc już wznieść się w czystą dziedzinę myśli, ponieważ myśl słabnie z niedożywienia, być wyzutym z wszystkiego, co jest rozrywką inteligentnych ludzi, odczuwać brak tego, co nowe i odświeżające, wegetować w tej monotonnej brutalności... to nuda podobna do nudy prowincjonalnego miasta”.

W tym opisie, tak bardzo zbliżonym do naszego życia, zmieniłem lub opuściłem tylko parę wyrazów. To nie jest opis życia w Warszawie roku 1979. To relacja z Paryża w roku 1870, z Paryża obłąconego przez Prusaków.

W prasie wiadomość pod nagłówkiem: Aresztowanie sprawcy pożaru klasztoru w Warszawie. „Jak poinformowała Prokuratura Śródmieścia w Warszawie, w poniedziałek, 14 bm., został aresztowany pod zarzutem wzniesienia pożaru w Klasztorze SS Franciszkanek przy ul. Piwnej — Robert K. Sprawca pożaru dostał się do pomieszczeń klasztornych pod pretekstem uczestniczenia w obrządkach religijnych. Dochodzenie w tej sprawie jest w toku”.

Tej nocy M. zasnęła przede mną, czytałem jeszcze godzinę, i rano na jej pytanie, czy długo nie mogłem zasnąć, odpowiedziałem przez pomyłkę: — O 1-szej zgasilem książkę.

Zmarli przychodzą teraz częściej, spędzamy razem długie chwile, odchodzą i pojawiają się inni. Pisałem tu o dwóch samobójcach, obydwa są bohaterami nienapisanych powieści i wyrzucam sobie, że zbyłem ich tak krótko, w paru linijkach i na półtorej kartki. Obie te śmierci — mimo wszelkich różnic — coś ze sobą wiąże, obydwa, ten z przestreloną skronią w rowie pod Jabłonką i tamten roztrzaskany na asfalcie, wykonali podobny gest odmowy, tylko drugi z nich uczynił go za późno. Jeśli w ogóle można uczynić go za późno. Jest niezasażony komfort w snuciu rozważań o ostatnich ludzkich gestach, komfort człowieka żyjącego. Ileż bezwstydu kryje się w literaturze.

Literatura i sny... Po napisaniu tamtych kartek obaj powinni mi się śnić w następne noce. Ale w snach nie ma logiki, kto inny przysnił mi się zeszłej nocy. W płytkim śnie około świtu przesunął się nade mną cień dziewczyny w żałobnym welonie przysłaniającym opaskę z gwiazdą. Zawdzięczałem jej głęboki i długi pocałunek w ciemności na schodach po powrocie ze szkolnego balu w gimnazjum Lelewela, kiedy poczułem w ustach jej ciepły, wilgotny język i straciłem oddech. Mieliśmy wtedy razem trzydzieści trzy lata, była o rok młodsza ode mnie, śniada, o

niskim, szerokim czole i zrośniętych brwiach. Poznałem ją na cztery, może pięć miesięcy przed spotkaniem z M., mieszkała z matką i siostrą w sublokatorskim pokoju na Złotej i w dniach, gdy lekcje kończyły się wcześniej, leżeliśmy na łożku w porożpinanych ubraniach, coraz mniej przytomnie odtwarzając nasz pierwszy pocałunek. Dlaczego z nią zerwałem — nie jestem pewien, czy tylko dla M., wydaje mi się, że ze strachu. Niepokoiła mnie jej gorycz, było coś mrocznego w jej upartych milczeniach. Czasem w teatrze nagle zaczynała drżeć, wychodziliśmy w połowie sztuki i nigdy nie potrafiłem wydobyć z niej słowa, dowiedzieć się, czemu tak cierpi. — Ty tego nie zrozumiesz... — Często wieczorami siedzieliśmy w pokoju z jej matką, siostrą, narzeczonym i przyjaciółmi siostry; zwykle pojawiał się wtedy małomówny starszy mężczyzna, pan Marcin. Przy zgaszonym świetle recytowaliśmy wiersze Skamandrytów. Myślę, że w tych poetyckich godzinach między nią a mną działo się po ciemku to samo, co między jej siostrą i narzeczonym siostry oraz jej matką i panem Marcinem. Kiedyś deklamując wiersz Tuwima o śmierci Prezydenta, wyczułem dłoń jej ciche drgawki, jakby łkanie bez głosu. Po chwili ktoś zapalił światło, patrzyła na mnie wrogimi czarnymi oczami. — Dlaczego? — spytałem żegnając się przed wyjściem. Zbladła; — Ty tego nie możesz zrozumieć. — Rozumiałem coraz mniej, potem nie chciałem rozumieć i wreszcie rozłączył nas szkolny bal w Ostatki. Przyszedłem w przerobionym smokingu ojca, spóźniłem się, czekała na mnie posępna, w krótkiej brązowej sukience. — Wyglądasz jak oberkelner. — Z balu po kwadransie odwoziłem ją do domu, wszystkie dziewczyny były w długich sukniach. Nie przychodziłem przez tydzień, po tygodniu zatelefonowała jej siostra: jest smutna, powinienem ją zobaczyć, jest cierpiąca. Znowu leżeliśmy obok siebie na wpół rozebrani, obejmując się i tracąc oddech, ale więcej już ani razu nie przyszedłem.

W kilka lat później spotkałem ją przypadkiem na ulicy, właśnie w owym czasie, gdy rozstawaliśmy się z M. Nie ukończyła gimnazjum, pracowała w domu mody na Chmielnej i rzecz była jasna od pierwszego spojrzenia. Umówiliśmy się szybko na następny wieczór, wynająłem taksówkę, szofer znał hotel za miastem. — Tam będzie pan mógł spokojnie się wyspać z dziewczynką. — Nie zapamiętałem miejscowości, pamiętam tylko nazwę ulicy: Kościelna. To była późna jesień, w nieogrzanym letnim pokoju z werandą zrzuciliśmy po ciemku ubrania. Powiedziała mi, żebym się nie obawiał, żyła od roku z żonatym mężczyzną. W zimnej pościeli napotkałem twardy, suchy opór i do-

piero w chwili, kiedy zdawało się, że jest już po wszystkim, raptem krzyknęła wyginając się raz po raz w śpiesznych, kurczowych spazmach, podobnych do konwulsji. Potem ucichła i rozśmiała się. Takim samym niskim śmiechem przywitała mnie w trzy lata później w tramwaju na Żoliborzu: — Więc teraz się nosi rude marynarki? — Czarny, zmoczony welon opadał jej na prawy rękaw płaszcza, żałoba po siostrze, wyjaśniła. — Hanka nerwowo nie wytrzymała bombardowania, umarła zimą na zapalenie opon mózgowych. — Ona już była mężatką, jej młody mąż zawieruszył się gdzieś na wschodzie, w Rosji. Mieszkała na placu Słonecznym, odprowadziłem ją pod dom. Wciąż zarzucała welon, żeby przysłonić opaskę na rękawie. — Po co ją nosisz? We Włoszech nie różniłabyś się od włoskiej dziewczyny, a w Hiszpanii... — Tak — zaśmiała się — we Włoszech i w Hiszpanii. — Ustaliliśmy, że ją odwiedzę za trzy dni. Przyszedłem po dwóch tygodniach, ukazały się wtedy obwieszczenia o getcie, w mieszkaniu na placu Słonecznym firanki były już zdjęte i potknąłem się o zapakowane walizki. Przyjęła mnie leżąc z migreną na tapczanie w pokoju ogołoconym z mebli, zza drzwi było słychać krzątanie, w każdej chwili mógł ktoś wejść. Omotani pledem całowaliśmy się długo w milczeniu i zapadającym zmroku. Później, po dwóch czy trzech miesiącach, jeszcze przed zamknięciem bram getta, kiedy wybrałem się do niej na Sienną, nie było jej w domu, wyszła do znajomych. Czekałem około godziny siedząc na krześle w starej, ciemnej jadalni, którą wynajmowały z matką i panem Marcinem. Prócz mnie było tam kilka nieznanych mi osób, ktoś wchodził i wychodził, ale nikt nie rozmawiał, czasami wymieniano szeptem pojedyncze słowa. Nie przyszła, a ja musiałem wracać.

... ci, co nie potrafili sami się zabić, uciekli schodami w górę na ostatnie piętro, tam kładli się obok siebie na podłodze i leżeli tak, czekając nieruchomo, w całkowitym milczeniu, tylko jakaś naga jęcząca dziewczyna, zgwałcona przez szaulisów, wlokła się krwawiąc pod ścianą...

Przyśniła mi się zeszłej nocy, skrwawiona, w żałobnym welonie zakrywającym nagie ramię z gwiazdą.

Z teatru po przedstawieniu „Trenów” w ciepły wieczór pojechaliśmy na kolację do JMR-ów. Wawrzek już zasypiał i westchnął, kiedy go pocałowałem na dobranoc: — Powiedz... pójdziemy na nocny marsz? — Od miesiąca przyrzekam mu marsze nocne, zapamiętał je z wakacji w Nałęczowie, kiedy w parku wieczorem biegliśmy pod drzewami, atakowani przez czołgi

nieprzyjaciół. W kuchni przy stole rozmowa o „Trenach”. JMR z twarzą uspokojoną, cały jak opłukany ulgą. Skończył czterystustronicową książkę o Słowackim. Wracamy po północy, z asfaltu skręcam w wąwóz i zjeżdżamy ostrożnie czarną drogą w dół.

Kiedy zgasilem silnik, okazuje się, że wjechaliśmy w tumult. W wilgotnej ciemności, z parkowych drzew i od stawu brzmiał krzyk w wiolinach i basach. Trele i rechot zlewały się w opętany zgiełk, pefen wydzierających się jęków, rzężeń, pogwizdywań i kwików. Wrzask podnieconej dżungli, zawzięte przekrzykiwanie się gardeł, w szelestach, pluskach, tarcu, w łopotach. Stałem oczarowany. Wprost z betonu i spalin wpadłem pomiędzy odgłosy dawnej, prawdziwej ziemi. Z nieba wystawały kłujące, ostre gwiazdy.

Król i poeta, obydwaj wycierpieli tyle bólu dla swoich dwóch zjaw, umarłej żony i córeczki, że stały się żywe, przelali po nich tyle łez, że wypełniły cztery wieki. I nie lubili się. Zwłaszcza król serdecznie nie znosił poety. To niewesołe. Wielki poeta i mądry król. Czy między konarami dębów, w rżesie stawów i ponad gwiazdami królowie także nie lubią poetów? Nocne okrzyki i szczebioty podobno nie są miłosne, to sygnały obrony terytorium: nie waż się, nie podchodź... Małych tęsknych śpiwaków mordują w zaroślach wypukłooocy królowie ptactwa, wśród liści i w krzakach leje się krew, na amerykańskich drzewach szare wiewiórki pozagryzały rude, słabsze i mniej liczne, to był wypadek ostatecznego rozwiązania. Są jeszcze łasice i koty...

Lato buchnęło w maju, kobiety przynoszą z parku zakwitłe gałęzie i wstawiają je w pokojach do wazonów. Co dzień przyjeżdża ktoś z miasta, można go od razu rozpoznać po bladej, spotniałej twarzy. W Warszawie gorąco trawi ludzi, oczy mają jeszcze wystraszone po zimie. Rozmawia się niemal wyłącznie o zbliżającej się wizycie Papieża. Napływa pierwsza fala turystów, przybывают ludzie z miasteczek, z kontynentów, znad Bugu i Pacyfiku, z Kalkuty, spod Kielc, w domach na trasie przejazdu Papieża wykupuje się noclegi i miejsca przy oknach. Radio i telewizja wciąż jeszcze nie podały szczegółowego programu odwiedzin, nikt nic nie wie na pewno, trwają podobno układy i targi o ceremoniał, o homilie, o msze. Nie wiadomo, czy istotnie odbędzie się spotkanie z młodzieżą w kościele św. Anny i uroczysta msza na Placu Saskim, nie mówi się już o helikopterze, krąży natomiast wieść o białej łodzi, z której Papież ma udzielać błogosławieństw na drogach: biała łódź umieszczona w otwartym samochodzie.

Domysły, wieści, przepowiednie wypiekają się w słońcu zawisłym nad głowami jak dzwon. Naród czeka. Urzędy się boją. Obiegła pogłoska, że na spotkanie z młodzieżą partia ma pchnąć do kościoła dziesięć tysięcy swoich byczków. Inna pogłoska mówi, że w „Spatifie”, klubie aktorów, upił się syn premiera. Powiedział do Daniela Olbrychskiego: — Będziesz witał tego pastucha z Wadowic? — Aktor wstał i jednym uderzeniem zwałił go pod stół. Synowi krew pocięła z nosa, aktor zaszedł do toalety umyć rękę. O synu premiera gazety paryskie zamieszczają sensacje w rubrykach z życia bogaczy. Daniel Olbrychski grał Kmicica w filmowym „Potopie”. Jedni opowiadają o tym incydencie jako naoczni świadkowie, inni twierdzą stanowczo, że został wyssany z palca. Jedni słyszeli na własne uszy komunikat o 400 wypadkach śmierci podczas niedawnej wizyty Papieża w Meksyku, drudzy zapewniają, że prasa zachodnia zdementowała tę wiadomość, kolportowaną na postrach przez agencje Bezpieczeństwa. Codziennie nowe informacje. Prymas złożony chorobą... Premier pod namiotem tlenowym... Dla milicji uszyto już sutanny... Żyje się w ciągłej, namiętnej gadaninie i trudno odróżnić zmyślenie od prawdy.

Rozsnuwa się pajęczyny w tej gęstwie, zastawia się sidła. Kto to jest Robert K., ujęty przez milicję jako sprawca pożaru w klasztorze sióstr Franciszkanek? W Polsce nie ma wariatów podpalających klasztory. Ale może — gdyby ogień się rozszerzył — zależało komuś, by ogłosić, że spłonęła część starej dzielnicy wskutek zaniedbań administracji kościelnej. I może, dobrym obyczajem, kogoś przeznaczono na ów zbożny cel. A kim jest Tomasz M.? Bo na sąsiedniej szpalcie wydrukowano notatkę o aresztowaniu Tomasza M. Okoliczności przytoczone w notatce świadczą jedynie o tym, że aresztowany jest fotografikiem. Ale w nagłówku — innym dobrym obyczajem — użyto słów przesadzających z góry wynik śledztwa: „fabryka fałszywych dokumentów i banknotów”. Notatka kończy się pytaniem, czy jeszcze ktoś ma udział w „przestępczym łańcuchu”. Otóż wiadomo, kim jest Tomasz M.: jednym z zatrzymanych po wybuchu bomby w Nowej Hucie.

Znów leci sycząc pieśń gminna: Pożary, bomby, dym i gaz. Żeby ich jasny piorun trzasł!”

Jadąc po południu do Wilgi, do Andrzejów Kijowskich, zaraz za Górą Kalwarią wyskoczyliśmy na wiadukt, z którego widać starą dolinę Wisły. Po prawej ręce w dole kładzie się ziemia o rozległym krajobrazie, obsypanym białymi sadami. Krajobraz

jeszcze w kwietniu był nagi, szarobrunatny, teraz zakwitł. Wia-  
dukt, most i rozlewająca się po obu stronach Wisła, szeroka,  
nabrzmiała blaskiem, dalej gładki zjazd, asfalt nagle wbiega mię-  
dzy domki, i znowu białe welony sadów, tym razem po lewej  
ręce i dużo bliżej. Przez cały czas jechaliśmy nic nie mówiąc,  
ale za mostem, za tymi sadami odzywamy się równocześnie i na  
dwa głosy zaczynamy wyliczać dzieci naszych znajomych, które  
w ostatnich latach powyjeżdżały z Polski. Imiona i nazwiska  
ciągną się jak litania. Dzieci wywiezione przez rodziców, wysłane  
na studia, żyjące w Paryżu, w Nowym Jorku, umieszczone u przy-  
jaciół i krewnych, dzieci w Kanadzie, w Niemczech, w Danii,  
dzieci-naukowcy, dzieci-sprzątaczkę, dzieci-niańki. Dzieci, które  
nie wrócą. Dorzucamy jeszcze czyjeś nazwisko, czyjeś kolejne  
imię, ten Piotruś w Harvardzie, ta mała Ania z warkoczykami  
w Genewie, Małgosia w Oxfordzie, Jaś w Uppsali... Każde nowe  
imię wykrzykujemy zdumieni i podnieceni, w końcu wyliczamy  
coraz wolniej. — I jeszcze Monisia z Witkiem w New Jersey  
— mówi M. — niedawno pojechała do nich córka Stasia.

Kościół, miasteczko. Dalej asfalt wpełza w las, suniemy cicho  
leśną drogą, z obu stron dachy połyskujące między pniami.  
Znowu inaczej i znów ładnie. Na tej ładnej ziemi — myślę —  
będzie coraz mniej znajomych dzieci, zostaniemy tu z chłopami  
i katarzyniarzami, w tych domkach wyrosną dzieci-urzednicy i  
dzieci-wojskowi, znajomych dzieci będzie coraz mniej, ale może  
nie wszystkie wyjadą. Zresztą niektórym odmówią paszportów.

Kijowscy mają w Wildze drewnianą chatkę, półtorej izby ze  
stryszkiem, mieszczące się w spiczastym, dwuspadowym dachu.  
Prawdę mówiąc cały domek jest poddaszem wstawionym w zie-  
mię, między sosny. Pod jedną z sosen leży pudel Kali, niedawno  
pochowany. Ten psi grób pośród drzew ma smutek i powagę  
ludzkiej śmierci, przy czym zachowuje proporcję stosowną do  
wymiarów chatki, tak jakby w nim spoczywał jej mały, nieżyjący  
założyciel.

Po powrocie upalna noc w chmarach komarów, które pikują  
jak odrzutowce, z rozwścieczonym śpiewem. Noc i sen. Śnił  
mi się człowiek będący do pewnego stopnia mną, lecz nie całko-  
wicie, mężczyzna w staroświeckim tużurku sprzed obu wojen,  
i ów ja - nie ja miał twarz zeżartą liszajem, którego nabawił się  
w młodości od piętnastoletniej hiszpańskiej tancerki. Zwał go  
*najawem*, taka była nazwa liszaju, powtarzająca się w rozmowach  
między tym mną - nie mną a kimś, kto we śnie był jego powier-  
nikiem. W śnie gęstym od niedopowiedzeń kryła się melancho-

lijna wdzięczność dla dziewczyny za ów liszaj, za przeniesioną chorobę, o której nie wiedziała, i po latach mężczyzna z najawem wysłał do niej listy, wciąż zobowiązany do pamięci i pełen szacunku. Ponadto liszaj niejasno się wiąże z dawną jego omyłką, z jakąś ciężącą na nim winą. Gdzieś ma pojechać, aby ją naprawić, i to było niesłychanie ważne w całym śnie. Postać dziewczyny występowała w nim do końca w kostiumie naszytym cekinami, pamiętam jej czarne oczy, zamyślane i niewinne.

Najbardziej uderzyła mnie w tym śnie jednoczesna cielesność i mglistość, swobodnie rozsunięta fabuła z ostro widzianymi sylwetkami i trójplanową kompozycją czasu, złączoną stygmatem najawu, tajemniczą pieczętką, wyrzutem, skazą... Skąd i dlaczego ta nazwa — czy oznacza prawdę, która wyszła na jaw? więc to był sen o grzechu?

Rano, kiedy opowiedziałem go M., wpadło mi na myśl, że mój sen, jeśli bym go opisał w powieści, krytycy uznaliby za nieautentyczny, wytknęliby mi zapożyczenie z „Doktora Faustusa”. Jest w nim istotnie podobieństwo do diabelskiej przygody muzyka z prostytutką, analogiczna symbolika choroby, piętna i grzechu. Możliwe. A jednak mi się przyśnił. Czy śniąc ulegam wpływom literackim i gdybym w moim śnie udusił z zazdrości kochankę, czy by to znaczyło, że wziąłem go z Szekspira?

Pewnej nocy letniej przeżyłem czyjąś śmierć w zgrozie, która do dzisiaj mnie straszy. Było to kilka lat przed wojną, w mieszkaniu na Lwowskiej. Zbliżał się czerwcowy egzamin, leżałem w łóżku przy otwartym balkonie, wkuwając paragrafy ze skryptu. Nagle dobiegło mnie wołanie o pomoc. Z podwórza, z jakiegoś okna w ciemności ktoś dwukrotnie krzyknął: — Ratunku! — Głos dochodził z góry, z wysokiego piętra. Zanim zdążyłem zerwać się na nogi, znowu się odezwał: — Dozorca! Spadnę! Ratunku... — Po czym usłyszałem jęk podobny do skowytu: — Spaaa... — i prawie równocześnie głucho uderzenie w dno podwórza. Wszystko stało się tak błyskawicznie, że o ratunku nie mogło być mowy. Po tygodniu znalazłem w gazecie pięciowierszową notatkę, w której nazwisko mężczyzny było zastąpione dwiema literkami. Nigdy się nie dowiedziałem, czy był to samobójca, zaczepiony w ostatniej chwili o parapet, czy może ktoś, komu po ciemku lub po pijanemu okno pomyliło się z drzwiami. I nigdy przedtem ani później tak bezsilnie nie odczułem równie strasznego błagania. A po dwudziestu pięciu latach, kiedy opisałem tę letnią noc w jednej z moich książek, pewien krytyk orzekł, że całą scenę wziąłem z „Upadku” Alberta Camusa.

Życie, literatura, sny mieszają się ze sobą i ząbnią jedno o drugie. Nie ma wielu fabuł, wszystkie istnieją od zawsze, my tylko je reproduujemy, i może nasze słowa i majaczenia, zarówno jak nasze losy, są odtwarzane z pamięci.

Męcząca w moim pisaniu jest świadomość, że przekazuję tylko część prawdy o sobie. Ale najlepszą.

„X...”, jedyny w ZSSR, którego mogłem darzyć zaufaniem, opowiadał mi o swojej rozmowie z Łunaczarskim. Łunaczarski radził się go, jakimi środkami dałoby się ocalić kulturę; uważał ją za niebezpiecznie zagrożoną. — Po co usiłujecie ją chronić — powiedział mu wówczas X... — nie przeszkadzajcie tym, którzy przyczyniają się do jej ruiny. A nawet im pomagajcie. — Głos mu drżał i zająkując się patetycznie dorzucił: — Na przyszłość zachowa się szansa odnalezienia jej szczątków w katakumbach”.

Zdarza mi się wynotować z książki cytaty bez nazwiska autora w przeświadczeniu, że i tak go nie zapomnę. A później zapomnę. To chyba fragment czyjegós dziennika. Da Bóg, kto inny przypomni sobie autora.

Wczoraj funkcjonariusze Bezpieczeństwa przeprowadzili rewizję w jednym z warszawskich mieszkań. Przepadł nakład 9-go numeru *Zapisu*, przygotowany do kolportażu. Strata ogromna. Zmarnowany nie tylko koszt materialny, lecz przede wszystkim wysiłek, miesiące pracy w nieopisanie trudnych warunkach, no i ofiarność, pomysłowość kilkudziesięciu młodych ludzi, których nazwisk z zasady się nie ujawnia. Ten numer 9-ty zawierał ciekawe, ostre teksty i byłby szeroko czytany. Ocalały nieliczne wypuszczone egzemplarze, tzw. „jaskółki”. Być może nowy nakład wydrukuje się za trzy, cztery miesiące. Ale nie ma żadnej pewności, czy ten kolejny nakład także nie przepadnie. Istnieje natomiast pewność, że skonfiskowany *Zapis* nr 9 wejdzie do lektur Komitetu Centralnego, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Ambasady ZSSR. Zawsze można liczyć na garstkę wiernych czytelników.

W tym samym czasie oficjalnie kontrolowane tygodniki bite są w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy i masa konsumentów żuje tę sieczkę, jak obowiązującą strawę ludzi kulturalnych. Cztery razy w miesiącu karmią się niby-prawdą i rzekomą treścią, nowo-obywatelski język co tydzień urabia ich sposób myślenia. I tak, niepostrzegalnie, bezwiednie, przywyka się do białych plam zakrytych czcionkami, do uników i papierowych szalbierstw, ze



słowem patriotyzm wyobracanym na wszystkie przypadki. I tak się żyje w zacnym poczuciu swojej nienaruszonej polskości.

W eseju „Krypta św. Leonarda” Andrzej Kijowski cytuje słowa wypowiedziane w roku 1816 przez cara Aleksandra I, dwa zdania, od których w głowie robi się zimno i pusto: „W celu uspokojenia Polaków należy schlebiać ich narodowej miłości własnej. Traktując ich tak, jak obecnie, uczynię z nich Rosjan, gdy tymczasem im zdawać się będzie, że są wciąż Polakami”.

Jeszcze trzy dni w Oborach, w środę wracamy do Warszawy. Moja sprawa berlińska utknęła w kompetencyjnym zwarciu między Biurem Paszportów, Ministerstwem Kultury a Związkiem Literatów. Okazało się, że przy podaniu o paszport muszę założyć opinię na piśmie, uzasadniającą celowość mojego wyjazdu. Taką opinię może wystawić Ministerstwo Kultury lub Związek Literatów. Lecz do wystawienia formalnego pisma z pieczętką obydwie instytucje odnoszą się ze wstrętem. W biurze Związku na mój widok urzędnicze opada lewa powieka. Podobno jest zgoda, wszystko załatwione. A pismo? Pisma nie ma...

Ponieważ 1 czerwca miałem być w Berlinie, uprzedziłem listownie tamtejszą sekretarkę, miłą pannę Richter w okularach, że nie wiadomo, czy przyjadę w tym roku. Zaklejając list dodałem w myśli *post-scriptum*: „Droga panno Richter, w moim kraju życie jest snem, mam już co do tego absolutną pewność”.

Przez otwarte okno widać ścianę zieleni i klomb podchodzący ku stopniom tarasu. Nie wiem, o czym dziś pisać. Bzy w tym roku nadzwyczaj bujnie zakwitły. Na pierwszym piętrze ktoś włączył radio i słycać komunikat o wyrokach śmierci na homoseksualistów w Iranie. Pod gałęziami kasztanów przechadza się M. w luźnej niebieskiej sukni i chustce także niebieskiej, podobnej do zawoju na głowie. Spaceruje wyprostowana. Nigdy nie potrafiłem tak prosto się trzymać. O czym teraz myśli? Często myślimy jednocześnie o tym samym. Ale o czym teraz... o czym teraz? Zbliża się do krzaku bzu, przystaje, unosi rękę. Uśmiechnęła się. „Jak bzy zakwitną — mówił Wilek Mach wytrzeszczając oczy — to już po wiosnie, serwus lody, bzy to zima i szlus!”.

Zatrzymała się przy bzach i przez chwilę uśmiechamy się we troje z Wilkiem.

*czerwiec*

Z zapakowanym majdanem, z rękopisem, maszyną, pledami,

w mieście objęli młodzi ludzie w niebieskich czapeczkach. Plac Zwycięstwa był już przez nich strzeżony, przemawiali z głośników prosząc o opuszczenie placu, inni zaś, stojący w przejściach, kierowali odpływ ku wylotom. Tłum posłusznie odchodził. Było jeszcze widno, plac z wolna się opróżniał, głośnik przekazywał uprzejme komunikaty: obecność publiczności na placu utrudnił przygotowania, a do jutrzejszej mszy pozostało niewiele czasu.

Wracając jednym z przejść, między barierami zmontowanymi z metalowych rur, spotkałem parę znajomych malarzy, z którymi wymieniliśmy pierwsze wrażenia. Dla nich i dla mnie było jasne, że w mieście od paru godzin staje się rzecz niezwykła. Nie umiałem jeszcze określić, na czym ona polega. W oczach został mi widok placu z krzyżem na wielostopniowym podwyższeniu. Ogromny krzyż, z którego ramion spływała przewieszona szkarłatna stuła. Późnym wieczorem mówiłem przez telefon z Andrzejem Kijowskim. Pytał, czy byłem na mieście i jak to wygląda. Usiłowałem mu opisać spacerowy pochód tłumu, nie potrafiłem jednak oddać tego, co mnie najgłębiej poruszyło — atmosfery powagi i zarazem swobody, a przede wszystkim wewnętrznego związania, połączenia się ludzi między sobą. Powtarzałem tylko, że jest spokojnie, że jest inaczej i że nic złego stać się nie może. A na Placu Saskim — dorzuciłem — stoi dekoracja z „Dziadów”... Odkładając słuchawkę miałem uczucie, jakbym nie powiedział rzeczy najważniejszej. Bo najważniejsze było to, co zawierało się w owym inaczej, właśnie to niesłychane i przejmujące, czego nie widzieliśmy od lat: że w mieście działa się rzecz prawdziwa.

Rzeczy prawdziwe, to znaczy zgodne z rzeczywistością, to znaczy autentyczne, dzieją się na ogół wówczas, kiedy jest spełniona wola zbiorowa i są wyrażone ludzkie treści i gdy nie musi się postępować wbrew społecznym odczuciom i pojęciom. Wtedy ludzie chętnie przychodzą sami, nie trzeba ich spędzać ani obstawiać, tuby i kordony stają się wówczas zbędne. Przychodzą na miejsce swojej prawdy, która ma naturalność światła dziennego. Tego wieczoru na Świętojańskiej, na Krakowskim, na Placu Saskim ludzie przyszli obejrzeć miejsca, które odwiedzi Papież. I obejrzeli siebie. Wielotysięczny tłum zobaczył siebie, utwierdził się w poczuciu własnej obecności. Tłum z dziećmi, z babciami, z lodami i psami, nie kierowany z zewnątrz, letni, barwny tłum przyszedł ze wszystkich dzielnic tylko dlatego, że chciał być tutaj. Po co — po to, żeby popatrzeć i zobaczyć. Tak samo ja po to tutaj przyszedłem. Jednakże sam fakt równoczesnego przybycia tysięcy ludzi bez wezwania już był mocno zastanawiający.

Odwyczajano ich od tego, że są żywym ogółem, uczyniono wiele, aby ich przekonać, że stanowią bierną masę, której ruchami się steruje. Przyszli tu obejrzyć miasto w przeddzień wizyty Papieża, nie myśląc o niczym innym i nie uświadamiając sobie, że swoim przybyciem przeprowadzili dowód własnego istnienia.

Tego się nie da sfilmować — tego, o czym tutaj mówię — pewnych zjawisk nie chwytają kamery i taśmy. A chciałbym takie właśnie sprawy opisywać, najchętniej i przede wszystkie takie: na które nie ma rejestracji. W jaki inny sposób można by przekazać niezwykłość owego wieczoru, jego szczególną obrazowość i powagę, i skupioną odświętność? Trzeba by wyświetlić całą przeszłość, całą psychikę narodu. Później w domu próbowałem ustalić, co mi ten wieczór przypominał. Dość długo się męczyłem, zanim wpadła mi do głowy arcyprosta odpowiedź, że podobny nastrój miały niektóre letnie wieczory w Warszawie przed wojną. Pierwszy raz tak silnie — po ilu, nie wiem, ale po wielu, bardzo wielu latach — złapał mnie ten obraz. A tego również nie da się sfilmować. Czasu w człowieku nie da się sfilmować.

W tym, co się teraz dzieje w Warszawie, osobliwe wrażenie sprawia fakt, że władzę nad miastem przejął Kościół. Milicja prawie nieobecna. Panuje całkowity spokój, nie potwierdziły się strachy, ulice są czyste, przycichły nawet wrzaski na Starym Mieście. Nie stratowały nas kopyta i nie zalał tłum chłopstwa. Najciekawsze jest to, że w ogólnym nastroju brak wszelkiej dewocji. Z dawnych procesji, zwłaszcza w Boże Ciało, zapamiętałem typ fanatycznej bigotki o rozpalonych policzkach, ściskającej wstęgę feretronu z rozśpiewaną histerią, która napełniała lękiem. Takich postaci tym razem nie widzę. W nocy pod moim oknem przeciągają grupy studentów, dziewcząt i chłopców, często prowadzone przez księży. Idą ze śpiewem, lub głośno rozmawiając, ale te odgłosy nie drażnią, jest w nich spontaniczna wesołość, która się udziela. Przed mszą niedzielną w kościele św. Anny moją ulicą około 3-ej w nocy przeszło wiele takich grup.

Jeślibym miał określić jednym słowem moje przeżycia na widok tego, czemu się przyglądam od kilku dni, powiedziałbym: zdumienie. Nie tym jedynie, że nad Placem Zwycięstwa dominuje krzyż, i nie tylko, że władza milczy, jakby schowana przed narodem. Zdumiewa najbardziej myśl, że swoją prawdę naród tak umiejętnie chronił i przechowywał. Tak długo i tak umiejętnie. Nasuwa się ciężkie podejrzenie. Czy nie za pochopnie sądziło się

tę masę, widząc w niej bezwład i słabość lub dopatrując się w jej zniewoleniu codzienną wegetacją — braku zasobów duchowych.

Samochody, telewizory, lodówki... Nazywając to „małą stabilizacją”, prezentując Polskę jako społeczeństwo rządzących się nowomieszczan, mimo woli dopomagano w oszustwie. Jest rzeczą nieodpartą, że — gdyby tylko zarysowała się szansa odzyskania rzeczywistego bytu — samochody, lodówki i telewizory rzucono by na barykady. Ktoś mi wczoraj powiedział: „To nie jest wybuch uczuć religijnych. To manifestacja patriotyczna, powstanie narodowe bez wystrzału. Przyjechał podnieść nas z błota”.

Ile mogą z tego zrozumieć intelektualiści na Zachodzie — ci, co organizują demonstracje pederastów i feministek, choćby tacy jak piękny Oscar Callazos, mój berliński znajomy, który mi opowiadał o wieczach lesbijek w Barcelonie. Ale czy oni muszą nas rozumieć? Nie muszą nas rozumieć, podobnie jak my nie musimy znać ich problemów i kompleksów. Często twierdziłem, że ośmieszamy się, chcąc uczyć Amerykanów czy Francuzów, jak winni postępować i myśleć z pożytkiem dla siebie. Nie mamy ich przeszłości, nie uczestniczymy w ich życiu. Nie musimy tak jak oni przeżywać spraw Senegalu i Wietnamu, ponieważ nasi ojcowie nie byli tam kolonizatorami i nie nas wysyłano tam na wojny. Ale też i oni nie mają danych na to, aby nas uczyć myślenia i postępowania, bo o naszym życiu wiedzą jeszcze mniej. Na krótko przed wizytą Jana Pawła II w Polsce wysłuchałem relacji od kogoś, kto świeżo wrócił ze Szwecji. Tamtejsi intelektualiści utrzymują, jakoby Polskę ogarnął nawrót fanatyzmu religijnego, podobny do nacjonalistycznego wybuchu islamu w dzisiejszym Iranie... W tym momencie skłoniłem głowę przed Amerykanami. Trzeba doceniać społeczeństwo, które ukuło na intelektualistów nazwę jajogłowi.

Przed południem w sobotę telefonował sekretariat PEN-Clubu: jest dla mnie karta wstępu na mszę, którą Papież odprawi o 16-tej na Placu Zwycięstwa. Miałbym miejsce siedzące; podziękowałem jednak i chyba się opłaciło, bo przez telewizję ujawniały się w zbliżeniu obrazy będące poza zasięgiem wzroku ludzi obecnych na placu. Przede wszystkim — osoba Jana Pawła II.

Promieniowanie indywidualności, z jakim nie zetknąłem się dotychczas. Sposób poruszania się, gesty, intonacje wypowiedzianych słów — wszystko naznaczone prostotą, zdawałoby się, tak zwyczajną, że w pierwszej chwili myśli się: poczciwy. W chwili

później odkrycie: ta postać w białych szatach każdym skinieniem powiększa swoją niepospolitość, w jej ruchach jest wyczuwalna siła cierplivej pracy duchowej i fizycznej. Siła ukryta częstokroć w półśmiechu, w milczeniu lub wyhamowaniu gestu. Telewizja pochwyciła na lotnisku moment witania się z biskupami. Zrozumiałem wtedy, o czym mówił Wajda po powrocie z Rzymu: brak pośpiechu i chrześcijańskie przygarnięcie. Po wymianie uścisków Papież rzekł do biskupów: „Uszanowanie Wam! Muszę już iść, bo pchają mnie dalej”. Była w tym powiedzeniu żartobliwa pokora, Papież oddalił się niespiesznymi krokami ogrodnika. Zapamiętałem ów epizod może dzięki temu, że kamery wykadrowały twarz z bliska. Przyglądając się twarzy Jana Pawła II zwróciłem uwagę na jej rzeźbę utworzoną z kilku dużych płaszczyzn. Szerokie czoło i policzki, masywnie uwydatniona dolna szczęka, wysunięta silnie do przodu. Oczy głęboko schowane pod jasnymi, chłopskimi brwiami mają niełatwo uchwytny wyraz: między zatroskaniem a bystrym, dociekliwym namysłem. Nie potrafię dokładnie określić moich skojarzeń, chociaż z pewnością nasunęło mi się podobieństwo do szerokogłowych popiersi kamiennych z epoki republikańskiego Rzymu, a równocześnie do naszych twarzy wiejskich, tak samo sklepionych wszędy i, jak tamte, zbudowanych z prostych, twardych płaszczyzn. Cała sylwetka — pleczysta, o ciężkich barkach — nacechowana jest czymś, co kazało mi pomyśleć o oględności pełnej sprawdzonych doświadczeń. Wyraża się to nieraz w sposobie podania ręki, „przy ciele” i nie za szybkim, ale i w całej postawie, w pochyleniach głowy oraz rytmie kroków, przypominającym, jak mówiłem, rozwagę ogrodnika chodzącego wśród grządek. Trudno mi pamiętać malowidła kościelne ukazujące postać św. Piotra, wyobrażam sobie jednak, że tak właśnie wyglądał. Z biografii zamieszczonej w prasie dowiedziałem się wieku Papieża: Jan Paweł II urodził się w roku 1920. Nie uwierzyłbym, że pierwszy człowiek, którego postać narzuci mi wyobrażenie św. Piotra, będzie młodszym ode mnie.

Tę próbę opisu — myślę — spowodowało wiele przyczyn. Między innymi chęć wywnioskowania z zewnątrzności, z twarzy i postawy, o wnętrzu duchowym człowieka. Przyglądając się Papieżowi kroczącemu, Papieżowi całującemu ziemię i przemawiającemu do tłumów, rozważałem, czy ów młodszy ode mnie Namiestnik Chrystusa przeżywa w swoim życiu stany psychiczne podobne do moich — czy mają do Niego dostęp zwątpienia, lęki albo depresje. Myśli niestosowne, a jednak zaciekawiające.

Co czyni Papież ze swoją niepewnością, jak się obchodzi z grozą bytu... W jakim stopniu najwyższe zwierzchnictwo nad Kościołem Powszechnym kształtuje Jego indywidualne człowieczeństwo, co jest w Nim urzędem i formą wypracowaną przez dwa tysiące lat, a co współczesną ludzką kondycją. Być może na takie pytania chciałem sobie odpowiedzieć przyglądając się twarzy Papieża i opisując ją. Ale...

Ale to jeszcze nie wszystko. W próbie opisu, przekazania za pomocą słów tego, co kamera rejestruje obrazem, jest dla mnie pewna wartość, lepiej powiedzieć, ambicja: utwierdzenia w sobie wiary w literaturę, w sens literatury. Opis literacki... ile miejsca pozostawiają mu maszyny i aparaty techniczne, polityczne? Bardzo niewiele. Świat jest dziś pokazywany albo nazywany. Pisanie, literatura stają się zajęciem wbrew rzeczywistości, coraz bardziej dziwnym i samotnym. Otóż właśnie, praktykowanie owego zajęcia budzi potrzebę oporu wobec aparatury nasłuchów i stereofonii, pragnienie wojny z tubami, kasetami i taśmami. Wtedy zaczyna się tęsknić za opisem. Za mozołnością opisu, za solidnością opisu. Przynajmniej wyraża się w tym również odruch samoobrony przed epitetem zastępującym opis. Przed nazwą. Przecież żyjemy w świecie nazw, wytwarzanych przez liczne rodzaje propagandy, i kiedy słyszymy: „agent” czy „genialny przywódca”, oznacza to, że usiłuje się nam wcisnąć w mózg zakłęcie, hasło, które nas zwalnia z obowiązku opisu, z opowiedzenia złożoności. Niedawno temu w trakcie jakiegoś sporu powiedziałem: — Zamiast go nazwać, opisz go. — Była mowa o którymś ze znajomych, o jego charakterze. Opis jest czymś trudniejszym i sprawiedliwszym niż epitet, wielokrotnie się o tym przekonałem. Mniej ludzi potrafi rzecz lub człowieka opisać, niż nazwać. *ale młoda osoba*

Możliwe, że używając terminu „opis” mam na myśli literaturę w ogóle i przywiązując szczególne znaczenie do opisu, mówię o stosunku między pisanymi słowami a współczesną cywilizacją. Pisarstwo wymaga w naszych czasach nie tylko wiary w siebie, to również wiara w literaturę na przekór cywilizacji. Nieopłacalne, ale bądź co bądź dumne zajęcie — zajęcie donkiszotów.

Więc mówiąc „opis” rozumiem przez to opowiadanie o życiu przy pomocy słów oraz z pewnością sensu kilku rozróżnień, takich jak dobro - zło lub prawda - kłamstwo. Powiedzą mi: nie mówisz o literaturze, myślisz o bajkach. Ano tak, bardzo bym sobie tego życzył. Żeby literatura wróciła do swojego źródła, do opowieści o doświadczeniach i przygodach ludzkiej istoty ze światem — z naturą, ludźmi i bogami. Podejrzewam, że wszyscy czują

dziś zmęczenie wrzaskiem rozpacz i jękiem wydawanym przez artystów w obliczu rozbicia i chaosu, całą tą nowoczesnością, kopiącą sobie grób eksperymentalnymi łopatami, po to, żeby nas wszystkich w nim położyć i razem śnić zdesperowane sny kretyków. Och, jak ja tego nienawidzę!

Myślę o fabułach, o baśniach snujących cudowne i straszne losy dziewcząt zamienionych w sowy i chłopców, którzy stali się władcami. Bez nich nie będzie literatury. Jeżeli się odbierze ludziom wiarę w to, że życie jest fabułą z morałem — przestaną wierzyć w literaturę i życie. A jeszcze pragną wierzyć. Przyszli zobaczyć człowieka urodzonego w małopolskim powiatowym miasteczku, człowieka, który stał się zastępcą św. Piotra i błogosławi ich na drogach ze swego białego pojazdu. Dla ludzi stęsknionych do baśni, czyli do prawdziwych opowieści o życiu, to jest wspaniała fabuła, cudowna akcja z bohaterem i przesłaniem.

Kamery telewizyjne przekazały scenę-obraz, która pewnie na zawsze wejdzie do ikonografii narodowej: Papieża i Prymasa klęczących u Grobu Nieznanego Żołnierza.

Po obiedzie w poniedziałek na kawę wstąpili Kijowscy. Rozmowa przez cały niemal czas toczyła się o Papieżu, którego Andrzej widział na trasie przejazdu z lotniska i później dwukrotnie — na Placu Zwycięstwa oraz na mszy odprawionej dla młodzieży przed kościołem św. Anny. Kijowski, znakomity narrator, opowiada po aktorsku a zarazem przenikliwie, pokazując człowieka, fakt czy sytuację wraz z ich znaczeniem, lub jakby poprzez znaczenie. Sam zresztą lubi konstruować znaczenia, a czasem je wymyśla. Zawsze oryginalnie. To jeden z owych nielicznych, którzy zaostwiają apetyt na życie swoją inteligencją postrzegania. Wspaniale opowiadał o zdziwieniu Jana Pawła II oklaskami rozbzmiewającymi w trakcie kazań, o zaintrygowaniu Papieża reakcją wiernych na te a nie inne zwroty, kiedy zgromadzone tłumy akcentowały za pomocą oklasków sens Jego przemówień, kształtując go wedle swego rozumienia i odczucia. Zanotowałem podobne momenty w transmisji telewizyjnej. Papież, czekając, aż oklaski ucichną, pochylał głowę z lekkim zakłopotaniem, kto wie, czy nie z odrobiną wzruszonego rozbawienia... i był wówczas szczególnie sympatyczny. Słuchający tłum odpowiadał nie zawsze oklaskami. Mówiono mi, że podczas homilii w Nowym Targu, po słowach Papieża o zabijaniu dzieci w łonach matek, oklaski się nie rozległy. Podobno i tą reakcją Ojciec Święty wydawał się zdziwiony.

Głowią się, jak właściwie określić niezwykle styl kazań Jana

Pawła II, w czym ich nieprzeciętność, żeby nie powiedzieć, złamanie kanonu. W prostocie? W braku obydwu retoryk, kapłańskiej i świeckiej? Nie mam odpowiedzi. Tak, Papież głosił słowa proste. Mówi się często, że prawda jest prosta. Dodałbym jeszcze, że prawda jest znana. Znana ludziom — tak znajoma, iż zdaje się wypowiadać ich własne myśli. Papież wyrażał myśli zgromadzonego polskiego tłumu, myśli i pamięć, które zafałszowano, mówił do niego z wnętrza jego doświadczeń, wypowiadał jego nadużyta prawdę. Powiedziałbym: jego najlepszą prawdę. Są lata i epoki, kiedy człowiek, naród, ludzkość nie umieją znaleźć dostępu do swojej najlepszej prawdy. To są ciemne lata, to są epoki złych proroków. Papież swymi słowami dobrego proroka czynił ludziom dostęp do tego, co jest w nich najświatlejsze i o czym wiedzieli od zawsze. Oczyszczał ich ze zmętnień, ze skamielin naniesionych przez lata nieszczęść i nieprawdy, głosząc idee, jakie Kościół w Polsce nie zawsze wypowiadał z tak żarliwym przekonaniem. Być może w tym tkwi przykuwająca indywidualność stylu Jana Pawła II. Jak gdyby słowami wskazywał zastawione drzwi i otwierał je na oścież, wpuszczając światło. Słowa wypowiedziane w Oświęcimiu o narodzie żydowskim, powtarzający się akcent tolerancji dla innych wyznań i obrządków, ustęp homilii poświęcony Rosjanom... Gdyby w moich latach szkolnych i uniwersyteckich głos Kościoła brzmiał podobnie, ilu trucizn bym nie zasmakował.

Ktoś mi powiedział: — Chciałam uklęknąć i modlić się z nim razem. — Było to zwierzenie osoby o światopoglądzie laickim. Próbuje sobie wyobrazić, co czuli w owych chwilach wierzący katolicy. Wiara religijna nigdy przecież nie była sferą moich prawdziwych wzruszeń, tylko dziedziną przeżyć cudzych, którą obchodziłem z daleka, nie bez pewnego rodzaju sceptycznej zazdrości. Ale usiłowałem, a nieraz zmuszałem się do jej rozumienia. Przy czym najtrudniej było mi pojąć uczucie miłości do Boga. Co to oznacza: kochać Boga? Zastanawiam się, czy w miejscu ludzkiej męki, nazwanym w kazaniu Papieża „Golgotą współczesności”, gdzie dziś jeszcze nie sposób obronić się myślom o opuszczeniu przez Opatrzność — czy w Oświęcimiu można było kochać Boga.

Pytając sam siebie, co to znaczy i jak się podobne uczucie przeżywa, zawsze doświadczam chwili bezsilności. Nic nie widzę, nie umiem sobie niczego wyobrazić. A jeśli tutaj jest klucz do prawdy — bo może jedynie dar takiej miłości wyzwala człowieka z udreki i bólu egzystencji? Pamiętam z poezji Słowackiego cytat, a raczej jego sens, bo nie potrafię go przytoczyć dokład-



nie: „Umrzesz z niemiłowania jak z głodu”. Cytat, który można by rozumieć w dwojakim znaczeniu: umiera się z braku miłości doznawanej od ludzi, albo z niedoznawania miłości do ludzi. Ale czy tylko do ludzi — czy nie do świata, do Boga...? Odczytywałem ów cytat w znaczeniu drugim, które wydaje mi się głębsze, bardziej znamienne. Jest w nim współczesne dotknięcia świadomości. Źródło depresji i nerwic, duchowego umierania — mówi dzisiejsza świadomość — tkwi w wyalienowaniu przez cywilizację, w egotycznym zwarciu człowieka ze sobą, obszar śmierci to samotne, wpatrzone w siebie ja.

Ale jeśli człowiekowi nie przypadła łaska wiary, jeżeli przeżycia metafizyczne nie są mu dostępne, gdyż jest tylko człowiekiem dobrej woli, który słowo miłość zastępuje w myślach pojęciami sympatii lub przyzwoitości, co ma zrobić taki człowiek? Zachowywać się przyzwoicie w stosunku do Bytu? Odczuwać sympatię do Boga? Nie, tu zawala się sens. A więc pozostałyby może ćwiczenia, gimnastyka psychiczna, trening duchowy... Sugerować sobie wiarę, wprawiać się w miłości do Stwórcy, udawać, zakłamywać w sobie laicki racjonalizm... (Pascas)

W 11 numerze *Zapisu* znalazłem u Wirpsy następującą myśl: „Zakłamanie się, jeśli jest świadome, a nadto wsparte rozumem i wrażliwością, stanowi trudną pracę wewnętrzną, o wielkiej godności filozoficznej”.

Nawiedza mnie chwilami podejrzenie, czy nie należałoby z powrotem zakłamać wielu spraw, które w swoim czasie zostały odkłamate. Spraw odkłamywanych np. przez Woltera i Marksa i później przez Freuda, oraz przez zastępy myślicieli, którzy odzierali ludzkość ze złudzeń i przekazanych futerałów umysłowych. Moje pokolenie wyrastało w epoce odkłamywań. Odkłamywano stosunki między kobietą a mężczyzną, religię, miłość, historię i literaturę. Wkrótce potem, gdy na to pokolenie spadły ciosy totalitarnej bestii, okazało się, że nasze odkłamate człowieczeństwo, aby się ostać, musi sięgnąć do pojęć i wartości, które uważaliśmy za szlachetną frazeologię dawnych pokoleń, pokoleń zakłamywanych. Nie wystarczyła świadomość wyzwolona z przesądów, trzeba sobie było przypomnieć stare godła honoru, poświęcenia i nadziei. A później... Później nadciągnęły kadry odkłamywaczy burżuazyjnego społeczeństwa ze swymi prawdami, które nosiły już w sobie ziarna nowych zakłamań. Włącznie z wolnością i braterstwem. I z równością. Kiedy dziś w moich lekturach natrafiam na zdanie: „Nierówność jest prawem natury, a równość to najstraszliwsza z niesprawiedliwości” — myślę, że te

jeżeli to napisał  
szympan, to o.K., jeżeli Kierulski  
to z wiadomym podtekstem (vide jego blond)  
z oc. świadomym przemilczaniem,  
że chodzi o równość wobec prawa i jako

niektóre z nich (czyli, piosenek)  
mawskich (czyli, piosenek)  
ale rozumowanie w afektu  
dale głupie gadanie

słowa demaskują coś, co było niegdyś prawdą odkłamaną, która zakłamała się ponownie.

Uciec od nowych mistyfikacji, wrócić do starych mitów?

Podobne refleksje — dlaczego one mi się nasuwają w związku z przybyciem Jana Pawła II do Polski? Przymuszczałem z tej racji, że słuchając Papieża i przypatrując się Jego osobie, często-kroć odnosiłem wrażenie, jakby nie Instytucja do mnie przemawiała, lecz człowiek, który przemyślał współczesne niepewności i któremu moje doświadczenia są znane. Zdaje się, że trzydzieści milionów ludzi odnosiło wrażenia identyczne. Można było sądzić, że Papież zwracał się do nas, obejmując słowami nas wszystkich, uwzględniając każdą ludzką słabość. Również nasze zwątpienia. A nawet brak wiary.

Od 464 to są no może nawet  
464, bylibyśmy mniej, bliźni.

Setki tysięcy ludzi, opuszczając miejsca nabożeństw, nie pozostawiały po sobie ani jednego papierka. Po zakończeniu uroczystości sprzątano je z ziemi.

Przeczytałem kilka poprzednich kartek (piszę to już nad morzem) i uraziła mnie ich publicystyczna wiotkość. To są sprawy wymykające się narracji, trudno uchwycić ich sens najistotniejszy — tak niematerialny — i wpada się w słowa. Papież ogarnął nas swymi słowami. Przekonałem się, że niepodobna mi ogarnąć słowami postaci Papieża.

Z pewnego oddalenia przyływa czysta atmosfera tych dni. Jakby to powiedzieć... Nastrój zbiorowej ulgi, odzyskania godności?

We wszystkim, o czym mówił Papież, była obecna myśl o dziejach Polski. Często powracał do losów tej ziemi, ukazywał ich dramat i wzniosłość. Myślę, że wszyscy w owych chwilach musieli widzieć w Janie Pawle II uosobienie duchowe historii narodu. Znamy własną historię, co jednak nie oznacza, że zawsze potrafimy dostrzec jej piękno. A jest piękna. W dziejach Europy bodajże nie istnieje kraj, którego przeszłość miała tak niewiele win w stosunku do świata. Tuż obok przylegały do nas dwa narody o najposępniejszej historii. Niemcy i Rosja. Z dwóch stron. Polska stanowiła pośrodku obszar praw i życia. Między schizofreniczną siłą Niemiec a obłąkaną pustką Rosji usiłował żyć naród, który przez długi czas brał serio najszczytniejsze zasady ludzkości — chrześcijaństwo, humanizm, demokrację, swobodę ludzkiej osoby i wiary — a po ośmiu wiekach płacił za swoje fantazmaty niewolą i śmiercią za wolność. Nie mieliśmy praktycznego rozumu Anglików ani namiętności Francuzów do

konstrukcji socjalno-państwowych, absolutystycznych czy republikańskich. Ale pozwalaliśmy innym narodom żyć obok i pośród nas. To wystarczy, by nie czuć poniżenia.

Co nas poniża? Można by odpowiedzieć: pogarda, jaką się nam okazuje. Nie myślę tu o czyjejs pogardzie z zewnątrz — mówię o poniżaniu metodą wewnętrzną, tutejszą, obliczoną na nikkczemność i głupotę; sugerującą, że my jesteśmy głupi i nikkczemni. Główne machinacje są dwie. Pierwsza zakłada, że nie mamy pamięci. Wmawia się nam nieprawdziwą przeszłość, historię zoperowaną, z której usunięto płyty tkanki. Są to dzieje Polski bez wojny polsko-rosyjskiej 1920 roku, bez paktu Stalina z Hitlerem w roku 1939, bez Katynia i zdrady jałtańskiej w roku 1945. Operacja sięga dalej i głębiej — wycięto nam również rzeź Pragi w 1794. Telewizyjni profesorowie wykładają tę zoperowaną historię z pełnym godności spokojem, patrząc nam w oczy wzrokiem ludzi uczciwych. Ale to byłoby za mało. Równocześnie dokonuje się drugiej machinacji: podmienienia obiektu nienawiści. Aparat polityczny nie ma złudzeń przynajmniej pod jednym względem: wie, kogo się dzisiaj w Polsce nienawidzi. Człowiek świadomy rzeczy, chcąc odwrócić od siebie nienawiść, zmienia postępowanie lub sięga po argumenty na swoją obronę. Lecz istnieje jeszcze trzeci sposób — skierować nienawiść gdzie indziej, podstawić jej nowy obiekt. Telewizja i prasa mózganymi swych historyków i publicystów kilkanaście lat temu wymyśliła nowy obiekt nienawiści dla Polaków: grozi nam spisek żydowski, naszym śmiertelnym wrogiem jest państwo Izrael. Stawką w tej machinacji był polski antysemityzm. Jesteśmy z wami, przestańcie nienawidzić nas, będziemy nienawidzić razem, władza z narodem, partia ze społeczeństwem... Kiedy obliczenie zawiodło, pozostali już tylko Niemcy. A ściślej — zachodnia część Niemiec. Przed paroma dniami słuchałem debaty trzech telewizyjnych profesorów w związku ze zbliżającym się czterdziestolecieciem września 1939. Wiodący dialog toczył się między dwoma uczonymi i zdążył wartko do celu: utwierdzić Polaków w nienawiści do jedynego ich wroga, jaki istnieje, istniał i istnieć będzie — do Niemców na zachód od Łaby. Na wschód od Bugu mamy jedynego przyjaciela, który zawsze rozciągał nad nami braterską opiekę. *wolę nas wielkemu Trzech*

W tej rachubie na nienawiść jest zawarte domniemanie zła, nihilistyczna pewność, że w duszy narodu są ciemne siły, którym nie wolno dać zasnąć. Nie z dziejów Polski płynie owa wiara w ciemność, nie na tej ziemi wyrosła. Chrześcijańskie słowa,

jakimi przemawiał Papież w Warszawie i Oświęcimiu, zdawały się ujawniać bezwstyd i obcość tamtych słów.

Pisałem tutaj o cudach i baśniach, wspominając o nich mniej lub bardziej poważnie, może tu i ówdzie z ironią... Ale gdzieś było tu zdanie wyrażające ufność w niewyobrażalną fantastykę życia. Dowodziłem, że zawsze jest inaczej, niż człowiek oczekuje w swoich trwogach i przewidywaniach, i że losy mają inną logikę niż ludzki umysł: logikę paradoksu, niespodzianki, olśnienia. Zawsze będzie inaczej. Mieści się w tym możliwość cudu. Kiedy srebrny papieski samolot pojawił się w błękitnym niebie nad lotniskiem i opuszczał się do lądowania, i później, kiedy na stopniach ukazała się postać w bieli — przecież tak zaczynają się cudowne opowieści, baśnie. Niechby mi ktoś powiedział rok temu, że urodzony w polskim miasteczku *Papa di Roma* odprawi mszę u stóp Krzyża na Placu Zwycięstwa...

Gdyby świat był tylko „opowieścią idioty”, ludzkie istnienie nie miałoby sensu. Ale na szczęście nie znamy reguł i kompozycji tej fabuły, ani jej myśli przewodniej, i dlatego jesteśmy ciekawi jej dalszego ciągu.

Dziś rano obudził mnie głos spikera Polskiego Radia. M. słuchała wiadomości: „Należymy do nielicznej grupy krajów, których obywatele bywają w Kosmosie”.

To brzmi mocarnie. Prześcignęliśmy Anglię i Francję, Szwajcaria wlecze się daleko w tyle i pod nami.

Otóż gdy nasi obywatele przebywają w Kosmosie, inni nasi obywatele żyją jeszcze na ziemi. Wczoraj przed gdyńskim sklepem spożywczym widziałem dwóch emerytów okładających się laskami w kilkudziesięciosobowym ogonku do masła. Przypomniał mi się pomysł Mrożka na sztukę teatralną, której zdaje się nie napisał. Miała się rozpoczynać orędnem generała, przywódcy afrykańskiego państwa, transmitowanym przez kolorową telewizję: „Bracia, ostrzcie dzidy i wykopujcie topory, na wybrzeżu pojawiły się trzy białe twarze!”

W 11-tym numerze *Zapisu*, który zabrałem tu ze sobą z Warszawy, są obszerne fragmenty „Miesiący”. Przeglądając je znalazłem parę omyłek literowych, m.in w pisowni imienia Marguerite (użyłem błędnie podwójnego „t”), ale nie o to chodzi. Zastanawia mnie, czym właściwie jest ten materiał i jak bym określił jego formę czy literacki gatunek. Z kilku stron doszła mi już wiadomość, że piszę dziennik. Tak się przeważnie mówi o osobistych zapiskach, prowadzonych z dnia na dzień. Nie esej

— bo temat i zasięg myślowy nie są wyznaczone. Nie fikcja — bo jakaż to fikcja bez warstwy imaginacyjnej, z autentycznymi sytuacjami i nazwiskami osób rzeczywistych. I przecież nie wspomnienia — bo opisuję tu wypadki bieżące.

A więc — dziennik?

Alż nie, to byłoby grube nieporozumienie! Pisząc te kartki wykonuję robotę konstrukcyjną, przeprowadzam selekcję z zachowaniem struktury planów czasowych, a co najważniejsze — wiem o sobie więcej niż tutaj zapisuję. I nie tylko o sobie. Chciałbym zapewnić, że nie daję tu pełnej miary mojej świadomości i przeżyć, i jeśli ciągnę tę narrację w pierwszej osobie liczby pojedynczej, to zaręczam, że jest to ja obnażone tylko do pewnego stopnia, ja kontrolowane z punktu widzenia kompozycyjnego zamysłu i kształtowane przez materiał dziejący się w czasie pisania. Pisząc dbam natomiast o zachowanie jedności między sobą poddanym owej stojącej się materii czasu dzisiejszego a sobą z czasów przeszłych, z których moje ja wyrosło. I to jest także zadanie stylistyczne: budować jednolitą postać narratora.

Powinien się z tego wyłonić obraz czyjegoś życia. Czytając wydrukowane „Miesiące” odnosiłem wrażenie, że jest to nie tyle zapis codziennych doświadczeń, ile kompozycja tworzona z doświadczeń. Buduję ją nie znając jeszcze całości, poprzez wypełniające się i powtarzane motywy, z naszkicowanymi scenami i występującymi od czasu do czasu postaciami epizodycznymi. Często w akcję wplatom komentarz oraz rozwijam ją w kilku płaszczyznach, które pewnie kiedyś się zejdą w jakimś zakończeniu, ale nie umiem jeszcze przewidzieć wymowy jej zakończenia — i piszę ją... jak co? Jak powieść.

## *lipiec*

Po powrocie znad morza miasto wydało mi się mniej gęste — spora część widać już odpłynęła na wakacje — ruch znacznie spokojniejszy. Podobno w czerwcu były upały, ludzie opadali z sił, miękły asfalty. Teraz lekkie ochłodzenie, przewiewy i trochę szarego nieba, ulice odpoczywają stygnąc. Krakowskie Przedmieście w południe, między Miodową a Królewską, szerokie, ocienione drzewami, biegnące świetlistym zakolem pałacowych i kościelnych frontonów pod rozległym niebem... najpiękniejszy prospekt miejski świata. W środe poszliśmy z M. na spacer do Łazienek. Park, z przyłączoną częścią belwederską, stawy, mostki, wyspa z teatrem i fauny, i nawet ludzie na ław-

kach, wszystko to ma dla mnie oczarowującą urodę, chyba jeszcze od czasu, kiedy czytałem „Tajemnice Łazienek” Zuzanny Rabskiej, no i później, kiedy przed egzaminami kułem tu ze skryptów prawo rzymskie. Belweder widoczny od tyłu i z dołu, kolumny prześwitują w zieleni, taras położony wysoko. W listopadową noc studenci i dziennikarze z karabinami musieli biec pod górę. Nie wiem, czy istnieje w Polsce miejsce, w którym nagromadziło się tyle legend, jak pod tymi drzewami, między kamiennym Sobieskim na małym koniu a bielejącym pałacem, także jakby za małym w stosunku do swojej roli. Mitotwórczy park — powiedziałem M. — więcej jest tutaj cieni niż żywych ludzi. — Później obejrzeliliśmy nową kawiarnię na Rozdrożu, tam gdzie dawniej była „Łobzowianka”.

Pierwszym znajomym, którego spotkałem po powrocie, był Adolf Rudnicki. Stał na Krakowskim przed ruchomymi schodami, patrząc jak się zbliżam. Kiedy podszedłem, stał dalej bez słowa. — Adolfie — mówię — jak się masz, nie wiedziałem, że jesteś w Warszawie. — Mądry, smutny Adolf przypatruje mi się z lekko przechyloną głową, a właściwie nie, nie przypatruje mi się, tylko patrzy, czy go widzę, czy rozumiem... Co? To, co czas z nami zrobił.

— Dobrze wyglądasz — próbuję dalej — na długo przyjechałeś? — Nie odpowiada, wciąż patrzy na mnie jak przybysz z zaświatów i wcale tak dobrze nie wygląda. Przyjeżdża do Warszawy mniej więcej co pół roku, drugie pół roku spędza w Paryżu, gdzie ma żonę i synka. Pisze na przemian w Paryżu i Warszawie, tu i tam wydają jego książki. Trzy lata temu spotkaliśmy się przypadkiem na Saint-Germain, szedł z teczką, wybiegłem za nim z kawiarni. I wtedy także zatrzymał się, czekając aż podejde, i patrząc mi w oczy bez słowa, z tym samym wiedząco bolesnym spojrzeniem. Powiedział, że w Paryżu na każdym kroku atakuje go obcość; to jest jak ucisk na mózg, niektórzy wariują od tego. Po kilku miesiącach musi wyjechać do Warszawy. — No więc optymalna sytuacja — stwierdzam — pół roku we Francji, drugie pół w kraju, ideał! — Ideał... — Adolf kładzie sobie rękę na piersi, kiwając głową, jakby słuchał szczebiotu niemowlęcia. Przypomniał mi się dawny pobyt w Oborach, kiedy zachorował i ktoś przyniósł mu herbatę z lekarstwem do pokoju. — Kawaler żyje jak król — rzekł wówczas z łóżka — a choruje jak pies. — Powiedział to swoim śpiewnym głosem Hioba, bardzo podobnym do melodyki jego prozy.

W Paryżu atakuje obcość, a w Warszawie — z Warszawy

nie można wyjeżdżać na zbyt długo. Bo wtedy urywają się ślady. Traci się jakby dotyk i węch. W tutejszym życiu trzeba się orientować z zamkniętymi oczami, po omacku, znać na pamięć kierunki i zapachy. Stojąc koło ruchomych schodów naprzeciw Adolfa, który patrzył na mnie swoim niemym, zbolałym spojrzeniem, uświadomiłem sobie, że to jest człowiek żyjący w dwóch obcych krajach, podwójny cudzoziemiec — z Krakowskiego Przedmieścia i z bulwaru Saint-Germain. — Wyjeżdżasz? — pytam — zostajesz? — Nie wiem — uśmiecha się Adolf — nie mam żadnych planów...

I znów ten śpiewny, biblijny ton. Kawaler. Król i pies.

Okazuje się, że w mojej dzielnicy gra tylko dwóch kataryniarzy; tego z baczkami, od tanga „Milonga”, odwołano. Poinformował mnie o tym jego następca, tęgi, siwy mężczyzna w czarnym kapeluszu, podobnym z fasonu do graniastego melonika, jaki nosił Winston Churchill. Ma także czarną muszkę i czarne spodnie, białą koszulę oraz apoplektyczną twarz, którą często ociera chusteczką. Jego katarynka wydaje z siebie szklane dźwięki, przypominające pozytywkę; gra przeważnie straussowskie melodie. W cieplejsze dni grubas się męczy i odpoczywa w cieniu. Wczoraj podszedłem do niego, żeby mu pogratulować instrumentu. Powiedział mi, że katarynka jest antykiem z połowy XIX wieku. Zauważyłem szary zaciek na wstążce jego kapelusza; musi się pocić w czasie kręcenia korbką. Rozmawialiśmy parę minut, po czym odszedłem w stronę Barbakanu. Koło rogu Długiej przed sklepem zatrzymała się młoda kobieta z wózkiem dziecięcym. Nachylona, poprawiła dziecku poduszkę. Nieładna, silna kobieta w letniej sukience i sandałach. Spostrzegłem w przejściu jej stopę o masywnych różowych palcach z krótko przyciętymi paznokciami, poczułem zapach mydła i pieluszek. Przez sekundę zobaczyłem ją kąpiącą dziecko w wannie i jej męża obok w pokoju, siedzącego w rozpiętej koszuli i ziewającego nad gazetą. Widziałem pięć mocnych palców w skórzanym sandale, rękę z wyslizgującym się mydłem, rozpostartą gazetę. I tamten przeпоony zaciek na wstążce czarnego kapelusza. Zobaczyłem to równocześnie, w jednej sekundzie, i przejęło mnie wrażenie niemal fizycznego dotyku życia. Była to chwila spokojnej pewności. Doznałem satysfakcji, że jestem z tej samej materii, i pomyślałem, że to mi wystarcza. Rzecz szczególna: takie wrażenia przeżywa się dość późno. Z upływem lat można się jakoś obejść bez wiedzy o sensie czy istocie życia; zaczyna wystarczać sam jego materiał i obraz. Być w tym obrazie... Nieczęsto zdaję sobie sprawę, jak bardzo jest mi to potrzebne.

Nad morzem nie zdążyłem nic notować na bieżąco, utrwaląłem tylko reminiscencje z wizyty Jana Pawła II. Byłem w Sopocie prawie trzy tygodnie. M. zauważyła, że między dwoma ludźmi, którzy spędzili osiemnaście dni w Sopocie, ale z których jeden mówi: „byłem w Sopocie prawie trzy tygodnie”, a drugi: „byłem w Sopocie dwa tygodnie z kawałkiem”, zachodzi psychologiczna różnica, prawdziwsza od wielu rzeczy, jakie każdy z nich powiedziałby o sobie. Tak, być może, w gruncie jednak większe znaczenie ma dla mnie fakt, że po raz pierwszy byłem tu... Nie do wiary! W swoim wewnętrznym samopoczuciu — jak już mówiłem — nie przekraczam trzydziestki, można więc zrozumieć, jakim zdumieniem napełnia mnie myśl, że spędzałem tutaj wakacje 58 lat temu. Od roku 1921 przyjeżdżaliśmy do Sopotu przez trzy lata rokrocznie na sierpień; pamiętam jeszcze nazwisko naszej gospodyni (Frau Wrede), przyjaźń na plaży z małym rosyjskim emigrantem Miszą, bójki z niemieckimi chłopcami, statek o nazwie „Grüss Gott”, stojący na redzie, i moją rozpacz, kiedy Marian przypierał mnie do poręczy mola, usłując mi wcisnąć pestkę wiśni do nosa. W kabarecie „Kakadu” występował wówczas Weretyński, a moim rodzicom towarzyszył na spacerach mężczyzna, który brał udział w zabójstwie Rasputina.

Teraz przyjeżdżam do Sopotu głównie w celach zdrowotnych, żeby oddychać jodem. Parę lat temu, po nadużyciu leków antyreumatycznych, nagle zacząłem chudnąć, czułem wstręt do jedzenia. Wystąpiły jeszcze inne objawy: nadmierna skłonność do wzruszeń. Na widok pieska lub naszego dozorca nie mogłem się powstrzymać od płaczu. Ponadto z dnia na dzień opadałem z sił i rzeziłem przez sen. M. stała w nocy przy moim tapczanie wsłuchując się, jak oddycham, i gdy leczono mnie na wątrobę, ona pierwsza postawiła diagnozę: tarczycza. Potwierdziły ją badania kliniczne. Przez jakiś czas zażywałem lekarstwo na uspokojenie tętna oraz zalecono mi wdychanie nadmorskiego powietrza. Jod! Dlatego przyjeżdżam do Sopotu. Po kilku dniach pobytu wspomniałem o tym Czesławowi Centkiewiczowi, który równocześnie z nami zatrzymał się w domu ZAIKS-u. Centkiewicz, podróżnik i znawca mórz, wysłuchał mnie ze zrozumieniem. — Tak — stwierdził — tylko że w Zatoce Bałtyckiej nie ma jodu.

Ale pogody były piękne.

Wakacje... Prawdziwe wakacje to letni pensjonat z leżakami, z nasłonecznioną salą jadalną i wieczornymi rozmowami przy stole lub podczas spacerów o zmierzchu. Tak jak dawniej w krynickim pensjonacie „Siedlisko” u pana Tonia Januszkowskie-



przedstawiająca otwarcie akademii: Mołotow na trybunie, stół prezydialny z Malenkowem pośrodku... A więc to samo, co zobaczyłem w chwili gdy wykonywano zdjęcie. To samo? Wpatrywałem się w fotografię. Za stołem był tylko pierwszy i drugi rząd; trzeci i czwarty zniknęły, zastąpiło je ciemne jednolite tło. Patrząc na to zdjęcie nie mogłem się połapać, co ono przedstawia: prawdę? fikcję? jedno i drugie? A może uległem złudzeniu? W końcu zbudziłem Gałczyńskiego i podsunąłem mu gazetę. Obaj z Konstantym nie wiedzieliśmy, co o tym sądzić.

Natomiast Ważyk, który spędził wojnę w Rosji, wiedział, co o tym sądzić. Kiedy po powrocie pokazałem mu w redakcji *Kuźnicy* numer *Prawdy* z zagadkową fotografią, Ważyk patrząc na mnie z powagą syjamskiego kota zapytał, o co właściwie mi chodzi i czemu się tak dziwię. Powtórzyłem, że przecież był jeszcze trzeci i czwarty rząd, więc dlaczego na zdjęciu ich nie ma? — To proste — zapisał Ważyk — ci z trzeciego i czwartego rzędu jeszcze nie założyli na to, żeby ich rozpowszechniać w kilkumilionowym nakładzie! — No dobrze — upierałem się — ale to znaczy, że zdjęcie jest nieprawdziwe... — Politycznie jest prawdziwe — uciął sucho Ważyk. I tak skończyła się rozmowa. Jedna z moich pierwszych lekcji dialektycznego myślenia.

Pewni mądrzy obserwatorzy w ubiegłym stuleciu twierdzili, iż nowym źródłem ludzkiej niepewności jest zwielokrotnienie umysłowych horyzontów wokół mózgu współczesnego człowieka. Co wybrać — które z filozoficznych kryteriów, w jakim kierunku posuwać myśl? Marksizm uwalniał od wątpliwości: wskazywał jeden kierunek i jedyną pewność. Rosjanie spotwornili tę pewność, intronizując ją na szczyty kłamstwa. W zachodnioeuropejską doktrynę wbudowali potemkinowskie wsie. Jak łatwo wnikało w zmęczoną powojenną świadomość dialektyczne myślenie z wyretuszowanym tłem, z jaką biegłością można było zastępować rzeczywistość piętrami argumentów i wytyczać trasy historycznego rozwoju. Wzdłuż sielankowych makiet zasłaniających niewolnicze wsie rzeka krwi i fałszu płynęła ku ziemi obiecanej bezklasowego społeczeństwa. Marzeniem Stalina, mówili starzy komuniści wypuszczeni z łągrów, jest dzień, w którym chleb będzie rozdawany za darmo.

Po kolacji odwoziłem Konwickich na ulicę Górskiego, gdzie mieszkają od dwudziestu lat w trzech małych pokojkach. Dawniej ta ulica nazywała się Hortensji, osiemdziesiąt pięć lat temu mój ojciec chodził tędy do gimnazjum. Nasza pamięć i wspomnienia posługują się coraz większymi liczbami. W przyszłym

roku minie sto lat od urodzin mego ojca. Żył jeszcze wówczas Karol Marks. Żyli także Wiktor Hugo, Flaubert i Dostojewski. A najdziwniejsza jest dla mnie myśl, że mój dziadek jako pięcioletni chłopiec mógł zobaczyć Mickiewicza. Ale nie zobaczył. Podobno tylko grał w szachy z młodym Piłsudskim w kawiarni Gostomskiego. Co prawda to było niedawno, w roku 1900.

A w piątek zatelefonował reżyser Domaradzki. Miałem właśnie podnieść słuchawkę, żeby się połączyć z zespołem „X”, gdy zadzwoniło mi pod ręką: — Dzień dobry. Tu mówi Domaradzki. — Umówiliśmy się na wtorek o 5-tej, przyszedł punktualnie. Wyjaśnił, że nie odzywał się z powodu licznych zajęć i dopiero teraz może się zabrać do scenariusza z „Romantyczności”. Zwłoka w przekazaniu zaliczki wydaje mu się przeoczeniem sekretarki, o żadnych sprzeciwach ani przeszkodach nie słyszał. Sądził, że otrzymałem już pierwszą część honorarium. Otóż nie otrzymałem. Sprawa jest dla mnie nieco żenująca — tłumaczyć, że grosza nie zarabiam i żyję z zagranicznych wydań paru moich książek... Więc daję temu spokój. Mówimy o „Romantyczności”: jak przełożyć halucynacyjny napór obrazów i wspomnień na klatki filmowej taśmy i co ma być opowiedziane w scenariuszu.

Odtąd moja sytuacja staje się delikatna. Pytający wzrok Domaradzkiego wprawia mnie w zakłopotanie, a wiem, że się nie wywinę. Muszę wejść w rolę. W jaką? W rolę autora „Romantyczności”. Kto ma lepiej wiedzieć, o co chodzi w utworze, niż autor? We mnie — czytam to w ufnym spojrzeniu Domaradzkiego — w mojej autorskiej świadomości zawiera się prawdziwa interpretacja tekstu, klucz do jego klatek. I właśnie tu się coś łączy. Powiedzieć prawdę czy udawać? Wejść w rolę wszechwiedzącego, mydląc te ufne oczy — czy może lepiej wyznać, że pisząc nie zdawałem sobie jasno sprawy z tego, co chcę napisać? Przecież pomysł „Romantyczności” („pomysł” to już za wiele, raczej zapulsowanie, drgnięcie) wyłonił mi się z pólśnu nad ramię, kiedy, nie chcąc się jeszcze obudzić, w przecierających się ciemnościach zobaczyłem — zobaczyłem...? — wychudłego człowieka na łożku pod niskim sufitem poddasza, mężczyznę leżącego w surducie, nakrytego podartą kołdrą, w głodzie i gorączce. I w tym majaku czy sennym widziadłe było jedno znaczenie: pewność, że ów chudzielec jest zapoznanym czwartym wieszczem.

Później dopiero osoba poety zaczęła mi się przesuwac w stronę Słowackiego. Listy do matki, branie się za bary z Mickiewiczem, niefortunny epizod powstańczy itd. Ale to był Słowacki o konturach poplątanych, zatartych, poeta romantyczny cierpiący na

dziwną chorobę usychania języka, i pisząc widziałem go nie zaw-  
sze podobnym do wizerunków Słowackiego; częściej miałem  
przed oczami postać z półsnu, anonimowego moribunda z czar-  
nymi dziurkami od nosa nad wystrzępioną kołdrą. Tymczasem  
film ma iść w serii poświęconej sławnym poetom, twórcom  
zapisanym w dziejach literatury, postaciom bynajmniej nie fik-  
cyjnym ani syntetycznym. Tutaj więc następuje pierwsze zde-  
rzenie: mięsożerna natura filmu żąda ciała i kości, nie zadowolili  
jej literacka chimera. Jest to tak oczywiste, że bezwiednie sam  
temu ulegam; w rozmowie z reżyserem zastanawiam się nad  
obsadzeniem głównej roli przez aktora o wyglądzie choć trochę  
podobnym do Słowackiego...

Kiedy pisałem „Romantyczność”? Dwadzieścia lat temu.  
Napisałem ją po cyklu powieści rozpoczętym przez „Samsona”  
i uwieńczonym „Obywatelami”, z „Matką Królów” jako zaob-  
nym epilogiem zamysłu, w którym postanowiłem dowieść sobie,  
że mój talent i autentycznie lewicowe przekonania zdolne będą  
osiągnąć rzecz nieprawdopodobną: stworzyć dzieło zgodne z wy-  
mogami realizmu socjalistycznego, a zarazem prawdziwe i piękne.  
Mówiąc krócej, powiedziałem sobie: mnie się to uda, ja tego  
dokonam. Nie we wszystkich ambicjach zawarte są męki porażek,  
ale w tej od początku tkwiła klęska. Mnie przynajmniej udało  
się jedno: że moje powieści w tych latach były czytane. Póź-  
niej wprawdzie nie skąpiono im obelg (w czym celowali krytycy,  
którzy je przedtem chwalili), lecz nie to raniło mnie najbardziej.  
Dużo ciężiej było obnażyć przed sobą samym świadomość naru-  
szenia pisarskich obowiązków, zarówno wobec rzeczywistości, jak  
i literatury. To jest o wiele trudniejsze i wymaga długiego czasu.  
Czasu, miałbym chęć powiedzieć, który się nigdy i nigdzie nie  
kończy. Nigdy się nie kończy, może natomiast poruszyć zmag-  
zynowane rezerwy psychiczne, siły do poznawania siebie, cieka-  
wość i głód. Właśnie głód, głód świadczący o przesilaniu się  
choroby. Adolf Rudnicki pisał kiedyś o głodach w literaturze:  
że literaturę tworzą głody po przejedzeniu. Nie cytuję ściśle,  
miał zapewne na myśli przesytytą formę, językiem. Potem  
odczuwa się głód. Nie umiałbym znaleźć lepszej nazwy na owo  
łaknienie połączone z ciekawością i ochotą podeptania własnej  
zrzuconej skóry, jakie zapowiadało każdorazową przemianę stylu  
w okresach, kiedy czułem niemal fizyczne „dosyc”, nagle wyzu-  
wające mnie ze stanu posiadania.

Wtedy jednak, przed „Romantycznością”, mój głód był jeszcze  
innego rodzaju. Dręczyło mnie już poczucie rozminięcia się  
z istotą sztuki, z wyobraźnią, a lepiej powiedzieć — z jej

źródłem. I chyba dlatego (mówię „chyba dlatego”, bo daleki jestem od logicznej pewności) chciałem przejrzeć się w źródle, z którego wypływał nurt najpoetyczniejszy, a przynajmniej w Polsce za taki uznany: rzeka poezji romantycznej, z jej ciemną głębią, rodzącą narodowe mity. Taka polska romantyczność, taka Polska przywidziała mi się z daleka w czasie mojej podróży do Włoch. Wynurzająca się z błota nad poziomy, karczemie tragiczna, na przemian opiewana lub wyklinana przez swych bohaterów, Polska z duchami spiskowców i snującymi się cieniami pół-rycerzy, gdzie nikczemność miesza się ze świętością, gdzie kury i indyki mają dar przemieniania się w orły i skąd wyjeżdża się turystą, by w drodze stać się pielgrzymem — taka Polska wzbudziła we mnie rozciekawioną tęsknotę, jaką daje głód. I tknęło mnie przecucie, że w tej romantycznej narodowej głębi chwilami płyną kształty podobne do moich, do naszych doświadczeń.

Rozmawialiśmy z reżyserem Domaradzkiem w mniejszym pokoju, w którym na półce wśród książek umieściłem dwa dagerotypy Mickiewicza i gdzie na ścianie wisi powiększona reprodukcja portretu młodego Słowackiego — jedynej jego podobizny, do której pozował, bodajże jeszcze w latach przed Powstaniem. W pokoju latała duża mucha, która wpadła przez uchylone okno, za oknem robiło się chmurno i ciemno. Tego dnia miałem lekką gorączkę, 37 z kreskami, i przyjąłem mojego gościa półleżąc, z kocem na nogach. Wątki „Romantyczności”, może na skutek podwyższonej temperatury, zaczęły mi się mieszać z realiami — z wizerunkiem na ścianie, z twarzą Mickiewicza i muchą, również występującą w moim tekście — słowem, od pewnej chwili czułem się jakby w trzech nasuniętych na siebie planach czasowych: w epoce romantyzmu, w dniach, kiedy pisałem „Romantyczność” oraz w dzisiejszym czasie. Wrażenie poruszające, choć wcale nie przykre. Domaradzki chyba coś zauważył, bo wstał, szerzej otworzył okno i wypuścił muchę. Bardzo mi się to spodobało. Rozmawialiśmy jeszcze godzinę, po czym ustaliliśmy termin następnego spotkania.

W ogóle Domaradzki budzi we mnie sympatię swoim wzięciem i sposobem bycia. Z wyglądu przypomina podchorążego AK, ma też jakąś skautowską bezpośredniość ułatwiającą obcowanie. Od skliszowanego typu filmowca różni się brakiem perfekcji w przyłgnięciu do aktualnych wymogów fachu; myślę, że należy już do nowej grupy, do młodszych z cięższym życiem. I nic nie udaje. A nie jest z tych, co udają, że nic nie udają, bo na takich się znam.

Lipiec szary i chłodny, pokrapiany deszczem. Wczoraj wieczór szliśmy z M. pod parasolami, nie spiesząc się, przez Krakowskie. Koło rogu Trębackiej wyprzedziliśmy dwóch podpitych czterdziestolatków, którzy rozmawiali pokrzykując i gładząc. Kiedy zostawiliśmy ich za sobą, na chwilę ucichli, po czym dosłyszałem, jak jeden powiedział: — Pan profesor... z panią profesorową. Na spacerku. — Wymamrotał to z pokpiwającą sympatią. Dla współczesnego socjologa w takiej odzywce jest materiał do zanalizowania.

Prawdziwi profesorowie egzaminowali nowowstępujących na wyższe uczelnie. Przed komisją egzaminacyjną PWST młoda kandydatka na aktorkę nie potrafiła sobie przypomnieć, kim był Józef Piłsudski. — Chyba dowódca w powstaniu... — Na co jeden z egzaminujących, zaintrygowany niewiedzą kandydatki, pogłębił sondę: — Skoro już jesteśmy przy Józefach, może pani nam powie, kto był Józef Stalin? — Po chwili namysłu dziewczyna szepnęła: — Nie wiem... — I wówczas w pełnej osłupienia ciszy rozległ się okrzyk aktora Świderskiego: — No, tego to pani zazdroszcze! *jego zjarło!*

Przeczytałem książkę o Dantonie (autor prof. Jan Baszkiewicz) oraz „Kronikę życia Józefa Piłsudskiego”, dwa grube tomy opracowane przez Wacława Jędrzejewicza, bodaj ostatniego z żyjących sanacyjnych „pułkowników”. Obfitość faktów i cytatów, których nie znałem, lektura dająca wiele do myślenia zwłaszcza przez to, że indywidualność Piłsudskiego okazuje się bardziej złożona i tajemnicza, jeszcze dziwniejsza i bogatsza, niż dotąd sądziłem. Relacje z dni przed śmiercią, kiedy podjeżdżał w fotelu na kółkach do ściany z pamiątkowymi fotografiami i mruczał: „Nie ma już Ziuka...” — trudno się z tego otrząsnąć. Więc tak umierał. Z kroniki wyłania się postać nie pomniejszona, charakterem i wyobraźnią górująca nad otoczeniem — potężny złom woli i odpowiedzialności, lecz jakby wydziobywany od środka i z zewnątrz tragizmami polskich sytuacji. Uświadamiał je sobie. Męki i zmyry starego wodza były zmorami dziejowymi narodu. Widział je, straszły go w bezsenne noce. Krzyczał znad pasjansa: „Za dziesięć lat może już nie być Polski!”. Wielkie. Straszne.

W niedzielę o 12-tej saluty z dział święcili 35-lecie Polski Ludowej. Szedłem akurat Nowiniarską i w chwili gdy zagrzniał pierwszy salut, myślałem o czym innym. O tym, że jestem w końcowej ćwiartce życia, kiedy to ludzki organizm, prócz zmęczenia, zaczyna odczuwać bliskość mety. W dniach lepszych nerwowo

ów moment jawi mi się na ogół jako praca świadomości, trud rozstawiania się z sobą. Obliczam wtenczas swoje siły moralne, bez wyraźnego zagrożenia myślą o bólu fizycznym i poniżających udrękach ciała. I masz tobie, idąc Nowiniarską nagle wziąłem się za rozważanie innego zgoła rodzaju perturbacji: jak bym się trzymał na łożu boleści cielesnej, z rozpadającymi się płucami albo wątrobą, co bym tam wyrabiał i czy w tych okolicznościach stać by mnie było na spokój i godność. Łatwo napisać czy powiedzieć „godność”, ale jak ją zachować w ciele katowanym przez chorobę. Kto wie, czy wtedy nie jest ważniejszy basen.

Skąd takie myśli — i bah! bah! właśnie na Trzydziestopięciolecie — nie wiem, może pierwszy salut skojarzył mi się z salwą nadgrobną. A swoją drogą chętnie pożyłbym jeszcze trzydzieści pięć latek. Z samej ciekawości. Ale pod warunkiem, że będę rozumiał, co się wokół mnie dzieje, i że będzie mi się chciało o tym pisać.

Zastanówmy się chwilę, czemu to myśl o utracie godności budzi tak wielki niepokój. Godność... wobec kogo i w imię czego? Czym jest ten ludzki obowiązek nie umieszczony w przykazaniach, formą przeciwstawienia się naturze? Nie jestem pewien, czy godność potrafi zastąpić miłosierdzie i jakie są prawdziwe stosunki między godnością a pokorą. Mogę tylko przypuszczać, że dla poszukujących, którzy nie znajdują, godność jest sposobem rozwiązania. Umowa, zakład o wartość życia — jeżeli się przyjmuje zasady gry do końca — stanowią jedyną wiarę niewierzących, najwyższy stopień przymierza — ze sobą zamiast z Bogiem. Ale czy naprawdę zamiast. Miłość człowieka do siebie, jeśli wszystkie jej obowiązki są spełnione, zastanówmy się, czy istotnie jest tylko miłością do siebie. Trzeba jednak powtórzyć: gdy wszystkie obowiązki są spełnione.

W skrzynce pocztowej znajduję niemal wyłącznie rachunki i zaproszenia na odczyty lub na cocktaile do ambasad. Wczoraj miła niespodzianka: kartka z Rzymu od księdza Józefa Sadzika, rektora domu Pallotynów na ulicy Surcouf, gdzie mieszkaliśmy z M. po jej wyjściu ze szpitala i gdzie trzy lata temu na wieczorze autorskim czytałem fragmenty „Nierzeczywistości”. Pisze ks. Sazdik: „Przesyłam ciłe myśli z Rzymu, dokąd zostałem nagle zwołany. Miasto nad Tybrem zawsze urocze. Papież, z którym miałem możliwość dłuższej rozmowy, stałe w świetnej formie. Łączę słowa przyjaźni i pozdrowień”.

Z miasta nad Tybrem kartka szła dwa tygodnie. Poprzedniego dnia nadałem z poczty list do dr. Staemmlera, niemieckiego tłumacza moich książek. Nie wiem, po jakim czasie go otrzyma,

bo piszę w nim o sprawach, które cenzorom pocztowym mogą się wydać zajmujące. Moi niemieccy wydawcy upierają się przy tytule francuskiego przekładu „Nierzeczywistości”, zapożyczonym z „Króla Ubu” — „*En Pologne c'est-à-dire nulle part*”, co brzmi po polsku: „W Polsce czyli nigdzie”. Pod takim tytułem książka ukazała się we Francji. Otóż, jakkolwiek może się to wydać przesadne czy śmieszne, ten sam tytuł w języku niemieckim budzi we mnie opór, nie życzę go sobie. W liście do Klausa Staemmlera proszę go, żeby „Nierzeczywistość” przełożono na „*Unwirklichkeit*”, co, jak słyszałem, budzi znowuż profesjonalny opór niemieckich wydawców. Postanowiłem jednak nie ustąpić i czekam na odpowiedź.

Do mojej lipcowej korespondencji, nieszczególnie obfitej, powinienem też zaliczyć karteczkę, jaką w szatni Klubu zostawiłem dla Jacka Bocheńskiego. Dzień przedtem dał mi do przeczytania tekst gratulacyjny, którym redakcja *Zapisu* uczci 70-lecie Jerzego Andrzejewskiego. Bardzo mi się spodobała ta stroniczka. Zwróciłem ją mówiąc, że jest szczęśliwie utracona w tonie — serdecznego podziwu i przyjaźni — po czym nazajutrz zostawiłem w szatni kartkę następującą: „Jacku kochany, chciałbym tylko powtórzyć, że gratulacje dla Jerzego szczęśliwie utracone w tonie, oraz zgłosić jedno zastrzeżenie. Nie ma zupełnej pewności, czy najznakomitszym z nas nie jest np. Krynicki... Ponadto, jeśli piszemy najznakomitszy z nas, oznacza to, że sami uważamy się za znakomitych. A czy wypada?”

Podrzuciłem kartkę do szatni i szybko wyszedłem. Ale idąc przez Plac Zamkowy zacząłem się śmiać pod parasolem na myśl o Jacku, o jego minie, kiedy będzie czytał tę kartkę, i zakłopotanym uśmieszku, z jakim przytknie palec do nosa i uniesie brwi w zadziwieniu moją jezuicko-dyplomatyczną obłudą, która... O którą mnie chyba nie posądzał.

JMR zostawił mi do przeczytania maszynopis swojej książki o Słowackim. Wynałazł nowy gatunek: połączenie eseju monograficznego z literaturoznawczą analizą i poetycką improwizacją. Sam mimochodem wspomina, że można by to nazwać „poematem naukowym”. Podobnej formy użył w swojej poprzedniej książce, o Fredrze, która mnie tak zachwycała. Tu idzie jeszcze dalej, pozwala sobie na rzeczy szalone, a przy tym, co najosobliwsze, pisząc w namiętym zapamiętaniu, zachowuje olśniewającą precyzję języka. Wściekła odwaga, zgrzytająca zębami pasja i architektoniczna doskonałość. I nieustanny atak. Cała książka to kołowrót przenikających się ze sobą dygresji od głównego tematu-pytania: czy Słowacki istotnie komunikował się z Duchami?

Na co JMR odpowiada, że musimy w to wierzyć i nie mamy dowodów ani powodów, by nie wierzyć. Po czym groźnie łyskając okiem daje do zrozumienia, że być może istotą kultury jest komunikowanie się z Duchami...

Książka napisana z miłości i na złość. Rzadko się zdarza, by autor potrafił wpisać w utwór swój tak oryginalnie zakreślony autograf, a JMRowi właśnie to się bezwiednie udało. Albo i nie bezwiednie.

Wczoraj przyszło mi na myśl, że wiele osób, niekiedy mi bliskich, przez co najmniej dwadzieścia lat myliło się co do mnie uważając mnie za człowieka „zręcznego”. A ja sądziłem, że moja dobra wiara w nikim nie może budzić wątpliwości. To jest doświadczenie. Trochę gorzkie, ale którego nie żałuję. „Dwóch rzeczy nie żałuję — powiedział mi Staś Dygat, kiedy widziałem go ostatni raz — tego że wstąpiłem do partii i tego że wystąpiłem z partii”.

Cóż jeszcze w tym lipcu. Chodzimy do kina, jest teraz mniej ogonków przed kasami. „Śmierć chińskiego maklera”, „Tak-sówkarz”, „Niezamężna kobieta”, zapewne nie są to filmy wielkie, ale to są jedne z wielu filmów amerykańskich, które pasjami oglądam. Ile ich już widziałem — dziesiątki, może setki. „Rozmowa” i „Ojciec chrzestny” Coppoli, „Nashville”, „Trzy kobiety” i „Dzień weselny” Altmana, a przedtem „Midnight cowboy”, „Easy Rider”, a jeszcze „Czyż nie dobija się koni”, „Znikający punkt”... I „Strach na wróble”. Nie potrafiłbym wszystkich wyliczyć, bo powiadam — jest ich za dużo, żeby spamiętać poszczególne tytuły. I chyba jeszcze z jednego powodu. Wszystkie te filmy zazębiają się, sumują ze sobą, tworząc razem wzięte obraz pewnej cywilizacji i epoki. Nie ma innego kraju poza Stanami Zjednoczonymi, który prawdę o sobie przekazuje z taką siłą, wyrażając przy tym współczesne prawdy o życiu. Czasami te filmy amerykańskie, reżyserowane przez licznych autorów według coraz to nowych scenariuszy, sprawiają wrażenie jednego potężnego dzieła, balzakowskiej „Komedii ludzkiej” naszych czasów, tworzonej z tomów filmowych. Okrucieństwo w demaskowaniu i tęsknota za niewinnością, gang i samotność, wynaturzeni marzyciele i zelektronizowana policja, ryk hot-jazzu i wysoko-prężnych paliw, narkotyki, sielanka czystej miłości, *home* i szynk — rzeczywistość napęczniała realiami, chwyтана przez mistrzów fotografii w psychodelicznym ruchu i kolorach. I nowy sposób montażu: narracja szyfrowana, niemal łamigłówkowa, czasem



wszczęta od środka w skrótowych wyrwykach, dopiero potem wszystko się składa i wiąże. To jakby najnowsza technologia losu. Ach, jak oni umieją opowiadać! O czym? O sobie. Ale pokazują, jak można by opowiedzieć o nas. Myślicie, że ich akto-ry grają Amerykanów — nie, oni grają ludzi.

Obiady klubowe, jak co roku, kończą się przed 1 sierpnia, potem miesięczna przerwa. Siadam przy stoliku obok Konwic-kiego, który uprzejmie słucha moich komentarzy do bieżących lektur. Parę dni temu przytoczyłem mu ciekawe i niepubliko-wane dotąd szczegóły, jakie podaje Wacław Jędrzejewicz w książ-ce o Piłsudskim. M.in. o wylewie mózgowym w roku 1928 po konferencji z Daszyńskim w Belwederze. Był to już okres walk z Sejmem. Piłsudski musiał wówczas doznać apoplektycznego porażenia, narzekał odtąd na trudności w podpisywaniu doku-mentów. I bodaj że od tego czasu występują objawy degradacji mentalnej: mania prześladowcza, obsceniczne łajanie posłów sej-mowych („toż oni pierdołą się całymi miesiącami...”) oraz pogłębiające się depresje. Nie mógł sypiać w Belwederze, straszły go zjawy i kroki, spał przy zapalonym świetle. Pamiętam dzień 1 maja przed maturą, kiedy widziałem go przejeżdżającego otwar-tym cadillakiem, z majorem Lepeckim u boku. Jechał Alejami Ujazdowskimi w stronę Placu Trzech Krzyży, którym akurat cią-gnęła na pochód grupa starych pepesowców ze sztandarem, zagradzając przejazd. Czerwony sztandar przesunął się z wolna tuż przed maską samochodu. Zapamiętałem wybladłą, zasępioną twarz w automobilowych okularach i poźółtkłe od nikotyny wąsy. Miał wygląd człowieka zgnębnego. Tę niemą scenę z czerwonym sztandarem, który niegdyś porzucił i przed którym teraz musiał się zatrzymać w milczeniu, uznałem za symboliczną.

W domu telefon rzadko się odzywa, od połowy lipca prawie wszyscy znajomi rozjechali się na wakacje. Marzną w górach, nad morzem i nad jeziorami. A z Julkiem Strykowskiem zmar-twienie. Dolega mu jakaś infekcja nerkowa ze skaczącą gorączką. M. dzwoni do niego codziennie i namawia, żeby się dał przebadać w klinice. — Mam czas, po co się spieszyć! — ucina butnie Julek i wiadomo, że postawi na swoim. Pyta, co słyhać, kogoś-my widzieli, kto i co nowego powiedział. Nikt nie jest tak żądny nowin jak Julek. Polubiłem zimowe wieczory, kiedy przychodzi do nas pieszo ze swojego mieszkanka w Alei Wyzwo-lenia. Niziutki, ale sprężysty, zarumieniony od mrozu, tupie butami w przedpokoju i oczy aż skrzą mu się z ciekawości. — Słuchaj no, w jakim dziś jesteś humorze? Czuję, że masz mi coś do powiedzenia? — I prędko biegnie w stronę fotela: —

To ja ci zaraz coś opowiem! — Opowiada, co usłyszał i co się zdarzyło; pyta gdzie jest M., chce, żeby także słuchała. — Parzy herbatę — wyjaśniam. — Jaką herbatę? — podskakuje Julek — madras?! — Zawsze widzę w nim małego chłopca na rynku w miasteczku, chodzącego między grupkami starszych Żydów i nad słuchującego pilnie, o czym mówią. Julek do dzisiaj jest młodszy od wszystkich. Ktoś o nim powiedział: najmężniejszy z nas. Wchodząc do literatury polskiej ze swoją „Austrią” i „Skrzypcami na wierzbach” dokonał rzeczy niebywałej, zważywszy, że w dzieciństwie rozmawiał tylko w języku yiddish; na pierwszych lekcjach w szkole nie rozumiał, co do niego mówi polska nauczycielka. Opowiadając mi o tym zasłaniał twarz obu rękami: wstydził się i śmiał z siebie, nie bez zalotnej dumy. Doktor filologii polskiej. W czasie naszych spacerów w Kazimierzu umiał wymienić wiejską nazwę każdej roślinki przydrożnej. — Popatrz no, to jest dzięcielina. A na to mówią „krwawnik”.

Podoba mi się ten Julek ze swoim dzielnym ego, wojowniczym i wścibskim, wydreptującym sobie ślady i ścieżki, i tak mocno powiązanim ze światem. Podoba mi się nawet jego oszczędność („Masz mi rozmienić dwa złote na szatnię?”), oszczędność wyćwiczona przez skrupulatne zasady małego miasteczka. Tak samo Julek ćwiczy swoje drobne ciało: kilkugodzinne szybkie marsze przez miasto, nieubłagana gimnastyka co rano. Kiedyś robiąc mostek zwichnął sobie palec u nogi. Teraz postanowił sam się leczyć, nie ma mowy, nie pójdzie do szpitala. A my 1 sierpnia jedziemy do Lanckorony.

Ludzie z aparatu państwowego w swoich przemówieniach kładą akcent na pierwszą sylabę. Mówią: *gospodarczy, opłacalność, zainteresowanie*. Wynika to z agitacyjnego parcia na słowo i przygina kadencję polskiego języka w kierunku czeskim. A jednocześnie większość Polaków, chcąc powiedzieć, że coś kupili czy gdzieś pojechali, akcentuje: *kupiliśmy, pojechaliśmy*. Nie wiem skąd to się bierze, ale w moim uchu brzmi tępo.

Spikerzy telewizyjni znowu się boją. Zbliża się 35-lecie Powstania Warszawskiego, w całym śródmieściu rozlepiono oficjalnie plakaty z kotwicą, utworzoną z dwóch pierwszych liter akowskiego hasła „Polska Walczy”. Od tygodnia w TV pokazuje się filmy z tamtych dni — chłopców w hełmach, barykady, mogiły z krzyżami. Nigdy dotąd w Polsce Ludowej nie czczono tak gorliwie bohaterstwa powstańczych żołnierzy i ofiarnych poświęceń ludności. Skąd ów żar?

Z wystraszonymi twarzami spikerzy donoszą o niewykonaniu planów produkcyjnych w rolnictwie, kłopotach z taborem kolejowym, trudnościach w energetyce... Nie tylko rocznica Powstania się zbliża: idzie jesień, zima, grozi brak żywności i węgla. Dlatego spikerzy się boją. I dlatego rozlepia się plakaty z kotwicą, dlatego sławi się powstańczą wolę przetrwania. W obliczu głodu i chłodu. Płaczliwie błagają spikerzy: „Polacy, którzy tyle nieszczęść wówczas umieliście przetrzymać, wy, którzy znacie umęczenie i głód, Polacy wytrzymajcie jeszcze to nowe, co nadchodzi, okażcie i tym razem bohaterską gotowość do wyrzeczeń — stojąc w kolejkach, marznąc w mieszkaniach, czekając na zatłoczonych dworcach, bądźcie ofiarni i patriotyczni, jak tamci na Mokotowie i Powiślu 35 lat temu!”.

Premier żyje i nieźle wygląda. Przypiął orderzy zasłużonym oraz udzielił audiencji przedstawicielom sąsiedniego kraju. Odzyskaliśmy tę popularną telewizyjną twarz.

## *sierpień*

Okrzyk starej prostytutki w Krakowie, prowadzonej przez milicjanta ulicą Józefa: „Złodziei! Złodziei pilnujcie! D... jest moja!”.

Lanckorona. Inaczej ją sobie wyobrażałem. Wajdowie mówili „naokoło górkę, ale spacerować po płaskim”. Tymczasem wszędzie tutaj urwiście i stromo, od Krakowa wszystkiego 40 km, a krajobraz podhalański, taki jak w Rabce czy Tylmanowej, gdzie spędzaliśmy lato ze Stopkami i Leną Walicką. Droga z Warszawy żmudna, przez cały czas ze słońcem w oczach i wyprzedzaniem ciężarówek na dwukierunkowym asfalcie — od 1 sierpnia ograniczono szybkość do 90 km. Za Głogoczowem szukam znaku na Wadowice, gubię skręt, powinienem był zjechać na Bielsko. Jadąc zaczynamy rozmawiać o śmierci Stachury. Niedawno, chyba przed tygodniem, zadał ją sobie po ucieczce ze szpitala psychiatrycznego w Drzewicy. Wykradł tam zapas tabletek, zażył wszystkie i powiesił się. Przedtem podciął sobie żyły. Był to, słyszałem, drugi akt samobójczy — w poprzednim, nieudanym, stracił prawą dłoń. Prześladowały go głosy, o tym też słyszałem. Osobiście zetknąłem się z nim raz czy dwa razy, w latach 60-tych. Przy stoliku w restauracji podczas zjazdu w Lublinie ani słowem się nie odezwał, lecz nie wydał mi się psychicznie chory; sprawił na mnie wrażenie człowieka nieśmiałego, z kompleksami.

Później go nie widywałem. W kilku zeszytach *Twórczości* wydrukował prozę, która mnie zastanowiła. Nazwał ją „Fabuła rasa” — i pamiętam, jak odpadałem po dwóch, trzech stronicach. Budziła współczucie: pastuszek dręczony tajemnicą bytu, pytaniami najwyższymi, nie na jego siły. Pomyślałem, to jeden z tych, o których mówił Jaracz, że na takich dziesięciu ośmiu wariuje z przeciążenia mózgu. Potem zdaje się nic już nie publikował. Miał swoich krytyków. Wielbili Stachurę. Nie tylko jego zresztą. Mówię, że sporo dzisiaj jest literatury o znamionach choroby psychicznej, piszących schizofreników, a również istnieje pewien rodzaj krytyki, który jedynie w nich widzi prawdziwych twórców i nie lubi „zdrowych” pisarzy. Wiem, tak, dostateczne są powody, aby w dzisiejszym świecie być chorym. Ale na miłość boską, mówię, jak długo mam czuć się zdeptanym robakiem, obdarzonym zmysłem absurdu i rozbitą osobowością, jak długo żyć mam w świecie, który budzi odrazę i strach. Wstyd mi, odczuwam to jako osobistą hańbę, skoro — jak każdy człowiek — jestem odpowiedzialny za swoją epokę. Bałem się jasnowidzów zagłady, prekursorów niweczących umowę o życie, ludzkie postanowienie kontynuowania losów. Myślę, czas wrócić do tego układu ze światem — inaczej i na nowo, ale podjąć stare wierzenia i mity.

Franciszku Kafka, wielki męczenniku, chciałbym zapomnieć o twoich książkach i o twoim strachu, nie znać twoich snów. Gdybym raz w nie uwierzył, sto razy bym zginął. To prawda, że wyprzedziłeś horror swoją zgrozą, rozpaczą muchy schwytej w pajęczynę. W chwili ostatecznej trwogi, gdy już dopadał cię pająk, właśnie wtedy zawalił się dom. Milena i twoje siostry zginęły w obozie. Twierdzi się dziś, że przewidziałeś katastrofę. Niczego nie przewidywałeś. Słyszałeś tylko wrzaski centurionów i trąby archanielskie. Prześladował cię żydowski lęk przed ukrzyżowaniem. Byłeś chory.

(Rytm tej inwokacji zapożyczam z „Notatek malarskich” Jana Cybisa, gdzie autor zwraca się do Albrechta Dürera. Wspaniałe. Nie mogłem się oprzeć).

Wysłałem z Lanckorony taką kartkę do Joanny Guze: „... Do noszę Ci, że bardzo tu pięknie. Mieszkamy w dziwnym pensjonacie. W jadalni gipsowe popiersie Piłsudskiego. Na podwórzu samochód zbudowany z drzewa przez naszego gospodarza, pana Tadeusza. W nim żyją dwa homoseksualne koguty-olbrzymy, bez kur. W ogrodzie ultranowoczesny basen. Roje kijanek. W domu dwanaście psów, piętnaścioro dzieci i jedna staruszka z boko-

brodami. Sześć telewizorów. Śracze jak w Oborach, kuchnia dobra. Oprócz tego pianino, kamieniołomy, bilard, wypchane głuszce i czaszka łosia. Na tym kończę, dozgonnie oddany”.

Przyjechaliśmy na spóźniony obiad. Jadalnia długa, ciemna, za oknami drzewa, gęsta zieleń, z początku nic nie było widać. Tylko z ciemności za mną wynurzał się Marszałek. Biały, gipsowy, do pasa, lecz rozmiarów prawie naturalnych, mieścił się we wnęce w ścianie. Wokół niego i nad nim pamiątki, fotografie, w ramce za szkłem czyjeś ordery i krzyże, obok duże zdjęcie oficera w legionowej kurtce, wspartego na szabli, niżej podobizna Kościuszki. I znowu Marszałek. Rysunek ołówkiem, fotografia i reprodukcja portretu ze wstęgą *Virtuti Militari*. U samej góry zdjęcie wykonane na krótko przed śmiercią. Posiwały, wychudły, nad trumną zmarłej siostry. Dalej, w stronę pieca, malowanki Wojciecha Kossaka przedstawiały różne formacje Legionów, niżej kolorowa pocztówka z Kościuszką i księciem Józefem, witającymi Marszałka po śmierci u progu krypty wawelskiej. Na piecu w wazonie zasuszony bukiet, czaszka łosia (czy dzika?) z żółtymi zębami, miniaturowy poczerniały wiatrak i statuetka Marszałka. Wyprostowany, w czapce, z buławą.

Razem tworzyło to jakby ołtarz występujący z mroku nawy. Dziewczyny stawiały przed nami półmiski, stół ogromny, kryty ceratą, krzesła wysokie, z rzeźbionymi oparciami. Wnętrze przeniknięte zapachem butwiejącego drzewa i ziół, u sufitu zakurzone jastrzębie bez dziobów, z rozpostartymi skrzydłami, głuszec o wydłubanych oczach, rogi jelenie, popsuty zegar z kukułką nad czarnym kredensem. Po drugiej stronie przy oknie orzechowe pianino, na wierzchu serweta, po bokach doniczki, między nimi telewizor. Tam również stoi piękna empirowa szafa z lustrem, z którego przyjrzał mi się błądy starszy pan w okularach. Naturalnie poznałem w nim siebie. Wymieniam szczegóły uwidoczniające się stopniowo i dostrzegane nie od razu. Rozeznac się w tej jadalni potrafiłem dopiero po tygodniu. Zresztą postanowiliśmy jadać w przyległej do niej oszklonej werandzie.

Kartkę do Joanny napisałem pod koniec pobytu, gdy czułem się już dobrze. Przez pierwsze dni żyłem w strachu. Trudno mi wyjaśnić, czego się bałem — zapewne był to lęk przed miejscem, którego istoty nie mogłem pojąć. Co to za dom, skąd ten dziwny zapach? Stałem wpatrzony w budynek, który przypominał grzybowatą narośl u podnóża zalesionej góry. Liczyłem przybudówki, schodki, daszki, wieżyczki, drewniane galeryjki z balaskami. Na tarasie wśród suszącej się bielizny chodził rektor

krakowskiej szkoły teatralnej w pasiastej piżamie, z szyją owiniętą ciepłym szalem, i ustawiał sobie zachrypnięty głos: — Mi... mimiii... mamma mia... — Po czym zniknął. Obok mnie przeszedł w milczeniu półnagi mężczyzna z taczka wypełnioną kamieniami i ziemią. Z krytego parkingu wyskoczyły dwa walczące ze sobą koguty. Odszedłem nieco dalej. Minęła mnie rudowłosa dziewczynka w bikini, prowadząca na smyczy parę czarnych jamników, i zanurzyła się w zaroślach. Gdzieś w dole słychać było rozmowy, plusk wody i szczekanie. Basen... Basen wśród świerków, a wokół niego usypany wał ziemny, wysokie groble ze ścieżkami na grzbietach. Przez gałęzie zobaczyłem z góry kąpiące się dziewczyny. Znow przeszedł mężczyzna z taczka. Koguty zapięły, z leśnego wąwozu zajechał przed dom samochód z francuską rejestracją. Wydobyl się z niego kędzierzawy atleta w czapeczce, z krzyżykiem na włochatej piersi. Dźwigał osiemnastowieczną alabastrową ważę z amorem. — Cholerna ta wasza droga — powiedział do mnie — nie wie pan, czy Ala jest w kuchni? — Za parkingiem mężczyzna od taczki walił oskardem w piaskowy kamień zbrocza.

— Pensjonat istnieje pięćdziesiąt trzy lata — opowiada mi pan Tadeusz — stary dom zaczął budować mój ojciec w 1922 roku. — Ojciec pana Tadeusza był oficerem I-szej Brygady Legionów. Przyjeżdżał tu Mościcki, pułkownik Sławek i Beck. Pan Tadeusz uwija się po gospodarstwie w niebieskoszarej legionowej furazerce, ściągniętej na prawe ucho. U wylotu drogi leśnej prowadzącej do pensjonatu zauważyłem przybitą do drzewa tabliczkę z zatartymi literami: „ul. Legionistów”. Panna Ala to młodsza, dwudziestoletnia córka pana Tadeusza. Śliczna, z papierosem w ustach, pracuje w kuchni starego domu, z trzema młodziutkimi dziewczynkami do pomocy, przy nieustannie włączonym radiodbiorniku. Nowy dom znajduje się obok, trochę wyżej. My właśnie dostaliśmy pokój w nowym domu. Zaprojektowany w stylu górsko-hotelowym (drzewo, kamień, szkło, blacha falista), z szerokimi schodami dębowymi, z solarium na dachu i pustym barem na parterze. Boazerie i parkiety w pokojach. Kryte balkony. Ubikacje, elektryczne piece. W każdym pokoju radio. Kute kraty, na półpiętrach latarnie. Wszystko w pajęczynach i kurzu. W czytelni pism leżą na kupie stare materace. W ubikacji wanna pokryta rudymi plamami i nieczysty sedes. Kiedy oparłem o niego stopę, wycierając się po natrysku, sedes się wyrzucił. Podniosłem go i z powrotem umocowałem. Biegąc do pokoju wpadłem na dwa białe owczarki podhalańskie, ciągnące za sobą tęgiego mężczyznę, który zawołał:

— Niech pan stoi! — Ogoliłem się nad zatkaną umywalnią, woda nie chciała spływać, zagłębiłem palec w otworze i wydłubałem oliwkę wciśniętą w zakrętkę od pasty. Przez ten czas pod M. zapadło się łóżko. Postanowiliśmy wracać do Warszawy.

Szwed albo Holender, gdyby go tutaj przywieziono, spakowałby rzeczy po godzinie. W ciągu tej godziny zadałby następujące pytania: dlaczego w jadalni założono mauzoleum? dlaczego mięso dostarczane jest nocą? dlaczego w nowym domu nie usuwa się pajęczyn i kurzu, a w ogrodzie nie ma ani jednej całej ławki, natomiast buduje się trampolinę na basenie? w jakim celu samotny człowiek od piętnastu lat kuje skałę? po co i kto konstruował bezużyteczny samochód z drzewa? czemu owczarki podhalańskie trzymane są w zamknięciu? dlaczego dwa ogromne koguty skazuje się na życie bez kur? czy wytworny siwy pan wychodzący z basenu, w którym pływają kijanki, jest człowiekiem zrównoważonym, i ten drugi, w piżamie i wełnianym szalu, co recytuje wiersze wśród kalesonów suszących się na sznurku? I wreszcie: dlaczego ludzie o wyglądzie kulturalnych Europejczyków gnieźdzą się w skrzypiącym ze starości budynku bez wygód, a w nowym parkiety zarastają brudem?

Ponieważ na żadne z pytań Szwed (czy Holender) nie otrzymałby zrozumiałej odpowiedzi, wyjechałby przekonany, że umysłowo chorzy założyli pensjonat w lesie. My jednak, którzy mamy od dawna podkład psychiczny pod niedorzeczność, spędziliśmy tu cztery tygodnie.

Cztery tygodnie bez pisania. Tylko jedna notatka w rękopisie na odwrocie strony zdaje się świadczyć o tym, że miałem w głowie jakieś myśli. Nie pamiętam kiedy tę notatkę sporządziłem.

„Hitler — dowód na istnienie Szatana. Nie mógł być tylko paranoiikiem lub tylko drobnomieszczaninem. Nie wierzę, że kierowała nim ludzka wola i plan. Stąd pierwsza myśl: że prawa pozaziemskie nie są jednorodne ani harmonijne, że we Wszchemocy również zawarte jest zło. Druga myśl: czy i jak działa dobro. Znane są wyroki sił złowrogich, lecz o ileż trudniej wymienić przykład rządzeń dobroczynnych. Czy w ludzkich dziejach zdarzył się jeden fakt tak całkowitego uszcześliwienia narodu, jak całkowite było unieszczęśliwienie Żydów w gettach i obozach wojny. Taka myśl straszy. O co trzymam zakład, co robią anioły, by przeciwdziałać diabłom, czy istotnie ponad gwiazdami toczy się walka i skąd pewność, że naszym losem nie rządzi jedynie zło. Mam następujące pocieszenia: być może archi-

Anneherbe  
ita  
magie  
bon

Apoka?  
Zawakar?

zapisalem: „Piłsudski. Jego osobowość i znaczenie. Rola, jaką spełnił w moim życiu”.

Zeszyty najstarsze są mocno podniszczone, kartki na brzegach żółkły. W nowszych przeważają materiały robocze — pomysły fabularne, charakterystyki postaci — lub notatki do użytku praktycznego, np. stan licznika w samochodzie przy ostatniej zmianie oleju. Ogółem biorąc, cała ta pisanina ma wartość jedynie dla mnie. Przebija się w niej mój czas, ale w strzępkach, w chłampie próbek i odpadków. Kiedyś je zniszczę. Na razie dalej leżą obok mojego rękopisu, coraz gęściej jednak robię notatki w samym rękopisie, na odwrocie kartki albo w odstępach między partiami tekstu. Stają się poniekąd jego częścią, tworzą z nim całość. Jedno uważam za pewne: w tych strzępkach i w tej całości nie ma rzeczy nieprawdziwych. Chciałbym wyjaśnić, co przez to rozumiem. Są różne formy nieprawdy. Mówi się nieprawdę, żeby zohydzić innych, bądź wywyżżyć siebie. Przeinacza się fakty, by dowieść swojej racji. Istnieje również pewien rodzaj kłamstwa, często stosowany przez pamiętnikarzy. Człowiek, odtwarzając swój uczynek, opowiada o nim nie tak, jak się istotnie zachował, lecz jak powinien był się zachować. Spóźniony osąd staje się wtedy materiałem twórczym kłamstwa — kłamstwa w wyższym celu, gdyż człowiek mówiący nieprawdę o własnym postępku jest głęboko przekonany, iż wypowiada prawdę o tym, jak postępować należy. Potrafię uszanować ów wzgląd, ale — niechże i to będzie powiedziane — w moim pisaniu wystrzegam się zacnych grzechów pamiętnikarzy.

Sześć lat temu, kiedy pisałem „Pomysł”, wpadłem w trudności zaraz po pierwszym rozdziale. Nie umiałem wprowadzić drugiej męskiej postaci, bardzo ważnej dla sensu opowiadania. Miał to być przyjaciel z lat szkolnych, typ człowieka „niepozbiaranego”, trochę wariata i cygana, o sercu pełnym franciszkańskiej dobroci. Nie potrafiłem jednak uchwycić jego cech fizycznych, sposobu mówienia, gestów. Zabrakło mi stylu na tę postać i utknąłem przy czymś, co w pisaniu nazywam „martwą stroną”. Nie pracowałem już od kilku dni. Któregoś wieczoru, dość późno, złożył mi wizytę zmoknięty Edzio K. Przyszedł wprost z deszczu, nieoczekiwanie. Wśród stokrotnych przeproszeń, westchnień i sumitacji pozwolił się usadowić w fotelu. Parę godzin przesiedzieliśmy we troje nad flaszką jałowcówki. Edzio K. wrócił niedawno z Francji. Rozmawialiśmy o jego malarstwie, o wspólnych znajomych, podróżach. Mówił jakając się, z niekoordynowanymi ruchami głowy, nóg i rąk. Tematów paryskich



uniknął i odniosłem wrażenie, że wyrządzono mu jakąś krzywdę. Nie to żeby się skarżył (jest człowiekiem o rzadkiej duchowej wytworności, przy całkowitej abnegacji zewnętrznej), domyślałem się jednak, że zaszedł do nas poszukując schronienia przed złymi wspomnieniami. Przy pożegnaniu skłonił się głęboko i jak gdyby potwierdzając mój domysł wyjąkał: — By...yli państwo dla mnie dobrze. — Wtedy uprzytomniłem sobie, że mam już postać i wiem, jak się będzie nazywała: Tym Aksak.

Wspominam tę wizytę, gdyż Edzio K. wiąże mi się z przypowieścią na temat kury i ocen moralnych. Zawsze krążyło o nim wiele anegdotek. Podobno ten utalentowany malarz o historycznym rodzimym nazwisku po jakiejś bajecznej nocy przespał się na ławce w parku; zbudził go patrol milicyjny. Zażądano, by okazał dowód osobisty. — Nie mam do... owodu — wyjaśnił hr. Edzio — pies mi go zjadł. — Doprowadzony na komisariat, cały dzień musiał nosić kubły z gruzem. Idącego z wiadrem przez ulicę Wilczą w asyście milicjanta spostrzegła, nieruchomiejąc w osłupieniu, jego ciotka, Potocka czy Lubomirska. Przechodząc Edzio K. ukłonił się jej i pokazał język.

Mam tu jednak na myśli wydarzenie z kurą. Edzio K. przyjaźnił się z malarską parą, R-wiczami, którzy darzyli go czułością, utyskując niekiedy na jego dziwaczne obyczaje. „O Boże, to straszny człowiek!”, wzdychano, kiedy przychodził w czarnej marynarce włożonej na gołe ciało, lub gdy znowu pogubił dokumenty. Pewnej niedzieli u państwa R-wiczów w Kazimierzu miała być kura na obiad. Ale kurę trzeba było zarznąć i wówczas rodzinę ogarnęła panika: mordu nikt nie chciał wziąć na swoje sumienie. Widząc to dzieci państwa R-wiczów krzyknęły: — Niech przyjdzie Edzio! Edzio od razu zarżnie kurę, to przecież strasznie zły człowiek! — Tę historyjkę zapamiętałem i odtąd, ilekroć słyszę, jak mówi się o kimś, że jest złym człowiekiem, pytam, czy zarżnął kurę. Ponieważ nikt nie rozumie ku czemu zmierza ów żarcik, zapada kłopotliwa cisza. Ja także milczę, bo niechętnie wdaję się w dyskusje. A równocześnie miałbym ochotę powiedzieć: „Hamujmy się w osądzaniu ludzi za pomocą przymiotników! Tą drogą dochodzi się do zarżniętej kury. Trzeba się cofnąć przed ludzką złożonością, zredukować materiał zdań wartościujących i oceniać człowieka faktami jego życia. Nie wiem i nie chcę wiedzieć, że X jest zawistny. Obchodzi mnie jedynie, co on robi ze swoją zawiścią i czy zawiść funkcjonuje w jego postępowaniu. Mówicie, że Y jest monstrum, proszę, pokażcie mi dokumentację”.

Czasami, zastanawiając się, co to właściwie znaczy zły człowiek (i pisząc o tym), dochodziłem do wniosku, że człowiekiem złym jest ten, kto uważa za złych wszystkich ludzi i wyrządza zło niejako przewencyjnie, w przeświadczeniu, iż broni się przed domniemanym złem powszechnym. Ale uświadamiam sobie, że również w tym sensie, i w każdym innym, słowo zły z indywidualnym, rzeczywistym człowiekiem wolno połączyć dopiero po rozeznaniu się w czynach i faktach, a nie przedtem. Przedtem wszystko jest psychologicznym domysłem.

*nie u Kuczukowa  
u satyryka*

Dobrzy ludzie są zwykle Rosjanami. Rosyjska literatura zawsze była pełna ewangelicznych niań i chłopów, do dziś trwa w Polsce wyobrażenie o dobrym narodzie rosyjskim, który w swej dobroci wyłania z siebie złą władzę, by iść na katorgę. Książę Myszkina jest dobry, i Alosza Karamazow, i Płaton Karatajew, a prócz nich miliony Osipów i Matrimon. Słuchajmy, co mówią święci starcy u Dostojewskiego: „Panowie..., rozejrzyjcie się wkoło na dary boże: niebo jasne, powietrze czyste, trawka słodka, ptaszęta, przyroda piękna i bezgrzeszna, a my, tylko my jedni jesteśmy bezbożni i głupi i nie pojmujemy, że życie jest rajem”.

*tu Dosto.*

Oto słowa dobrego człowieka. Pytam tylko, dlaczego zamknął się w klasztorze, czemu nie chciał być dobrym człowiekiem wśród ludzi, w rosyjskim narodzie. Czy miłość chrześcijańska łatwiej zachować w pustelni niż na rynku? Nie ufam tym Zosimom. Wraz z Osipami, Alioszami i Myszkunami (przeczytajcie, z jaką nienawiścią oskarża książę Myszkina rzymski katolicyzm i cywilizację Zachodu) tworzą niespożyte mrowie rosyjskie, bezmierną masę, w każdej chwili gotową na śmierć w obronie swoich więzień i gułagów. Artysta i podróżnik Strumiłło — zagorzałymi myśliwymi — polował na Syberii. Wyposażony w kanadyjski sprzęt łowiecki (skafandry, harpuni, peryskopy, sztucery z lunetami) zabłądził kiedyś w tajdze. Po długiej wędrówce dobrnął do chatki w głębi lasu i z ulgą przestąpił jej próg. W chatce na piecu grzał się brodaty starsuszek, który widząc przed sobą Strumiłłę w jego nowoczesnym rynsztunku myśliwskim przeżegnał się i wymamrotał: — *Proдали Rassieju...* — Był pewnie jednym z Fiodorów czy Płatonów, lecz w owym „*proдали Rassieju*” przejawiał się odruch: podejrzewania o zdradę i spisek. Ochrona, NKWD, procesy i łagry są już gotowe w sercach dobrych rosyjskich ludzi.

Dobry... zły... Takich przymiotników w odniesieniu do człowieka język polski nie traktuje całkiem poważnie, brzmią trochę jak z bajek. W Polsce często się mówi dobry chłop czy kompan,

rzadko — dobry człowiek („charoszyj czelawiek” w rosyjskim siedzi z korzeniami). Zamiast zły lepiej powiedzieć obrzydliwy albo niebezpieczny. Zły człowiek? Zły może być mąż, teściowa lub rząd. Nie istnieje w polskim odpowiednik rosyjskiego „swotocz”, tego pomieszania człowieka z bydlęciem, błotem i psim ściervem. Pięknie w polskim języku miarkuje się słowa oceniające ludzką wartość. Przemawiamy mniej okrutnie i mniej słodko niż Rosjanie. Nie mówimy „dobry”, mówimy „porządny człowiek”.

Ależ panowie, co to, mnie jednak ciągnie właśnie do tych naiwnych określeń, coraz wyraźniej mnie one nęca i życzę wam, abyście mogli spokojnie dzielić świat na biały i czarny, zły i dobry... Odpuść od złożoności, wielorakości, niespójności, od „a może tak, a może nie”, wyrzucić z głowy ssania wszystkich pokręceń i ambiwalencji, i wiedzieć na pewno, co jest po stronie aniołów, a co po stronie diabłów. Dziecinnie i na pewno! Wyñoście się z psychoanalizami nieszczęśliwych szwarzcharakterów i z kultem wewnętrznie zdezintegrowanych osłów. Niech opowiedzą, jak żyli. A potem — piekło albo raj. Czyściec już znamy.

Przyszła do mnie wczoraj dziewczyna z siedmioma różami. Przyjechała z Gdańska. Ładna, w spodniach, rozumnie mówiąca. Przez rok podróżowała „stopem” po krajach Zachodu. Twierdzi, że mogła tam zostać. Tu praca w jej zawodzie — nauczycielskim — kłóci się z jej pojęciem uczciwości. Zmieniła jednak zamiar, postanowiła wrócić. Czerwieni się: — Po przeczytaniu pana książki. — Robi mi się nieswojo. W bibliotece polskiego klubu w Hamburgu czytała „Nierzeczywistość”. Ma bardzo niebieskie oczy i silne, małe ręce o krótko obciętych paznokciach. Potem godzinę rozmawiamy o Niemcach. Pracowała u nich. Boi się Niemców. Przestraszyli ją małostkową, tępą agresją. — Wie pan, jedni i drudzy po obu stronach tacy sami. I wie pan, tu i tam są wyjątki. — Przed wyjazdem bała się tylko Rosjan. — Ale nasze sprzątaczkę — mówi chyba o szkole czy domu studenckim — więcej bały się Niemców. To po okupacji... — I zadaje mi pytanie: czy nie sądzę, że Rosji boi się w Polsce inteligencja, a dla ludzi prostych, starszych zwłaszcza, synonimem diabła jest Niemiec. — Taki podział...

Wesoły podział. W przedpokoju wymieniam jej kilka nazwisk i adresów w Gdańsku.

W trakcie przepisywania dwóch poprzednich stron (o złych

i dobrych ludziach) przypomniało mi się, że Piłsudski nazwał raz generała Sosnkowskiego złym człowiekiem. Opowiada o tym w książce żona przedwojennego dyplomaty — nazwiska nie pamiętam, w tytule było coś o wierzbie. Na ślubie Sosnkowskich Piłsudski straszył pannę młodą prowadząc ją pod rękę do ołtarza: „Dziecko, to jest zły człowiek...”. Mimowoli uśmiechałem się nad maszyną, wyobrażając sobie, jak generał Sosnkowski zarzywałby kurę. Piłsudski powiedział to żartem, albo może półżartem. Przez lata ścisłej współpracy w Legionach i potem w magdeburskiej twierdzy musiał jednak Sosnkowskiego dobrze poznać, mając sposobność uczynić niejedną psychologiczną obserwację. Również niezbyt dodatnio przedstawia Sosnkowskiego autorka książki, od dzieciństwa zaprzyjaźniona z jego żoną: małoduszny, apodyktyczny, domowy tyran... i tak dalej. Straszny człowiek!

O tym, jakim człowiekiem był Kazimierz Sosnkowski, mówią jego żywot, świadczący o zaletach obywatelskich i godności osobistej. Mówią czyny i fakty — biografia. Zresztą i sam Piłsudski w niektórych współczesnych relacjach ukazywany jest niesympatycznie. Dość sięgnąć po świadectwa posłów sejmowych (Witosa, Liebermana) lub dyplomatów sanacyjnych (Alfred Wysocki o rozmowie w Pikiliszkach), a nawet dowódców. Rydz-Śmigły, zelżony podczas gier wojennych, wyznawał przyjacielom znacznie więcej niż rozgoryczenie: upiorny, niepoczytalny, „zrujnowany starzec”... Marszałek Sejmu Ignacy Daszyński w rok czy dwa po zamachu majowym wezwał do siebie Ciołkosza: „Musimy się pogodzić z Piłsudskim, bo inaczej on złamie nas i Polskę”. Wkrótce później, nie będąc jeszcze starcem, Piłsudski zwymyślał Daszyńskiego publicznie od durniów. Na żonę swego przyjaciela, dr Woyczyńską, rzucił podejrzenie o szpiegostwo. Założono mu w GISZ-u aparaturę klimatyzacyjną, co na skutek wadliwej instalacji pozwalało słuchać prywatnych — a nie zawsze pochlebnych dla rządu — rozmów u Woyczyńskich, mieszkających na niższym piętrze. Doktorową aresztowano. Wspomina o kilku takich faktach Wacław Jędrzejewicz w swoim kalendarium.

Spoczął na Wawelu w krypcie Srebrnych Dzwonów. Nad metalową trumną skrzyżowane ze sobą szabla i karabin, kuta krata u wejścia ma w odrzwiach orła w koronie i litewską Pogon. Na ścianie krypty widnieje tablica ze związłym życiorysem. Dokładnie zapamiętałem słowa o roku 1920: „Jako Wódz Naczelny orężem żołnierza wykreślił granice kraju”. W rogach krypty stoją, także wykute w metalu, emblematy Legionów, POW i pułków kawalerii. Ta krypta wawelska — takiemu wra-

zeniu przez chwilę uległem — ma podobieństwo do mauzoleum w jadalni pana Tadeusza; zamiast gipsowego popiersia wśród odznak i pamiątek mieści się trumna z ciałem. Trumna pokryta kwiatami oraz mnóstwem czerwonych tarcz z nazwami miast i szkół; z wieńców zwieszają się biało-amarantowe szarfy.

Kryptę zwiedziłem w połowie sierpnia; któreś niedzieli przyjechaliśmy z Lanckorony. Na dziedzińcu wawelskim i w katedrze tłum ludzi. Zawiozłem tu M. nieco wbrew jej woli, płoszyła się w obawie o serce; do kasy stał poczwórny ogon, w końcu decyduję się wejść bez biletu i młody kustosz godzi się na to, prosząc tylko, żebym wrzucił do puszek datek na renowację katedry. Kiedy wstępowaliśmy na górę po schodach, dosłyszałem z daleka, jak przewodnik wycieczki oglądającej ze skarpy panoramę Wisły objaśnia: — Wskutek zanieczyszczenia i zatrucia w rzece nie ma życia biologicznego... — Po czym to samo powiedział po rosyjsku. Wśród publiczności dużo Rosjan, nie tylko w wycieczkach, z tyłu często słyszę „pażatujsta” albo „dawierno” — oglądam się, widzę młodą osobę w sportowej koszulce i farmerskich spodniach. Od czasu do czasu słychać także język francuski. Tego lata sporo turystów z Włoch i Francji zwiedza Małopolskę, ziemię rodzinną Jana Pawła II. Peño ich zwłaszcza na rynku w Wadowicach.

Kiedy będąc parę lat temu w Krakowie wybrałem się na Wawel, krypta Srebrnych Dzwonów nie była otwarta dla wizytujących. Sądziłem, że zamknięta jest nadal. Zamierzałem obejrzeć groby królewskie, po czym zejść do krypty z sarkofagami dwóch wieszczów. Jadąc przyrzekłem sobie wstąpić do kwiatarni, kupić jedną czerwoną różę i położyć ją na sarkofagu Słowackiego. Przyjechaliśmy późno, w kwiatarni wisiała kartka zawiadamiająca o przerwie wakacyjnej, innej nie było czasu szukać. Schodząc do krypt myślałem o tej róży. Czułem przykrość, jak gdybym sprzeniewierzył się czyjejs pamięci. Przez cały czas nękała mnie ta czerwona róża, byłem zły na siebie i M., i tak doszliśmy do krypty Srebrnych Dzwonów. Dopiero tam przestałem myśleć o róży dla Słowackiego.

Myślałem... o czym? O sobie, ma się rozumieć, o swojej młodości. Człowiek spoczywający w metalowej trumnie zasłanej kwiatami silnie na niej zaciążył. Wypełnił ją — od początku i bodaj do końca. Pamiętam rodzinną opowieść, która gniewała mnie w dzieciństwie. Byłem oburzony na babkę za to, że nie pozwoliła u siebie przenocować siostrzeńcowi, gdy pojawił się w jej mieszkaniu po wkroczeniu Niemców do Kongresówki.

Nosił mundur Legionów Piłsudskiego, babka wystraszyła się opinii sąsiadów — przeważały wówczas antyniemieckie nastroje. Mieczysław Galewski był bratem moich ciotek, Gabrysi i Kazi, to one przewoziły pepesowców za kordon graniczny. Wyobrażałem sobie, jak odprawiony przez babkę młody oficer I-szej Brygady z orzełkiem na maciejówce stoi przed domem rozglądając się za innym noclegiem. Po dwudziestu pięciu latach w Warszawie transportowałem na cmentarz jego zwłoki. Był pracownikiem Arsenалу, został rozstrzelany przez Niemców na dziedzińcu uniwersyteckim za posiadanie broni. Odkryto rewolwer, który przechowywała we wspólnym sejfie jego siostra Kazia; mały pistolecik miał pomścić niewierność jej męża (ciotka wewnętrznie i zewnętrznie była w typie kobiet strindbergowskich). W linii rodzinnej matki również miałem wujków piłsudczyków. Jednym z nich był Jan Rajgrodzki, ożeniony z siostrą matki, Celiną. Zginął w Powstaniu Warszawskim. Zapamiętałem numer jego legitymacji POW — numer 360. Lubiliśmy go bardzo obaj z Marianem. Znakomicie naśladując wileński akcent Marszałka cytował jego słynne zwroty: „A dla Polski gówna wozic nie łaska?”. Brzmiało to jak cytat z „Wesela”.

*af Boy  
o sprawie  
słowiańskich* Piłsudski dla mnie we wczesnych gimnazjalnych latach był sprawcą cudu nad Wisłą, uosobieniem nie w pełni potwierdzonych wyobrażeń o ojcu oraz kimś na podobieństwo św. Mikołaja. Pisałem o tym w „Małej księdze”, o sprawach zaś późniejszych chciałem napisać w „Zielonym cieniu”. W ciągu dwudziestu lat, które niemal że pokryły się z Dwudziestowieciem międzywojennym, widziałem Piłsudskiego tak, jak go przedstawiał urodzony o dwa lata wcześniej ode mnie autor niezwykle ciekawych wspomnień „Kuriera z Warszawy”. Czytam akurat tę książkę emisariusza Komendy Głównej AK, Zdzisława Jeziorańskiego, który wspomina, że widywał mnie podczas okupacji w stołówce dla literatów na Foksal (twarz autora na zdjęciu mnie także jest znajoma). Sylwetkę Marszałka opisuje na str. 16-tej:

„Wrażenie, gdy zobaczyłem po raz pierwszy w odległości kilku kroków Piłsudskiego i usłyszałem jego głos, było ogromne. Stałem w pobliżu grupy ludzi, wśród których znajdowali się ministrowie, generalicja, marszałkowie Sejmu i Senatu. Przed nami defilada świetnie prezentujących się oddziałów kawalerii, piechoty, artylerii. Tego wszystkiego nie widziałem. Dla mnie istniała w tym momencie tylko ta jedna, raczej drobna postać stojąca na wysuniętym do przodu podwyższeniu. Nie odrywałem od Piłsudskiego wzroku ani na chwilę, a gdy wmieszał się po rewii w tłum dygnitarzy, starałem się uchwycić każde jego słowo.

I to urzeczenie powtarzało się później, ilekroć widziałem go z bliska. Skąd się to wzięło? Czy sprawiła to legenda otaczająca Marszałka, który bardzo rzadko pokazywał się ludziom publicznie? Czy może niezwykłość stroju — strzelecki, szaroniebieski mundur i maciejówka? Zdjęcia i podobizny Piłsudskiego widziałem się na każdym kroku. Patrzył z nich człowiek o marsowym obliczu i ściągniętych brwiach. A tu z odległości kilku kroków widziałem Piłsudskiego, który miał jasnoniebieskie, pogodnie patrzące oczy, często się uśmiechał, mówił zabawnym wileńskim akcentem i przejawiał w swoim sposobie bycia jakąś dziwną miękkość, właściwą ludziom z naszych dalekich kresów. Miękkość być może pozorną, lecz zniewalającą”.

„Kurier z Warszawy” liczył wówczas 17 lub 18 lat. Ja miałem prawie tyle, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Piłsudskiego, także podczas defilady na Placu Saskim. Pewnie to była ta sama listopadowa rewia w 1932 roku.

Wracając z Krakowa do Lanckorony wymieniamy z M. wrażenia. Ja wciąż pozostaję pod jednym. W krypcie zdałem sobie sprawę z tego, że Piłsudski wszedł w poczet duchów narodowych, że stanął w orszaku postaci tworzących polską samoświadomość historyczną i jest złączony — na zawsze — z polskimi snami o wielkości. Będzie jednym z tych kilkunastu obrazów, jakimi Polacy myślą o sobie i Polsce, i będzie rzutował w przyszłość. Będzie duchem wywoływanym przez pokolenia. On pierwszy, od czasu Kościuszki, ks. Józefa, Mickiewicza, i nikt prócz niego. Nawet w ikonografii nikt od ich czasów nie został tak sakralnie utrwalony. Wsparty oburącz na szabli, w szaroniebieskim mundurze ze wstęgą Virtuti, przejdzie do świętej wieczności, podobnie jak Kościuszko w sukmanie. Ten obraz będzie częścią zbiorowej pamięci i kultu, a niekiedy pokrzepieniem dla serc. Literatura, myśl, wyobraźnia już się od niego nie uwolnią.

Lecz co jest zastanawiające: że to się stało w ostatnich latach. Wchodząc do krypty Srebrnych Dzwonów czułem jakby zamknęło się koło: po upływie pół wieku wróciłem na dawne miejsce, od nowa urzeczony czarem, który mi się rozwiął. W krypcie większość zwiedzających to byli ludzie młodszy ode mnie, dla nich trumna Piłsudskiego stanowiła cel patriotycznej pielgrzymki, tak jak sarkofag Batorego lub królowej Jadwigi. Natomiast ja tego człowieka widywałem, w samochodzie i na trybunie podczas defilady, pamiętam maciejówkę z żółtym daszkiem i białe rękawiczki, w trumnie musiały jeszcze przetrwać resztki tej samej szaroniebieskiej kurtki. To dziwne uczucie stać teraz przy trumnie, móc jej dotknąć ręką. A najdziwniejsze jest, że legendę,

która oczarowała moją młodość i z którą później ciężko było się rozstać, po pół wieku nietkniętą przejął naród. Młodzi ludzie zwiedzający kryptę widzą dziś w Piłsudskim symbol Rzeczypospolitej Niepodległej, zdobywcę Kijowa i Wilna, wodza narodu i armii. Tym samym był dla mnie w szkolnych latach.

Z krypty Srebrnych Dzwonów, wracając wzdłuż bocznej nawy katedralnej, zszedłem wąskimi schodami w dół do sarkofagów Mickiewicza i Słowackiego. M. już zmęczoną i mizerną zastałem przy grobowcu Władysława Warneńczyka. Juliusz naprzeciw Adama, spoczywający tak blisko siebie, jak gdyby pojednani i zwróceni ku sobie twarzami, to zawsze mnie poruszało. Trafiłem na przerwę między delegacją a wycieczką, w krypcie znalazłem się sam. U stóp Słowackiego leżała jedna czerwona róża. Świeża, jeszcze wilgotna — musiał ją ktoś przed chwilą położyć na czarnej marmurowej płycie.

Pisałem gdzieś wcześniej, że gdy na trzecim roku studiów przystąpiłem do ruchu socjalistycznego, Piłsudski od dwóch lat nie żył. Jeszcze przed jego śmiercią, po maturze, opuściłem „Filarcję” i Legion Młodych, do którego należałem przez kilka miesięcy. Szeregi młodych piłsudczyków przeżywały rozłam: jedna część poszła na lewo, w stronę PPS, druga zaczęła sterować ku totalizmowi. W tym czasie założono obóz w Berezie Kartuskiej. Piłsudski przyjął w Belwederze Göringa, a potem Goebbelsa. Na zebraniach w warszawskim okręgu „Legionu” przemówienia często nie różniły się treścią od haseł oenerowskiej „Falangi”. Kiedy pewien mówca, występując przeciw antysemickim nastrojom w organizacji, powiedział: „Moja matka jest z pochodzenia Żydówką” — rozległ się chóralny szyderszy śmiech. Zadałem sobie pytanie: co ja tutaj robię? — i nazajutrz zwróciłem legitymację. Później umarł Piłsudski. Z okna na rogu Ordynackiej i Nowego Świata, gdzie mieszkali Zenowiczowie, oglądałem pogrzeb. Trumnę okrytą biało-czerwonym sztandarem wieziono na lawecie wśród tłumów znieruchomiłych po obu stronach jezdni w ciszy tak zupełnej, że słyhać było tylko brzęk ostróg i turkot kół. Żegnałem tę trumnę rozumiejąc, że odchodzi z nią rzecz większa od naszej młodości. Zmarły władca zabierał do grobu swoje *sacrum*, na lawecie odjeżdżała królewska wielkość niespełnionych planów. Co zostawił po sobie? Przeczynałem, że wejdziemy w pustkę *interregnum*.

Pierwszej zimy wojennej, w marcu 1940, gdy w mieszkaniu na Asnyka odwiedził nas Jan Rajgrodzki, doszło do sprzeczki między nim a ojcem. Ojciec wyraził się lekceważąco o Piłsud-



skim, na co dawny peowiak wyszedł trzasnąwszy drzwiami; za nim wybiegła jego córka Danusia, nasza siedemnastoletnia kuzynka. Od akademii szkolnej w dniu św. Józefa, kiedy to mój ojciec, wzburzony zlekceważeniem osoby Marszałka. trzasnął drzwiami, minęło trzynaście lat. Było mi przykro, wyrzucałem ojcu, że niepotrzebnie użył ostrego wyrażenia, zarazem jednak nie mogłem całkowicie odmówić mu racji. Cztery ostatnie lata, od śmierci Piłsudskiego do wybuchu wojny, a potem klęska wrześniowa, ukazały całą epokę rządów sanacyjnych jak gdyby gołą i wydętą. Całą, począwszy od zamachu majowego. W ogłuszeniu po ciosie pytano, kto zaprowadził Polskę nad przepaść. I nie tylko w naszym domu takie pytania sobie zadawano. W dniu kapitulacji Warszawy, kiedy mijałem róg Marszałkowskiej i Śniadeckich, z bramy zawołał do mnie jakiś mężczyzna o wyglądzie inteligenta: „Widzicie, jak się skończyły rządy panów pułkowników?!”. Groził pięścią, oczy miał wytrzeszczone z nienawiści.

W moim przypadku (wspominałem o tym) kryzys nadszedł wcześniej. Byłem studentem, chodziłem na wykłady prawa. Dla mnie było jasne, że kraj osuwa się w umysłową i społeczną ciemność. Legenda zmętniała. Codziennie słyszałem wrzaski pałkarzy na dziedzińcu uniwersyteckim i co tydzień w gazetach czytałem wiadomości o wizytach naszych rządowych dostojników w Berlinie. Jedno łączyło się z drugim. Rósł upiór, który napełniał przerażeniem. Niczego w życiu nie bałem się tak, jak widma głupiej i ciemnej Polski. Szło z dwóch stron. Wiedziałem, czym jest hitleryzm, i równie dobrze wiedziałem, że „Falanga” czy inne odpryski tego ruchu są polską odmianą hitleryzmu. Po roku 1945 i 56 dość często o tych grupach mówiono „agenci”. Nie wiem, kto był lub jest agentem, nigdy się w takich sprawach nie orientowałem i nie przepadam za ludźmi, którzy się na nich znają. W mojej klasie gimnazjalnej u Reja kilku uczniów należało do ONR. Byli wśród nich poczciwi chłopcy; kierował nimi jeden z klasowych prymusów, inteligentny i nienawidzący. Ani on, ani oni z pewnością nie byli agentami. Ale jestem pewien, że gdyby im kazał, spaliliby bez wahania książki Tuwima i Boya. Później na uniwersytecie zetknąłem się z ONR-em w akcji. Widok głupoty pomieszanej z furją, ryk bojówek demolujących seminaria, stada byczków z laskami uganiające się po dziedzińcu za studentem o żydowskim wyglądzie — to było ohydne. Jednemu ze swych tygodników dał nazwę *Pod pręgierz*. W owym czasie złożył oficjalną wizytę w Warszawie szef hitlerowskiej policji (nazywał się Dalüge) oraz minister sprawiedliwości Trze-

ciej Rzeszy — był nim Frank. Gdyby chodziło tylko o wizyty Becka w Berchtesgaden, o politykę zagraniczną... Politykę zagraniczną można tłumaczyć względami taktycznymi, racją stanu itp. Było stokroć gorzej. W przyjaźń z Hitlerem zaczęła wierzyć znaczna część inteligencji. Imponowała rosnąca potęga Niemiec, młodzi działacze sanacyjni i narodowo-radykalni, zapraszani na odczyty do Berlina, przywozili stamtąd wzory ideologiczne. Na parę lat przed wojną polskie stowarzyszenia prawników i lekarzy wprowadziły do statutów paragraf aryjski. To samo nastąpiło w kołach studenckich na wyższych uczelniach; nie we wszystkich — koło polonistów i koło historyków sztuki UW, do którego należała M., nie uchwały paragrafu. Ale ogólny kierunek był wyraźny. Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego upoważniło rektorów do zarządzeń o getcie ławkowym. Stemplowano indeksy studenckie: „miejsca parzyste” albo „nieparzyste”. Miejsca nieparzyste stanowiło kilka osobnych ławek w głębi audytorium. Pierwszy zarządził getto ławkowe ksiądz rektor Witwicki na Uniwersytecie Batorego w Wilnie.

Przystawiono mi stempel z nadrukiem „miejsca parzyste” — kryterium było wyznaniowe — ale przestałem chodzić na wykłady. Czuję przygnębienie i wstręt. Nie dlatego jedynie, że tak się działo w moim kraju, lecz przede wszystkim na myśl, że naród, w którym żyłem, jedno z najinteligentniejszych społeczeństw na świecie, nie potrafi, jak tyle już razy w przeszłości, odróżnić prawdy od słów; najczęściej własnej prawdy od swoich własnych słów.

Trzymałem jeszcze w szufladzie plakietkę z profilem Komentanta, przypominałem sobie fragmenty jego przemówień na Zjazdach Legionistów. Nazwał kiedyś Legiony „*cendrillonem*”, kopciuszkami. To przecież było demokratyczne, pepesowskie wojsko, dowodzone przez bojowców spod Bezdán i więźniów Cytadeli, tych samych, co przewozili socjalistyczną bibułę do Wilna i Białegostoku, a także przez malarzy i poetów z krakowskiej bohemy i medyków po studiach na Sorbonie; wojsko, w którym nie liczyło się pochodzenie społeczne czy wyznanie, w którym oficer niewiele się różnił mundurem od żołnierza i gdzie na biwakach dyskutowano o literaturze i reformie rolnej. To wojsko, któremu sprzyjali Żeromski, Tetmajer, Wyspiański, szare wojsko, za którym nie stał naród, przebijające sobie drogę do Polski samotnie, na pytanie Słowackiego: „A jaka?” odpowiedziałyby: „niepodległa i demokratyczna, robotnicza i chłopska”. Tak sądziłem. Teraz, patrząc na profil w maciejówce i pytając, „co On

zostawił po sobie”, mogłem wyliczyć na czterech palcach: wstrzymanie reformy rolnej, stagnacja gospodarcza, odepchnięcie mniejszości narodowych, niszczenie resztek demokracji. Z wielkich problemów kraju i państwa nie rozwiązany ani jeden. Można się było pocieszać tylko Gdynią. Polityka zagraniczna? Mielismy dwóch spokojnych sąsiadów, od których nie groziło nam niebezpieczeństwo, Czechosłowaków i Litwinów. W prasie rządowej nie ustawały nagonki właśnie na Czechosłowację i Litwę. Więc — nic? Brześć, Bereza, pakt z Trzecią Rzeszą i „sławojki”? Po wojnie krążył żart, iż jedynym rządowym politykiem z prawdziwego zdarzenia był premier Sławoj-Składkowski; miał poczucie rzeczywistości: kazał malować płoty i stawiać klozety na podwórkach, wiedząc, że w Polsce nic lepszego zrobić się nie da.

Kiedy na trzy lata przed wojną bawił w Warszawie przyszły generalny gubernator Frank, zaproszono go do wygłoszenia odczytu w uniwersyteckim Auditorium Maximum. Tematem miało być prawo w Trzeciej Rzeszy. Po uroczystym zagajeniu z publiczności wysunęło się troje młodych ludzi — dwie dziewczyny i student z wiązańką róż. Podeszli do prelegenta i wręczyli mu róże, prosząc, aby je złożył na grobach bojowników o wolność zamordowanych w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Wybuchło zamieszanie, Franka wyprowadzono z sali i do dziś nie wiem, czy odczyt się odbył. Studentem był Leszek Raabe, przewodniczący akademickiego Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej (ZNMS). Znałem go z widzenia: szczupły i lekko pochylony, o pięknej twarzy z gęstymi brwiami, przypominał mi młodzieńcze fotografie Piłsudskiego. Wkrótce później bojówka „Falangi” potłukła go kastetami przed budynkiem audytoriów. Mieszają mi się daty, pamiętam jednak, że w tym samym roku — późną wiosną czy wczesną jesienią — pewnego dnia całe śródmieście zaroilo się od lnianych koszul „Falangi”. Panował nastroj jak przed puczem, na wieczornym deptaku od rogu Nowego Świata i Chmielnej do Alei Jerozolimskich przewalały się watahy oenerowców z mieczykami Chrobrego, w beretach i skórzanych pasach. Po kilku dniach gruchnęły wiadomości. Wyznaczono tę noc na rozprawę z demokratyczną opozycją, listy proskrypcyjne były już gotowe, aresztowań mieli dokonywać policjanci wraz z członkami „Falangi” i przedstawicielami Komisariatu Rządu. Wymieniano nazwiska proskrybowanych — Barlickiego, gen. Roji, Dubois, mówiło się też o Słonimskim i Boyu. I o tym, że akcji w ostatnim momencie sprzeciwił się Zamek; szef policji państwowej gen. Kordian-Zamorski, dawny legionista i malarz, podobno ostrzegł Prezydenta. Tę noc, po której przywódca „Fa-

langi” miał otrzymać tekę wicepremiera, nazwano później Nocą Długich Noży.

Lokal ZNMS mieścił się w dużej czynszowej kamienicy w Alejach Jerozolimskich tuż przy skrzyżowaniu z Marszałkowską. Któregoś popołudnia wszedłem na górę po obdrapanych schodach. Otworzył mi drzwi barczysty, spokojnie uśmiechający się chłopak o znajomej twarzy: Zdzisław Siudyła, mój niedawny kolega z *Kuźni Młodych*.

Ostatnie dni września słoneczne i chłodne. Zagadka, której nigdy nie rozwiążę: sprawa mojej umowy z zespołem „X”. W lipcu otrzymałem od kierownictwa zespołu serdeczne zapewnienie, że nie ma żadnych zastrzeżeń ani przeszkód, umowa jest zatwierdzona, a wpłaty nie dokonano jedynie z tej przyczyny, że sekretarka była na urlopie. Mimo to zaliczka do dzisiaj nie wpłynęła. Mnie dopominać się niemiło, wygląda zaś na to, że im niemiło powiedzieć mi prawdę. Domaradzki umilkł, nie telefonuje.

Coraz więcej takich martwych punktów. Podobnie z moim wyjazdem do Berlina: nie ma żadnych przeszkód, właściwie mógłbym się pakować, brak tylko jednego papierka. Jest pewien kunszt w technice działania urzędów.

No więc dalej pisanie, książki, kino... Widziałem film Agnieszki Holland „Aktorzy prowincjonalni” i „Panny z Wilka” Wajdy. Sokorski pisze w *Życiu Literackim*, że polska kinematografia wyprzedziła polską literaturę i „nie kwasi się między sobą, jak pewne grono pisarzy w Oborach pod Warszawą”. O kimże to? Nie tak dawno przysiadł się do mnie w Klubie na Krakowskim, gdzie także kwasi się grono literatów, i tykając mnie po imieniu — a nigdy nie wypłem z nim bruderszaftu — oświadczył, że wbrew niektórym rachubom czarno widzi sytuację i przestał być optymistą. Zapytałem, czy to oznacza, że nie wierzy już w przodującą rolę Związku Radzieckiego. Jednak się roześmiał.

Czytam Mariana dwa ostatnie tomy „Końca świata szwaleców”. I powtórnie eseje Achmatowej o Puszkynie. Znowu olśnił mnie cytat: „oszczędzony i zakuty w łastkę”. Co to jest talent? Talent to umieć napisać takie zdanie. Zawsze mnie śmieszyły zrządzenia Irzykowskiego na „talentyzm”.

Wczoraj spotkałem na Puławskiej znajomego krytyka z teczką. Pokazał, co ma w teczce: „Księgi narodu i pielgrzymstwa” i kishkę pasztetową. Wieczorem przy herbacie wesoła rozmowa z M. Kiedy rozpytywała mnie żartem o dziewczynę z siedmioma ró-

zami, odpowiedziałem: — Człowiek w moim wieku chyli się ku monogamii.

Skończyłem czytać *Kuriera z Warszawy*. Relacja Jeziorańskiego o Powstaniu Warszawskim, gdy stykał się z ludźmi, którzy podjęli decyzję zbrojnego wystąpienia, nasuwa myśl, że ani jeden z przywódców nie był człowiekiem na miarę takiej decyzji. By podjąć ją z pełną odpowiedzialnością albo się przed nią cofnąć, na to potrzeba było zasięgu widzenia, odwagi i charakteru Piłsudskiego. Żaden z dowódców wojskowych i polityków otaczających Komendanta Głównego AK nie miał tego formatu. Decyzja — raz już uprzednio wstrzymana — zapadła w rozterce i zamieszaniu; szaleł przeważał błędny meldunek o ruchach wojsk pancernych pod Warszawą. Epizod w przededniu wybuchu, kiedy łączniczka akowska, prowadząca kuriera do zakonspirowanego lokalu Komendy Głównej, mówi: „co oni chcą zrobić, to szaleństwo!” i błaga, żeby odwołał dowództwo od rozkazu powstania, to w książce Jeziorańskiego jedna z najbardziej przejmujących scen.

Był u mnie student polonistyki z Wrocławia. Twierdził, że z lektur obowiązkowych literatury polskiej w szkołach średnich usunięto „*Dziady*” i „*Pana Tadeusza*”, zostawiając „*Ballady i romanse*”. Wiem, że były takie projekty, ale sądziłem, że podobnego wstydu nikt na siebie nie weźmie.

Sobota. Z M. w nocy na Pogotowie. Niepokoje serca.

Przeglądałam ostatnie kartki i nagle myślę: te lata przed wybuchem wojny były czyste. Jak to? Tak, były czyste. Podobnie bywają czyste kolory w malarstwie. Widziałem wtedy jaskrawo rozgraniczone czerń i biel, czerwień i brąz, światło odcinało się od ciemności. Wszystko o wyraźnych konturach, ostro narysowane, żadnych odcieni pośrednich. Jedynie tło było szare. I w tym szarym tle czułem groźbę, prawdziwe źródło nieszczęść: obojętną większość. Błogosławione czyste lata, kiedy prawie z lewym nie było jeszcze pomieszane i gdy znało się tylko połowę zła, jednego diabła: faszyzm. Żyłem w jasnych przeświadczeniach, nie miał do mnie dostępu stan przenikania się wszystkich za i przeciw, kiedy nie jest się pewnym żadnej racji, sensu, wartości, niczego — stan, który nazywam „względnią”. Istnieje typ człowieka (zwłaszcza intelektualisty), który nieźle prosperuje w tym stanie; względnią może być domem wypoczynkowym świadomości, schronieniem przed wyborem. U mnie inaczej: tylko od czasu do czasu względnią napada mnie atakami i zawsze w parze z depresyjną ocmą. To stare przyjaciółki.

Z tych moich dwóch lat w ZNMS, podobnie jak z okresu *Kuźni Młodych*, zostały mi luźne obrazy, sceny i kilka sylwetek. Stanowiliśmy garstkę zwalczającą faszyzm na wyższych uczelniach. Lokal składał się z trzech pokoików. Dwa stoły, parę rzędów krzeseł i szafka z książkami. Ani jednego portretu na ścianie. Marksa tu czytano, ale nie wisiła jego podobizna. Żadnych obrządków prócz odśpiewania „Międzynarodówki” lub „Czerwonego Sztandaru” po zamknięciu dyskusji. Co tydzień zbieraliśmy się, by wysłuchać referatu. Zapraszano uczonych, polityków, działaczy. Spośród mówców pamiętam Adama Ciołkosza, Juliana Hochfelda, gen. Bolesława Roję, profesora Gumplowicza, Wincentego Rzymowskiego, posłankę na sejm Fleszarową. Rzymowski mówił o „Rodzinie Thibault” Martin du Gard. Generał Roja, dawniej dowódca pułku Legionów, w owym czasie był działaczem ruchu ludowego. Opowiadał o strajku chłopskim. Gdy po zebraniu śpiewaliśmy z podniesionymi pięściami: „Nasz sztandar płynie ponad trony”, unióś rękę, lecz pięści nie zacisnęła. Podobał mi się ten kościsty, chudy generał o twarzy wójta z siwym wąsikiem.

Dzisiaj jakże to wszystko wydaje się pocziwie szlachetne. Czegośmy pragnęli? Polski demokratycznej, wyzwolenia proletariatu, sprawiedliwości społecznej. Wierzyliśmy, że taką Polskę wywalczy solidarny front lewicy — socjaliści razem z komunistami, ruchem chłopskim i byłymi piłsudczykami. Nadal jeszcze przeżywałem mój gasnący mit Komendanta. Kiedy posłanka z piłsudczykowskiej lewicy, wdowa po majorze I-szej Brygady Satyr-Fleszarze, użyła w referacie zwrotu „wielkość Józefa Piłsudskiego”, pierwszy poprosiłem o głos pytając, w czym była ta wielkość i co z niej pozostało. Pytania nie postawiłem napastliwie ani bombastycznie — chciałem się dowiedzieć, co teraz myśli o Piłsudskim żona jego oficera, budząca zaufanie starsza pani, która znała Marszałka osobiście. Chciałem usłyszeć jej odpowiedź. Nie przypominam sobie, co odpowiedziała. Pamiętam tylko, jak się raptownie zaczerwieniła, zrobiłem jej przykrość.

Wybrano mnie na kierownika sekcji uniwersyteckiej, wkrótce potem wszedłem do zarządu organizacji. Uczestniczyłem w różnych akcjach. Rozdawaliśmy ulotki przed bramą uniwersytetu, na wykładach staliśmy pod ścianą protestując przeciw gettu ławkowemu, tworzyliśmy straż porządkową w czasie pochodów i wieców, kolportowaliśmy wieczorami pisma antyfaszystowskie na ulicach śródmieścia. Zawsze w mniejszości, za każdym razem napadani przez bojówki. Bywało, że z wieczornego kolportażu ten i ów wracał pokrwawiony. Nosiłem przy sobie rewolwer-

Dziwne, skąd tyle sympatii we mnie do tych jedynoożeńców i matematyków z wózkami.

— Puszczono wiadomość, że z jedenastu głodujących w kościele św. Krzyża wytrzymały już tylko trzy osoby. W rzeczywistości jest inaczej: do głodówki przyłączyli się nowi uczestnicy, od wczoraj głoduje piętnaście osób. Rozpowiadali fałszywą pogłoskę jacyś radiowi poeci na poranku literackim w ZAIKS-ie. W ten sposób ludzie sami się zdradzają. Powiedz, jakie masz nowiny, a ja ci powiem, kim jesteś. Mówią: już tylko troje! Ale jest wiadomość, której nie powiedzą: że źle życzą tym głodującym. Gdyby trzeba było, mógłbym zaświadczyć przed sądem, że nieczyste sumienie nie wyraża się rozbieganiem oczu, lecz nienawiścią do ludzi o czystym sumieniu.

Dziś popołudniu spotkanie z Jackiem Bocheńskim. Przedtem na pocztę i do krawca. Pomocnik Jakubowskiego uszyje mi spodnie.

W sobotę zaszliśmy do Łazienek przez bramę od Agrykoli. Wieczorem w domu wziąłem z półki dawno odłożony maszynopis. Chciałem sobie przypomnieć początek.

„— A więc mamy Czwartego, mój kochany, rzecz już się dokonała i to oni dopiero uczynili ją finalną. Co prawda w swoim czasie pękali ze śmiechu w Zakopanem, kiedy im przesłał wizerunek Matki Boskiej dla Strzelców, ale teraz się nie śmieją, potrzebny im jest czwarty wieszcz. Nie paryski, nie emigracyjny, tylko spod zaboru, krakowski. A propos: Rachel żyje. Co dzień w czerwonym szalu idzie do Maurizia na Rynku pić kawę. Podobno Litwin w szarej kurtce, nazywany przez ciebie Komentantem, dziesięć lat po premierze arcysztycydła miał do niej zainteresowanie, może nawet był flirt. Mówię o tym, bo przeczytałem twój artykuł w *Zewie*. Owszem, nie bez uwagi, a nawet z pewną irytacją. Pojętne! pojętne! Duchy, Skałki, kościotrupy królewskie, moc i czyn... Pan mnie zdumiewasz. W tych swoich 'Michalikach' i 'Hawelkach' krakowiaczki byli normalniejsi, przynajmniej umieli się śmiać! Pasjami lubili kurwy. Staś W., zanim został Czwartym, przejął w Paryżu tahitański syfilis od modelki Gauguina, a dopiero później napisał swoje arcysztycydło. Widzisz pan, jednakowoż poza lokalną dramą narodową z Widmami i Konradami były u nich wszystkich całkiem-całkiem jęwopejskie styki. Od pana Adama do Stasia każdy coś brał z uniwersalnego skarbcza, a niektórzy kradli. W te słowa przemawiam do ciebie, ponieważ nie jesteś osieł. Pomijając zaszczyt, jaki powinienes pan odczuwać z tegoż powodu, albowiem mówi

do ciebie ktoś z o tyle starszym drzewem genealogicznym nad głową...

Feliks zabeczał koźlim śmiechem, odsłaniając końskie, żółtawe zęby. Mimo upału miał na głowie czarny, wielokrotnie odświeżany *edenheat*, a pod pachą przybrudzone łośiowe rękawiczki”.

Tak się zaczynało moje opowiadanie „Zielony cień”. Lubiłem ten początek. I dalej jeszcze:

„— W niedzielę na wyścigach byłeś wobec mnie nielojalny. Nie po to cię zaprosiłem, abys za moimi plecami obstawiał 'Faustynę'. Typowałem 'Lira' i dałem ci słowo honoru, że wygra. Fakt, iż 'Lir' okulał przed metą, był tragicznym przypadkiem losowym. Lecz cóż ja widzę? Zamiast uczestniczyć ze mną w tej tragedii, ty nagle rzucasz się na bandę rycząc: Faustyna! Faustyna! i przyczyniając się do triumfu tej szkapy. Niesmaczne i oburzające. Dlaczego zataił pan przede mną, że wykupiłeś bilet na 'Faustynę'? Ja za takie rzeczy biję w mordę.

Siedzieli na ocienionej ławce niedaleko Agrykoli. Koło południa zwykle powracał z ćwiczeń 1 Pułk Szwoleżerów, poprzez sztachety i gałęzie migały proporczyki schodzące spadzistą aleją w dół. Chrapanie koni i dzwoniący brzęk oddalały się po chwili i cichły, jakby zanurzając się w rzece.

— Oni zrozumieli — mówił Feliks — że stary Żeremiasz miał rację, kiedy ostrzegał, że Czarus Baryka poprowadzi robotniczy tłum na Belweder. Dlatego pozakładali te wasze 'Kuźnie' i 'Zewy'. Żeby stworzyć pseudoideę dla czarusiów zamiast walki klas. Ale to by się nie udało bez personalnej hipnozy, więc wyrzeźbili z dymu tę postać w maciejówce. Wiesz pan, jaka idea cementowała duchowo europejską Starożytność? Kult miasta-państwa, idea *civitatis*. Kult ludzi-bogów przywleczono ze Wschodu. Przed chwilą rysowałeś patykiem na żwirze swojego człowieka-boga. Sądzisz, że mógłbym nie rozpoznać tych wąsów i brwi? Mój drogi, w czasie bezsennych nocy serce mi krwawi, kiedy o tobie myślę... A to co?

Dwie pensjonarki w granatowych spódnickach i beretach ze znaczkami szły trzymając się pod rękę. — Hej, podfruwajki! — zawołał Feliks — *on vous désire!*”.

Czasem jeszcze żałuję tego porzuconego opowiadania. Tytuł wiązał się z cieniem drzew w Łazienkach i z wierszem Sępa Szarzyńskiego: „Cień głęboki błędów mych widzę...”. Dzisiaj bawi mnie zwłaszcza sposób mówienia Feliksa (miał się nazywać Szebego), trochę podobny do stylu „gombro”. Ale czy tylko? Również przypomina mi zaperzone monologi Stasia Dygata, a



może też... Tak, chyba głos Jerzego Kamila, poety, mojego kolegi z gimnazjum Reja, dziwnego nerwusa, Jurka Weintrauba, który naśladował ekscentryczny sposób bycia Witkacego i wmaślał mi, że po maturze zmieni nazwisko na Symforian Drybel. W czasie okupacji mógł jedynie po ciemku wychodzić na ulicę, a któregoś dnia zaciął się żyłką i umarł na zakażenie krwi.

Próbowałem rozszerzyć notatki o Piłsudskim. Zero. Nie tylko że się nie posuwam, ale wiem już, że się nie posunę. Więc decyduję się wybrać niektóre i przenieść je tutaj bez zmian. Nie są uporządkowane. Tak przychodziły mi do głowy. W podobnej kolejności, z wyjątkiem opuszczeń.

„Charyzma. Sakra. Legenda. Z czego powstają — z napięcia czyjejs woli? Może to rodzaj fal elektromagnetycznych. W chałupie na Kasprusiach kładł w gaciach pasjansa: czy będzie dyktatorem w niepodległej Polsce. Tak silnie pragnął. Czy natężona wola emituje jakieś psychiczne ultrapromienie, drgania? Fizycy mogą je kiedyś odkryć. Promienie woli. Charyzma stanie się wówczas terminem naukowym, jak rad. Napromieniował nawet tak trzeźwego praktyka, organizatora, inżyniera, jakim był Eug. Kwiatkowski. O tym wspomina Jeziorański: bałwochwalcze uwielbienie. Tacy ludzie i inni, stając się przekąźnikami tej radiacji, napromieniowali moją ławkę szkolną. Podczas wypadków majowych obydwaj z Kolubińskim na pauzie w klozecie co dzień modliliśmy się, żeby zwyciężył. Nikt nam nie kazał”.

„Na Syberii opiekował się nim Stanisław Landy (sprawdzić imię), zesłaniec. Chyba proletariatyk. Syn albo brat ucznia szkoły rabinów Landego, co w 1861 podniósł krzyż upuszczony przez zabitego księdza. Wśród założycieli Lasek była siostra Teresa Landy. Potem z Marianem w oflagu por. Jan Landy. Powiesił się w baraku”.

„Zamach majowy. Próby samobójstw. Sosnkowski i inni, o których słyszałem, płk Gerulewicz, płk Anatol Minkowski, stryj Andrzeja. Po maju powiedział o Minkowskim: mnie w wojsku Hamletów nie potrzeba. I zrobił go dyrektorem loterii państwowej. Wg mnie maj opóźnił czwarty rozbiór. Skłócenie stronnictw, wścieklizna endecji, ciasnota horyzontów i rozbitcie na lewicy, to prowadziło w chaos. Po zamordowaniu Narutowicza do wojny domowej niewiele brakowało. Kroki porozumiewawcze niemiecko-rosyjskie już przed majem były wszczynane. Groziła możliwość plebiscytów (Śląsk, Wilno, Pomorze), ich narzucenia przez mocarstwa. Przewrót stworzył pewniejszy ośrodek siły państwowej. Preteksty do interwencji odpadły”.

„Jeszcze z Syberii w listach donosił o swoich wahaniach: czy nie zostać pisarzem. Byłby złym pisarzem. Czuł się powyżej innych. Pisarz nie ma być powyżej innych, ma być powyżej siebie. Stał się znakomitym pisarzem wśród wodzów. W jego rozkazach do wojska (piechota bez łączności to ładacznica szukająca po krzakach erotycznych awantur) styl romantyczny i napoleoński miesza się ze szlachecką groteską. Stał się pisarzem, ponieważ nie został pisarzem”.

„Wzrastające poczucie krzywdy, osamotnienia, niezrozumienia. Mówił: nieraz zastanawiałem się, czy umierając nie przeklnę Polski. Nawet tacy ludzie jak Daszyński lub Witos chyba nie pojmowali, co zagraża państwu. Musiał ich nienawidzić. Sejm dla nich był jakby parlamentem wiedeńskim, gdzie obalano ministrów i rządy. W tym czasie on prowadził gry wojenne w GISZ-u: kto zaatakuje najpierw, Rosja czy Niemcy. Jego odpowiedź, gdy któryś z generałów zaproponował rozważenie wariantu agresji z obu stron: proszę panów, my tego wariantu nie będziemy rozważać, bo w takim wariancie panowie musieliby się bronić szablami na Placu Saskim”.

„Kiedy francuski premier Barthou (ok. 1934) zapewniał go w Belwederze, że Francja w momencie zagrożenia Polski dopełni zobowiązań sojuszniczych, roześmiał się klepiąc go serdecznie po kolanie: niech mi pan wierzy, nie ruszycie się”.

„Mogę się mylić pisząc, że zamachem majowym opóźnił czwarty rozbiór (na to nie mam dowodów), ale jest faktem, że nie dopuścił do rządów endecji w Polsce. Endecji z ukrytym w jej łonie polskim nazizmem. Endecja — pojęcie nie do przekazania dzisiaj. *Być endekiem* i *nie być endekiem* to oznaczało przynależność do pewnej ludzkiej jakości. Więcej niż światopogląd, niż stronnictwo, raczej mentalność i wymiar człowieczeństwa. Trudne do wyjaśnienia. W niektórych środowiskach lub domach pytano o kogoś nowo poznanego: endeck czy nie-endek, co w gruncie rzeczy znaczyło: głupiec czy nie głupiec, rozmawiać z nim warto czy nie warto. U Zenowiczów o endekach mówiło się *wieprzki*. Kołtun, kołtuneria — określenia tej ludzkiej jakości nie mające odpowiedników gdzie indziej, tylko w Polsce. Termin na umysłowość dziedzicznie obsesyjną, sfetyzowaną, zarazem nietolerancyjną i zależną, a przy tym agresywnie żywotną (do dzisiaj), wkorzenioną w tradycje. Jakież?”.

„Nie umiem wypunktować momentu uformowania się *animae endecianae* w Polsce. Przypuszczam, że powstawała w miastach. Pauperyzująca się, zurbanizowana szlachta po 1863? drobno-mieszczactwo zasilone duchem wiejskiego sarmatyzmu? osten-

tacyjne kariery Żydów w przemyśle, finansach i kulturze, przy jednoczesnej degradacji części ziemiaństwa, bezradnej i zagubionej w procesie industrializacji? katolicka reakcja na socjalizm przenikający do fabryk i uczelni? Prawdopodobnie wszystkie czynniki razem, i inne jeszcze, sięgające dalej w przeszłość (konturreformacja, brak idei emancypacyjnych zachodnioeuropejskiego mieszczaństwa, etc.)”.

„Człowiek lewicy — człowiek prawicy. Socjalista — konserwatysta. Wymykał się z tych przeciwstawień, a zarazem cały z nich się składał. Tak jak polski romantyzm. Był z romantycznych tradycji demokracji szlacheckiej, przemawiał ich językiem. Spełniał poetyckie rojenia o czynie i do XII księgi *Pana Tadeusza* lepiej by się nadał niż Dąbrowski. Litewski Konrad-zesłaniec przemieniony w wodza Legionów. Mesjanizm i spiski. Napoleonizm. W jego gabinecie w Belwederze wisiał portret Napoleona, a w pokoju córeczek miniatura Orlątka. Wspomina o tym francuski ambasador, chyba Laroche, w pamiętnikach. Źródła legendy musiały tkwić nie tylko w sile osobowości, ale i w tym, do czego nawiązywał, co sobą wyrażał. To za jego rządów liczbę wieszczów narodowych powiększono o Wyspiańskiego i Norwida. Porównać styl jego pism z publicystyką Dmowskiego oraz język prasy piłsudczykowskiej, zwłaszcza w pierwszych latach po Maju, z prasą endecką, np. *Kurier Poranny z Gazetą Warszawską*”.

„Postępowa inteligencja (tak: postępowa) widziała w nim spadkobiercę swoich imponderabiliów. I niezupełnie się myliła: dopóki żył, czuła się w Polsce bezpiecznie. Znamienne, że nawet Gombrowicz, tak czujny wobec fałszywych wartości, roli Piłsudskiego nie kwestionował i kłócił się o to ze swymi przyjaciółmi. Udušenje myśli groziło zawsze od strony endeckiej. Z tej samej, z której atakowano Brzozowskiego, Żeromskiego, Boya, Nałkowską, Skamandrytów. Nie pamięta się dzisiaj, że w kilka lat po zamordowaniu Narutowicza istniał już Obóz Wielkiej Polski, poprzednik ONR. Maj 1926 zahamował pierwszy rozpęd totalitarnego nacjonalizmu, zepchnął go z drogi do władzy na stragany i podwórka studenckie. Po maju 1935 (śmierć co do dnia w dziewięć lat po zamachu) czas był już na to za krótki. Wojna ubiegła polski faszyzm”.

„PPS 1904-1905. Uderzające, i na to położyć akcent, że nie zmierzał do powstania. Rozumiał, że Polska wybuchnie inaczej. Chodziło mu o broń, chciał przerobić socjalizm na wojsko. Wyjazd z Filipowiczem do Tokio. U japońskich sztabowców, kiedy mu podano wrzuconą na jego oczach do gotującego się oleju żywą rybę, zemdłał (na pewno by zemdleli i Cześniak i Konrad).

Sztabowi samurajowie zawiesili rozmowy; niepoważny partner. Jest taki pogląd: wielki Piłsudski — przed robotą wojskową; śmieszny Piłsudski — z manią na punkcie wojska. Ja tak nie myślę. Zostawił po sobie w armii kadre obywatelską, polską trzecią siłę *avant la lettre*. Karaszewicz, Rowecki byli legionistami. I inni, co robili AK. Nie istniał taki typ oficera w liberalnej i parlamentarnej Czechosłowacji. Może dlatego ruch oporu tam nie powstał. Płk Świtalski na śledztwie (w UB), kiedy go naciskali, żeby opisał kulisy sanacji: chce stanąć po śmierci na baczność przed Komendantem i móc spojrzeć mu w oczy. Nie miały o kim tak powiedzieć ani Weygand, ani Darlan. Mógłby to powiedzieć de Gaulle myśląc o Joannie d'Arc. Do zastanowienia: czy Polska Piłsudskiego nie była pierwszy realną koncepcją trzeciej siły między totalizmami i demokracjami. Jak potoczyłaby się wojna, gdyby to się udało we Francji”.

„Na wsi po Powstaniu chłopci mówili: została po nim czapka, buława i kuń. Co znaczyło, że się na Polsce nie zбогаć. Opisać skromne pokoje w Belwederze, które oglądałem po jego śmierci. Przytoczyć z Jędrzejewicza, co podawano na kolację w Druskiennikach. Sałatkę z jaj. Przytoczyć też fragment o Wigilii w koszarach ułanów (urządzono ją w stajni pułkowej), jak się ubawił, kiedy żołnierze od świątecznego stołu ruszyli do swoich koni przy żłobach, żeby się z nimi podzielić opłatkiem. Fredrowska Polska. Esej Jerzego Stempowskiego o Piłsudskim-Jowialskim. Ale to taki Jowialski, co zdobył Kijów. Jowialski, którego zwroty cytuje się jak Mickiewicza i Norwida. O polskim obwarzanku, o śladach słupów granicznych między dawnymi zaborami. O powstańcach styczniowych. I nad trumną Słowackiego, ze słynnym *by* lub *bo*. Tylko z narodowej dramy i poezji tak się dziś cytuje. Spoza literatury on jeden wszedł w językową pamięć”.

„Wykruszony organizm, kilkakrotne zagrożenie śmiercią. Choroby, które przemagał wolą. U Jędrzejewicza wzmianki o powtarzających się grypach, zaatakowaniu nerek i ubytkach siły z dziwnymi skokami gorączki. Konsylia lekarskie, przykucie do łóżka. Tak bardzo to poruszyło w lekturze Olę Karzyńską, że o tym wciąż mówiła w Lanckoronie. Urzeczona, napromieniana. A przecież nie może go pamiętać. Miał 45 lat, kiedy nazwali go Dziadkiem. Skotnicki o spotkaniu z nim na okręcie u brzegów Afryki (Heluan?), gdy w upalnym słońcu zobaczył starca owiniętego wełnianym szalem. Także u Jędrzejewicza: wstawał późno, około południa. Powracające depresje. W nocy przy kominku godzinami wpatrywał się w ogień. Premier nie

śmiały wejść. Adiutanci mówili: Komendant czaruje. To Jerzy Giedroyc opowiadał. Mawiało się o jego przysłowiowym szczęściu, że wbrew okolicznościom wszystko mu na korzyść wychodziło. Ale z dziewięciu lat jego rządów szczęście przypadło na światowy kryzys gospodarczy. Kryzysu nie zaczarował”.

„Bronisław, o rok starszy brat, pisał w swoim sztubackim pamiętniku o romansach Ziuka z młodą ciotką i że Ziuk wszystkim wmawia siebie, a wszyscy w niego zapatrzeni, niczym w jakiego geniusza”.

„Kijów, traktat ryski. Prawica obarczała go winą za tę wojnę. Kondotierska wyprawa, federacyjne mrzonki wschodnie. Endecki realizm to była koncepcja Polski etnicznej bez ukraińsko-białoruskiej (i chałaciarskiej) czerni. Zgodziliby się na linię Curzona. Co oznaczałaby granica na Bugu w 1921? To że w dwudziestoleciu Polska byłaby małym krajem, z mniejszą ilością nauczycieli, żołnierzy, uczonych, inżynierów i studentów, że byłaby większą Litwą o mniejszym znaczeniu niż Czechosłowacja, a w pojęciu Zachodu jedną z rosyjskich wypustek. To że w 1939 Rosjanie wzięliby ziemie nie do Bugu, ale do Wisły, i w 1945 zażądałoby nie tylko Lwowa i Wilna, lecz także Lublina, Rzeszowa i Białegostoku. I mieliby je dzisiaj. Jeśli nie więcej. Kijów musiał oddać, odsunął jednak na wschód granicę żądań rosyjskich, pojęcie obszaru Polski w mózgach zachodnich polityków zostało rozszerzone. W rachunku ćwierćwiecza okazał się lepszym realistą niż Dmowski. Realistą bezwiednym. Bo idąc na Kijów istotnie marzył o Polsce Jagiellońskiej. O tym napisać. O realizmie poczynań nierealnych. Cały się w nim mieścił”.

„Opowiadanie Stasia D. o wizycie Prezydenta. Obok Dygatów na kolonii Staszica mieszkał podczas wojny b. Prezydent Państwa, St. Wojciechowski. W dniu kapitulacji Francji przyszedł skorzystać z telefonu. U Dygatów byli znajomi, grobowy nastrój. Wszyscy powstałi z miejsc: do pokoju wszedł majestat Rzeczypospolitej. W tym dniu strasznym dla Polski o czym będzie rozmawiał i do kogo dzwonił? Wszyscy utkwili wzrok w siwym panu, gdy ujął słuchawkę. — Dzień dobry, Wańdziuniu — powiedział oślaniając ucho — może przyjdiesz dziś do nas, bo Mania upiekła bułeczkę, to sobie pojemy!”.

„Wojciechowskiemu ta anegdotka w niczym nie uchybia. Ale o Piłsudskim byłaby nie do pomyślenia. Momenty historyczne zawsze były dla niego momentami osobistych decyzji o historycznej wadze. W takich dniach, jeśli telefonował, to w innych sprawach”.

„Kawaleria na Błoniach, 1933, zdaje się październik. W Lancoronie u p. Tadeusza wisiał taki obraz Kossaka. Z buławą na podwyższeniu salutuje galopujące pułki. Za nim oficer w podhalańskiej pelerynie (płk Wartha?). U Jędrzejewicza relacja, że wszystko co do szczegółu sam wyreżyserował. Tu będzie stał Prezydent z rządem. W tym miejscu Marszałek Polski. Za nim dowódcy armii. Całą scenografię wymyślił, wielki żywy obraz. Z prologiem w krypcie wawelskiej. Czyżby rozumiał, że może już tylko jedno zrobić: przekazać obrazy, piękne zjawy przeszłości. W odręcznym testamencie napisał ołówkiem: *Pewnie mnie pochowają na Wawelu. Niech.* (Sprawdzić dosłowne brzmienie). Po czym o sercu, że ma spocząć na Rossie: *serce największego rycerza Rzeczypospolitej.* Niewyraźnym pismem. To na pewno w czasie, kiedy nie mógł już utrzymać szklanki w ręku i jak wypadł mu nóż. To wtedy powiedział Lepeckiemu patrząc gdzieś w bok: są takie wózki dla chorych. Później powtarzał tylko: nie ma już Ziuka... Jakby zdumiony. Więc do końca myślał o sobie tym imieniem — Ziuk. Juliusz Żuławski wspomina w swojej książce, że krótko przed jego śmiercią idąc aleją w Łazienkach zobaczył go przez sztachety, jak stał w ogrodzie belwederskim za krzakiem bzu. Wychudły, nieledwie w pół zgięty i wyblakłymi oczami wpatrzony w spacerujących ludzi. Wkrótce przekaże jeszcze ostatni wielki obraz: swój pogrzeb sunący wzdłuż osi królewskiej i trumnę na lawecie ciągniętej przez generałów w stronę katafalku (kiedy odjeżdżał na Wawel)”.  
„Moje dwa sny na zmianę”.

Ta ostatnia notatka jest najkrótsza, bo jej celem było tylko przypomnieć rzecz dawno mi wiadomą. Mianowicie, że od wielu lat mam parę razy w ciągu roku dwa powtarzające się sny. Każdy z nich co jakiś czas powraca; ich treść się nie zmienia.

W pierwszym śnie dowiaduję się, że mój ojciec żyje — wiadomość o jego śmierci była nieprawdziwa — i że przez cały czas wszystko o nas wiedział. Żyje lekkomyślnie, a przy tym nieco biednie, z jakąś kobietą, której nie znamy; lecz nie zamierza do nas wrócić. Jest nam życzliwy, jednakże daleki, jakby roztrągniony. Śpieszy się gdzieś i przed odejściem wyjmuje zegarek z kieszonki. Wtedy się budzę.

W moim drugim śnie Piłsudski także jest żywy i także nie jest jasne, czemu jego śmierć była nieprawdą. Żyje samotnie w starej willi na krańcach Warszawy, milcząco tolerowany a zarazem nietykalny. Miejsce pobytu wyznaczył mu dzisiejszy rząd. Przechodnie widują go z daleka, siedzącego w ogrodzie z gazetą albo nad pasjensem. W śnie jest oczywiste, że nie może nic

dla nas uczynić, ale jego pochmurna, zamyślona obecność daje uspokojenie. To jest pogodny sen. Po obudzeniu bardzo żałuję, że się skończył.

Przez wszystkie te lata jeden raz, kiedy chorowałem na tarczycę, śniła mi się matka.

Ciepły, słoneczny dzień. W Warszawie drzewa zupełnie nagie, liście pod stopami chrzęszczą. Ulice jak za woalką, w rozproszonym świetle ludzkie sylwetki i kontury domów przytarte, wszystko dokoła jakby miększe i suchsze. Ulica Traugutta obsypana liśćmi, żółtymi, miedzianymi, brunatnymi, cała na wylot prześwietlona. Wchodzi się przez małe ogrodowe podwórko, rodzaj skwerku. Na ławkach siedzi paru studentów z książkami i zeszytami. Przed wejściem do budynku — są to boki czy tyły kościoła — stoją grupki ludzi. Wśród nich kilku uczestników głódówki, których można rozpoznać po ciepłych okryciach (niektórzy mają na sobie kożuchy) i bledszych, ostrzejszych twarzach. W przedsionku tłoczy się gromadka żołnierzy, ktoś im wyjaśnia cel głódówki. Żołnierze uważnie słuchają, potakując, że zrozumieli, po czym kilka pytań półgłosem i podziękowania. Szukam Haliny, przeciskam się przez drzwi i widzę na podłodze kolorowe nadmuchiwane materace. Podłoga niemal cała jest nimi zasłana. W kącie pomieszczenia leży na wznak ktoś z szarym nosem, owinięty pledem. Pod ścianą stół, na nim siedzi wychudzony okularnik w długim kożuchu. Jednak go rozpoznaję. — Ależ nie, czuję się świetnie — uśmiecha się cytrynową twarzą — to był tylko katar, lekarz wszystkich zbadał. — Markuszewski stoi w czerwonej kołdrze, podobnej do ornatu czy burnusa, z niej wychyla się kulista ostrzyżona głowa mówiąc: — Czytałem twoje „Miesiące” w *Zapisie*. — Nie zeszczipał, policzki ma rumiane, tylko ściskając go czuję, że są zimne. Spostrzegam Halinę, duże czarne oczy w twarzy jak z welinowej papeterii. Rozmawiają z M. Markuszem w kołdrze dalej o „Miesiącach”: — Ty nas wszystkich lubisz, ale kochasz tylko ją — M. i Halina obie się śmieją, każda inaczej, a ja pytam, ile jeszcze dni i czy nie osłabli za bardzo. Na co Markuszewski, że to się da wytrzymać. Widzę pod oknem wiadro z naręczem kwiatów. Strasznie dużo tych kwiatów. — Ciągłe je przynoszą — mówi Halina — codziennie nas odwiedza dwieście, trzysta osób.

Wychodzimy, na skwerku dalej siedzą studenci z zeszytami, mija nas młody ksiądz i kłania się uprzejmie.

Wracając pytam M., czy słyszała. Macha ręką: to tylko wątek literacki, twój sposób na fabułę. — Ale ofiarował ci prezent

w samą rocznicę ślubu. — Jak to?! — woła M. — którego dzisiaj mamy? — Obliczam, że wypada trzydzieści pięć lat. Akurat w taką pogodę jechaliśmy bryczką do kościoła. Miała jasną, chyba kremową bluzkę i dziesięciozłotówkę w pantoflu, a ja kapelusz pożyczony od księdza Warkocza i trikotinową koszulę od partyzantów — po zastrzelenym *Volksdeutsch*'u, z dziurką na lewej piersi.

Jak ryzykownie nas wychowywano! Mój ojciec mówił, że kobiety dzielą się na panie, pensjonarki i pokojówki. Mężczyzna może się przespać z pokojówką, zakochać się w pensjonarce, ale powinien ożenić się z panią. A babka M. kazała jej pamiętać trzy rzeczy: że prawdziwa dama nie zadaje pytań, nie dziwi się i nie poci. Innych ogólnych wskazań nigdy jej nie udzieliła.

Jest w tym coś narkotycznego, jakiś trans zbiorowy. Nie mam na myśli jedynie tamtych piętnastu z kościoła św. Krzyża, mówię o nich wszystkich, których dziś określa się nazwą „dysydencja”. Zawsze w swojej grupce, w śpięciu, w nieustającym upolitycznieniu. Pytanie, czy potrafiliby jeszcze żyć inaczej. Pytań byłoby sporo: to ciasne zwanie się ze sobą czy wynika z faktu, że jest ich tak niewielu? Prawdopodobnie. Zważywszy na okoliczności, są tacy, jacy być mogą. I pewnie tacy być muszą.

Nie wiem, na ile sobie uświadamiają, jak są osamotnieni. W rozgadanym kraju o nich częściej się milczy niż o władzy. Żeromski w swoim dzienniku urągał na „Polskę facetów i facełek” — nienawidził tej mało pragnącej i zubożniałej Pospolitej. Dzisiejsza polska większość również nie jest wolności najbardziej spragniona. Lęka się ryzyka nagłego przełomu, sytuacji otwartych, gdy musiałaby sama o sobie decydować. Nie wierzy w ich realność. Chce materialnego polepszenia. A Pospolita dopowiada: po diabła gesty dla Czechów! Zabawa w opozycję nie potrwa ani dnia dłużej, niż zezwoli rząd.

Można żyć tak, jak zezwala rząd i czytać, co zezwala rząd. W końcu to zaczyna wystarczać i chce się tylko tyle. Z nadwyżką marzeń o komforcie, o raju z basenem w ogrodzie. W marzeniach widać rozliczne perspektywy wyższego standardu. Prócz jednej: wylatywania nad poziomy. Skrzydłom młodości Pospolita nie ufa.

Zapamiętałem twarz dziewczyny siedzącej na krześle w przed-sionku. Nie brała chyba udziału w głodówce, sądząc jednak, że była blisko związana z ruchem — może kolporterka Niezależnej



Oficyny, słuchaczka TKN-u... Wydała mi się do kogoś podobna. Do kogo — do siebie samej? Mogłem ją kiedyś już widzieć. Dziwne zajęcie dla ładnej dziewczyny w taki pogodny dzień: siedzieć z głodującymi w kościele. Ustaliłem w myśli, że pewnie jest studentką filozofii. I dopiero po powrocie wieczorem — olśnienie. Ależ naturalnie, uderzające podobieństwo, ta sama linia ust z lekko poddartymi do góry kącikami, i oczy wąsko rozstawione, i podobne jakby zezujące spojrzenie. Twierdziłem, że ma oczy „z fałszem” — jedno poważne, a drugie szalone. Studentka filozofii, rocznik 1920, po pijanemu cytowała Heideggera na zmianę z „Inge Barcz”. Dzisiaj ma grób na Powązkach, marmurową płytę z połączonym imieniem i nazwiskiem, a pod nimi słowa: odznaczona Krzyżem Walecznych. Na ten napis za każdym razem jestem nieprzygotowany. Nie mogę uznać za rzecz wiarygodną, aby miłe dziewczyny, z którymi przyjemnie jest w łóżku, miały wojskowe groby na cmentarzach.

Po wybuchu wojny nie mówiliśmy już z M. o rozstaniu. W końcu września przechodzący ulicą żołnierze wyciągnęli ją spod zawalonego domu na Wilczej. Ocalał jej życie papieros; wysłała go zapalić w korytarzu przyległym do bramy, kiedy na dom spadła bomba. Znajomi w mieszkaniu wszyscy zginęli. Od tego dnia widywaliśmy się codziennie. Ale widując się dzień w dzień i coraz ściślej się ze sobą wiążąc, równocześnie przeżywaliśmy ostrą ciekawość innych ludzi. Każde na swój sposób. Wydaje mi się dzisiaj, że byliśmy jak młode, niespokojne zwierzęta o łakomych apetytach. Ani w głowie nam było rezygnować z samodzielnych odkryć czy własnych zdobyczy i myślę, że oboje chcieliśmy jeszcze poznawać, doświadczać. Spotkaliśmy się wcześniej, pewnie za wcześniej. Poprzestać na jednym, wspólnym życiu, od matury do śmierci, to nie zaspokoiłoby wszystkich oczekiwań. Nasz związek był już oczywisty, ale jak gdyby wciąż nie ostateczny. Nie porozumiewając się słowami, w milczącej umowie odsuwaliśmy postanowienia na później. Mieliliśmy przed sobą dużo czasu albo mało życia. W obydwu możliwościach krył się podobny wniosek: nasycić tę długą lub krótką codzienność, jak tylko się da i póki będzie trwała.

W tym czasie seminarium filozofii podziemnego uniwersytetu zbierało się co parę tygodni w prywatnych mieszkaniach. M. w nich uczestniczyła. Wtedy już nie mieszkała z rodzicami. Wynajęła kawalerkę na Słonecznej — w tym samym domu, gdzie Otwinowscy i Brezowie — i nieraz seminaria odbywały się u niej. Którejś zimy w takim dniu musiała kursować po mieście od samego rana. Zostawiła mi klucz, miałem przyjść około południa,

żeby napalić w piecu. Przyszedłem punktualnie. Przez półtorej godziny układałem wymyślne konstrukcje z węgla, drewniek i gazet — wszystko na nic, ogień wciąż gasł mimo rozdmuchiwania. Rozpacz! O 2-giej skapitulowałem. Przed wyjściem skreśliłem parę słów na kartce: „Nie było cugu. Absolutik będzie zmrożony”. Sądziłem, że desperację należy pokryć żartem. Ale seminarium odbyło się w lodowatej temperaturze, filozofowie siedzieli w płaszczach z podniesionymi kołnierzami i futrzanych czapkach. Tego dnia profesor Tatarkiewicz czytał rozdział swojej książki „O szczęściu”, rozdział oparty na tezie, że szczęście to czyste sumienie przy dobrze ogrzonym kominku. Nazajutrz M. blada z gniewu zarzuciła mi cynizm.

Zdaje się jednak, że tą karteczką zyskałem popularność w gronie młodych filozofów. Zaproszono mnie na imieninowe przyjęcie i chyba tam zwróciła moją uwagę dziewczyna z kosmykiem nad brwią i ciemnym papierosem w ustach. Półożąc na tapczanie recytowała wiersz Gałczyńskiego o Inge Barcz. („A jesień w Berlinie, w Tiergartenie, to są, proszę państwa, takie struny...”). Była duża, jasna, mocno zbudowana, ale o drobnej twarzy. Zauważyłem, że okulary w rogowej oprawie nie pasują do jej rysów. Ktoś mi wyjaśnił: ma doskonały wzrok, nosi okulary dla fantazji, żeby przez dwa tygodnie być kim innym; kiedy indziej przez tydzień nie wymawia „r”. Później zobaczyłem ją przy fortepianie. Z kieliszkiem i dymiącym papierosem w lewej ręce, prawą szybko przebiegła od basów do wiolinów; strząsnęła popiół na klawiaturę i zaczęła wystukiwać motyw „Bolera” Ravela. A potem zemdląła. Upadła na wznak z papierosem w rękę, kieliszek potoczył się na dywan. Cucono ją przez chwilę, lecz bez paniki, raczej z uśmiechami sympatii. Zrozumiałem, że pewnie to się często zdarza: omdlenie dla fantazji. Gdy podniesiono ją z dywanu, była już bez okularów. Podeszła do mnie i wyjęła mi kieliszek z ręki. Mówiła lekko schrypniętym głosem, blisko mojej twarzy, ale nie mogłem się połapać o czym mówi. — To z Prousta — podpowiedziano mi z boku — teraz jest Albertyną. — Odgadłem, że wszyscy tu ją lubią i nie umawiając się biorą udział w jej inscenizacjach. Był jakiś niewinny urok w tej komedii *del arte*.

Stanowili parę z młodym filozofem. Nie rozstawali się ze sobą, podobnie jak my z M.; łączyła ich przyjaźń od dzieciństwa. Domyślałem się, że w tym związku ona ma przewagę, a on nie jest zazdrosny. W czasie nocnych wódek gaszono światło. Raz, kiedy mówiła do mnie po ciemku głosem Lucy Tantamount z powieści Huxleya, nagle ją objąłem. Od razu zamilkła. I wtedy

ja zacząłem mówić. Nie przerywała mi i czułem, jak wprawiam ją w zachwyt. O czym mówiłem? Rozumie się, o niej. Mówiłem, że jest cudowna i że śnił mi się nasz spacer we dwoje jesienną aleją. — To mógł być Tiergarten — dodałem — albo park w Balbec. — Mówiłem niemal prawdę, lecz zarazem wiedziałem, że moimi słowami utwierdzam jej wyobrażenie o sobie i że tak ją zdobędę: podziwiając w niej równocześnie Albertynę, Lucy i Inge. Nie pamiętam, jak długo mówiłem. Nad ranem obudziliśmy się leżąc obok siebie. Prócz nas w pokoju spało jeszcze kilka osób.

Przez trzy miesiące widywaliśmy się w mansardzie czteropiętrowej kamienicy, będącej własnością jej matki. Urządziła w niej pokój do pracy i sypialnię. Być może służyły również innym celom, ale nie zadawano pytań w takich sprawach. Do dzisiaj nie wiem, jak głęboko była wciągnięta w konspirację. W tamtych latach nie wszystko się wiedziało nawet o bliskich znajomych. Jeden z uczestników seminarium, który często nas śmieszył urodą Rudolfa Valentino i przesadnie wciętym krojem garniturów, zginął w katastrofie lotniczej nad Gibraltarem, przydzielony do asysty generała Sikorskiego. Był niezawodnym kurierem, emisariuszem Komendy Głównej AK. Mogłem się najwyżej domyślać, bądź uwzględnić możliwość, że niski, szeroki tapczan z tygrysią narzutą znał jeszcze inne tajemnice prócz naszej. Nie rozmawialiśmy o tym. Zresztą w godzinach, które u niej spędzałem, była małomówna. Jak gdyby wyrzekła się swych ulubionych wcieleń — przestała udawać Inge i Albertynę. Gdy zapytałem, ilu było mężczyzn przede mną, wystawiła spod narzuty rękę ze schowanym kciukiem. Cztery złączone palce, bez słowa. Kiedyś przyszedłem po dłuższej nieobecności i znowu ją objąłem, znów zacząłem mówić że jest cudowna i że w moim śnie o spacerze w Balbec gubiła szpilki do włosów jak liście. Popatrzyła na mnie spod kosmyka z niezupełnie żartobliwą powagą: — Uwważaj, żebyś mnie nie skrzywdził.

Prawdopodobnie byłem jej potrzebny, tak jak ona mnie, przez dwie godziny w tygodniu. Przez te dwie godziny obchodziła się bez literackich wzorów; była prosta i naturalna, i doskonale świadoma, czego chce ode mnie. Jej partnerstwo było uczciwe. Ostrzegła mnie, abym uważał na słowa. To była prośba: żebym jej nie wciągał w sferę jej bezbronności, widocznie moje słowa dalej na nią działały. Znacznie później uświadomiłem sobie, że miała rację. Są dwie dziedziny, w których słowa bywają szczególnie niebezpieczne: erotyzm i polityka. W obydwu nieraz wypowiada się słowa ponad stan i na wyrost; mówi

się dla słów, tworząc z nich fikcję, zapominając o rzeczywistości i prawdziwym sobie. Powiniennem był wtedy zamilknąć. Wkrótce musiałem zniknąć z Warszawy na kilka miesięcy. Wróciłem pod innym nazwiskiem i pod inny adres: na ulicę Solec. Żyłem tam niemal w zamknięciu aż do wybuchu Powstania. O niej co jakiś czas dowadywałem się od M. Znowu nosi okulary, niedawno wygoliła brwi, a podczas ostatniej wódki pół nocy przechodziła na rękach. Później usłyszałem o jej narzeczeństwie z ukrywającym się chłopcem żydowskiego pochodzenia, synem lekarza z Krakowa. Zobaczyłem ich razem u M. na krótko przed Powstaniem, gdy znowu mogłem swobodniej poruszać się po mieście. Miły, serdeczny chłopak — uścisnęliśmy sobie ręce, wymieniając nasze fałszywe nazwiska.

Oboje zginęli w pierwszych dniach października, wynosząc rannych z bombardowanego gmachu Pod Orłami. Odłamek trafił ją w sam środek czoła. Krzyżem Walecznych została odznaczona pośmiertnie, lecz chyba powtórnie; jak pamiętam, przyznano go jej w 1939 za bohaterską obronę zbiorów Uniwersytetu Warszawskiego. Zawsze dziwił mnie kontrast między jej neurasteniczną twarzą a roslym, wygimnastykowanym ciałem. Ale bardziej mnie zdumiewa ten marmur ze złożonym napisem. Myślę, że nie powinna była urodzić się w kraju, gdzie Albertyny dekoruje się krzyżami walecznych. Po co jej był Krzyż Walecznych — myślę — postępowała o wiele rozsądniej naśladowując bohaterki obcej literatury.

W środę przed południem na bazaltowej kostce wewnątrz Barbakanu leżał pijany mężczyzna z siną twarzą i oczami w słupek, a nad nim z notesem i ołówkiem stał młody milicjant, do którego przemawiał zataczając się kolega leżącego: — Panie, władza, ja panu daję słowo, że to jest porządny człowiek!

Jedną połówą byłem po stronie leżącego mężczyzny i prawie wierzyłem w to, o czym zapewniał jego kolega. A druga... Po jakiej stronie byłem drugą połówą? Po stronie ładu, obyczajności, miary? To pewne: byłem po stronie, której nie reprezentował milicjant. Po stronie nieobecnej.

W czwartek o 17.30 na Pivnej w kościele św. Marcina msza za duszę Zygmunta Hertzca. Kilkadziesiąt osób, przeważnie znajome twarze. Mszę odprawiał czterdziestoletni ksiądz z łysiną; asystował mu drugi, młodszy i szczuplejszy. Siedząc w ławce usiłowałem skupić się myślami na osobie zmarłego. Zygmunt Hertz mieszkał po wojnie w Maisons-Laffitte pod Paryżem, ale znałem go jeszcze z łódzkich szkolnych czasów; zdał maturę,

kiedy chodziłem do 1 klasy gimnazjalnej. Często spotykaliśmy go z Marianem w drodze do szkoły. Opowiadał śmieszne anegdotki, bardzo mi się w nim podobała dobroduszość młodego, wesołego słonia. Po wielu latach odnowiliśmy znajomość w Paryżu. W pierwszej rozmowie opowiedział mi wszystkie kawały i ploteczki krążące w Warszawie — o znajomych i nieznanym, o mnie — a po chwili zapytał, w czym mógłby mi pomóc. Był po dawnemu jowialny, pełen wujaszkowatej serdeczności, odgaadywałem jednak, że mam do czynienia z człowiekiem niegłupim, o smutnym, dobrym sercu. Telefonowałem do niego po każdym przyjeździe. Co słychać? — Wiesz, jak odpowiedział Strykowski w SPATIF-ie — informuje Zygmunt — gdy ktoś go spytał, ile ma lat? „Tyle co wszyscy!” Dobrze? — Nieraz żartowałem, że najwyższy czas pojechać do Paryża, żeby się dowiedzieć od Zygmunta, co słychać w Warszawie. Teraz w kościele słucham, jak ksiądz odprawiający mszę mówi o jego mężnym i pracowitym życiu. I odzywam się po wyjściu: — Sam Zygmunt najbardziej byłby ciekaw, kto przyszedł na mszę za jego duszę. — A może on wie — kwestionuje M. — przecież nie mamy pewności. To my nic nie wiemy. — No tak — zgadzam się — ale jeżeli wie, to w sposób, jakiego my nie potrafimy sobie wyobrazić. — Po czym wysuwam jakieś przypuszczenia, domysły... Szczególne, że dorośli, a nieraz inteligentni i odcytani ludzie, z chwilą gdy próbują rozmawiać o zaświatach, wypowiadają w kółko parę nieporadnych zdań, których nie mogą skończyć.

Od kilku dni zimno i mokro, ulice słabo oświetlone, przechodzący ludzie mają ciemne sylwetki. Wysoko nad śródmieściem błyszczą czerwone światelka Pałacu Kultury (to o nich Marek Hłasko mówił: „period carcy”). W tę niemiłą jesienną pogodę, gdyby w cudowny sposób mogło się spełnić jedno moje najgłębsze pragnienie i gdybym wiedział, że ono się spełni, jak tylko je wypowiem — czego bym zażądał?

Miliona dolarów? Nie. Pięknej młodej kobiety gotowej mnie pokochać? Na Boga, nie! Wolności? Nie, nawet wolności... Sukcesu, który powaliłby świat przede mną na kolana? Także nie. Więc czego chcesz, człowieku?

Poprosiłbym o to, żeby czas mijał wolniej. Sto razy wolniej, dziesięć razy wolniej. Bo mimo złej pogody i ciemności, mimo niewesołych myśli, pomimo wszystko — bardzo nie chciałoby się stąd odchodzić.

„Kochany mój dzienniczku, jedyny przyjacielu, powierzam ci najskrytsze marzenia i słodko zasypiam tuląc cię pod poduszką...”

go z wszelkich możliwości pracy artystycznej. Był współtwórcą i duchem ożywczym STS-u. Dziś — jeden z czarnej listy.

To prawda, że pisząc o Hanuszkiewiczach chodzącym wokół klombu, bądź wspominając jego „Balladynę” czy „Treny”, nie myślałem o marcu 1968. Opisywałem moje dni, spotkania, rozmowy. W tym, co mówi Markuszewski, jest racja społeczna, której nie mogę odrzucić, ale w „Miesiącach” pokazałem Hanuszkiewicza, którego lubię za jego malowniczą postać i za „Beniowskiego”, i to jest także prawda, której nie mogę zmienić. Gdybym teraz, oddając sprawiedliwość Markuszewskiemu, zadiustował moją słabość do Hanuszkiewicza i dopisał kartkę z osądem społecznym, miałbym uczucie, że spełniam zamówienie na artykuł, w którym wszystkie akcenty muszą być wyważone.

„Miesiące” są moją codziennością, ich materiał czasem powstaje tylko z tego, co się akurat zdarza — mnie, dzisiaj, wczoraj — a jeżeli w nich piszę, o czym rozmawiam lub myślę, to nieraz oznacza chwytnie się autentycznych momentów, jako najprostszycy środków wyjścia z impasu. Piszę, że wczoraj o czymś myślałem albo rozmawiałem, bo rzeczywiście tak właśnie było wczoraj, i to jest najbliższy prawdy a zarazem najdogodniejszy dla mnie sposób wyrażenia tego, o czym myślałem albo rozmawiałem. Kiedy przychodzi do mnie J. i zaskakuje mnie swoją racją, a ja wiem, że nie będę umiał znaleźć dla niej formy w „Miesiącach”, to zamiast łamać sobie głowę nad znalezieniem tej formy, notuję: „Przyszedł J. i zaskoczył mnie swoją racją. Nie umiem znaleźć formy w „Miesiącach” dla jej przekazania”. Często takie przychwycenie autentyczności *in flagranti* pomaga znaleźć formę. Pytam Markuszewskiego: a co byś powiedział, gdybym po prostu opisał naszą dzisiejszą rozmowę?

Wtedy Markusz porusza się w fotelu, nachyla się ku mnie z czułym połyskiem oka, pełen godności i jakby trochę grubszy ze wzruszenia, nachyla się i mówi: — Dobrze, ale pod jednym warunkiem: jeśli napiszesz, że przyszedł do ciebie twój przyjaciel, który poczuł się osamotniony.

Stosunek do ludzi. Stosunek do faktów. Stosunek do siebie. Wszystko wymaga czasu. Być może sprawiedliwość także wymaga czasu. Notując pewien fakt nie znam jeszcze moich prawdziwych związków z tym faktem, one się nieraz ujawniają po latach i dopiero wtedy znam prawdę. To znaczy moją prawdę o tym fakcie, o fakcie bądź o człowieku. Czy potrafiłbym opisać Inge-Albertynę w roku 1942 lub 43? Nie: wtedy jeszcze nie znałem mojej prawdy o niej, czyli o sobie w związku z nią. Na

to potrzeba czasu. I to jest także ważne dla pisania. To są sprawy zawodowe. Dawno temu redaktor Małachowski, badacz literatury i świata, zadał mi w wywiadzie pytanie, czy jestem pisarzem zawodowym. Odpowiedziałem, że równie dobrze można by zapytać wiewiórkę, czy jest wiewiórką zawodową. Wstyd mi było tłumaczyć, że pisarstwo to rodzaj egzystencji, sposób życia i że zawodem pisarza jest człowieczeństwo. Widocznie jednak redaktor Małachowski wyczuł moje myśli, bo powiedział: „A właśnie o panu się mówi, że jest pan oderwany od życia”. I znowu mnie zawstydził. Jak tu wyjaśnić, że ja sam jestem częścią życia? To prawda, lubię wiele czasu spędzać w domu. Mimo to uważam się za część życia, która usiłuje poznać siebie, a nawet zaryzykowałbym twierdzenie, że jestem częścią utalentowaną i że talent nie zawsze się przejawia w bywaniu poza domem. Ale też niekoniecznie w snach. Wczoraj śnił mi się mój pies, a onegdaj mężczyzna z niezwywym wróblem przypiętym do klapy marynarki.

(Może jednak ten drugi sen świadczy o artystycznej wyobraźni?).

„Lord Jim” i „Sala nr 6” mogły powstać nie dlatego jedynie, że Conrad był kapitanem statku a Czechow lekarzem, ale przede wszystkim, że obydwaj jako ludzie umieli poznawać siebie samych i dzięki swej pamięci i odwadze byli zdolni do poznawania życia. Wątpię, aby człowiek, nie mający dostępu do prawdy o sobie, miał dostęp do prawdy o życiu. A najdziwniejsze, że pierwszy naprowadził mnie na to Staś Dygat w rozmowie przez telefon. Mówiąc o pewnym autorze użył słów, które mnie zaskoczyły: „on nie ma dostępu do siebie”. I zapytał, czy rozumiem, co chciał przez to powiedzieć. Rozumiałem, ale byłem zaskoczony. Boże mój, kto to mówi? Staś! Należał do kilku osób, o których nie umiem myśleć inaczej niż zdrobniałym imieniem. Nie tylko, że był mi tak bliski. Miał w sobie cechy chłopca — namiętą, zaślepioną chłopięcość. Sądziłem, że właśnie on, może ze wszystkich znanych mi ludzi, najmniej wie o sobie, i tym się tłumaczyło moje zaskoczenie.

W ostatnich latach, kiedy wzywał mnie niespodzianym telefonem („przyjdź koniecznie, mam ci coś niezmiernie ważnego do powiedzenia!”), zastawałem go wśród pekińczyków i kotów na bujanym fotelu przed telewizorem. Miał siwiejące, potargane włosy i wpijał we mnie wzrok z uroczyście podejrzliwym wyrazem, aby mi oświadczyć, że X. jest skończonym łajdakiem. Znałem już ten wzrok, który mnie prznosił w kąć szkolnego boiska,

gdzie zamieniano się na szczyryki i wtajemniczenia. Wiedziałem też, że może X. nie jest łajdakiem, ściągnął tylko na siebie gniew Stasia naruszając jego pojęcia o świecie. Czym? Jakąś skazą, ułomnością ludzkiej natury. Tych ułomności Staś w sobie samym nie dostrzegał, natomiast w innych ludziach przenikał je z jasnowidzącą pasją. I wtedy nienawidził co najmniej przez kilka tygodni. Porównywał X-a ze skalą swoich wyobrażeń. Nie ze sobą — ze światem złożonym z dżentelmeńskich jeźdźców i nocnych koniokradów. Był jednym z chłopców z przedwojennej kolonii Staszica, którzy w szkole czytali powieści Karola Maya. Kiedy — po latach — wezwano go do Ministerstwa, aby wy badać, dlaczego złożył podpis pod zbiorowym protestem pisarzy, odpowiedział: — Bo zostałem wychowany na westernach. — Jestem pewien, że do śmierci wierzył w istnienie ludzi-ideałów, żyjących w odległych disneylandach. W gimnazjum znał na pamięć rozkład międzynarodowych expressów i opowiadał mi, że chodził na dworzec, aby przyglądać się z peronu twarzom pasażerów za szybami Wagons-lits Cook. Widzę go doskonale, jak moknąc na deszczu stoi z rękami w kieszeniach, wpatrzony w swoją hollywoodzką bajkę.

Ale kto potrafi dorównać bohaterom z bajek? Ja nie potrafiłem. Ja także przez kilka tygodni — a może i dłużej — byłem w kręgu najgorszych podejrzeń, byłem czarnym X-em. Niemal każdy musiał przez to przejść, nikt nie mógł sprostać wymaganiom Stasia, tak były wysokie. Myślę, że jedynym człowiekiem, któremu ich nie stawiał, był on sam, ale przysiągłbym, że nigdy ani przez sekundę nie zdawał sobie z tego sprawy. Miał sumienie zbyt czujnie skierowane na innych ludzi, by mogło się zajmować jego własną osobą. Pamiętam, jak siedzieliśmy skłóceni przy bufecie w „Pickwicku”, obydwaj już znękani i gotowi się pojednać. Staś pierwszy się odezwał: — A może by tak kolega się ze mną trącił? — Kiedy mu przypomniałem, co o mnie wygadywał, zakółysał nogą i mruknął: — Rzeczywiście, przebrałem miahrkę... — Trąciliśmy się, po czym natychmiast zaczął mi opowiadać o nikczemnych intrygach kolejnego X-a, który wyłamał się z bajki.

Mówię, że należał do ludzi nie znających siebie, wskutek czego nie widział w swoich czarnych X-ach pokrewieństw ze sobą samym. Ale ów brak samowiedzy rozjaśniały zadziwiające prześwity. Miał tak absolutne poczucie humoru, jak miewa się absolutny słuch muzyczny, i myślę, że tylko jego zmysł komizmu pozwalał mu chwilami dostrzec własny udział w ludzkim spowinowaceniu. „Nie to mnie martwi, że sztuka jest sthraszna, ale to, że mu powiedziałem, że jest świetna”. Z tymi słowami wró-



cił z długo oczekiwanej premiery teatralnej znakomitego luminarza. Chciał wyjść w pierwszym antrakcie, gdy nagle zobaczył w loży wzruszonego, uszczęśliwionego autora i ogarnęło go współczucie. Po przedstawieniu złożył mu gratulacje ze łzami w oczach — ze łzami miłosierdzia. To był temat na krótkie opowiadanie.

W takich momentach stawał mi się najbliższy. W innych nauczyłem się milczeć. Puszczając mimo uszu jego złorzeczenia rzucone na urojonych wrogów. Niedługo przed moim wyjazdem do Berlina stracił ulubionego kota, który zatrut się jakąś resztką ze śmietnika. Staś twierdził, że kota otrut profesor uniwersytetu mieszkający w sąsiedztwie. — Kompletnie zaprzeczony Rosji — mówił patrząc na mnie z badawczą powagą. Gdybym się uśmiechnął, ściągnąłbym na siebie podejrzenie o udział w spisku. Wiedziałem, że trzeba siedzieć cicho i że za chwilę Staś sam się pocieszy. Oznajmił, że pochowa kota i wystawi mu pomnik. Zamówił już projekt u znajomego rzeźbiarza. — To wspaniały człowiek — czochrał pierś grubymi uczniackimi palcami o krótkich paznokciach, wiecznie jakby ogryzionych — wiesz, nie miałem pojęcia, że jeszcze istnieją tacy ludzie! — Pragnął ofiarować rzeźbiarzowi upominek i postanowił go kupić za granicą. Z każdej podróży przywoził wymyślne aparaciki, gadgety. Chętnie je rozdarowywał.

„Podróż”... „Disneyland”... „Pola Elizejskie”... „Dworzec w Monachium”... Takie tytuły nadawał swoim książkom. Cudowny świat leżał zawsze gdzieś dalej. — Naprawdę szczęśliwy jestem tylko w pociągu albo w samolocie — powiedział mi dawno temu — rozumiesz, kiedy już wyjechałem a jeszcze nie dojechałem. — Często mnie namawiał na wspólną podróż za granicę i w jego spojrzeniu czułem porozumiewawczą zachętę do wielkich wagarów, do wyprawy łodzią na Szczęśliwe Wyspy. A przecież byłem pewny, że gdybyśmy zaczęli razem budować tę łódź, wkrótce by mnie oskarżył, że w nocy umyślnie ją psuję. Raz mi się wymknęło: — Stasiu, a jeżeli najlepiej jest tam, skąd nie można wyjechać? Bo czy wszystko inne nie polega na złudzeniu? — Wtedy posmutniał. — Może masz hację... — I zwierzył mi się, że z całego życia najlepiej wspomina dwa miejsca: obóz nad jeziorem Bodeńskim i szpital, w którym leżał po zawale.

Lubiłem takie chwile porozumień ze Stasiem, lecz równocześnie fascynowały mnie jego zaślepienia. W dawnym mieszkaniu Dygatów na ulicy Joliot aktorzy, młode dziewczyny i piosenkarze słuchali godzinami jego maniackich kazań. Przypominało to zaklęcia czarowników, wróżenie z ludzkich wnętrzności... Znajomi nieraz przychodzili do niego po to, żeby ich wyręczył w nie-

czystej robocie oczerniania i za nich wykonał zabieg przekłucia szpilką podobizny wroga. Rasputin! — myślałem — niepoczytalny, opętany! I nagle... Z rozkudłanymi włosami, w powiewającym szlafroku nagle wybiegał do sąsiedniego pokoju, by przynieść numer *Life*'u z fotografią zmarłej gwiazdy filmowej, i ukazywał ją widzom jak ikonę.

Potrzebny był mi ten szalony przyjaciel, który dzielił świat na biały i czarny. Zapisałem kiedyś: „U St. cenię to, że ma bardziej namiętny stosunek do prawd niż do kobiet. Jak mężczyzna. Kobieta namiętniej przeżywa mężczyzn niż prawdę”. Ach, naturalnie, jego prawdy mogły nie być prawdami. Lecz nawet w swoich aktach niesprawiedliwości trzymał się prawideł westernu. Nigdy nie celował w bezbronnych, a niszcząc kogoś był przekonany, że ubiega strzał przeciwnika. Nade wszystko zaś cenił postać samotnego kowboja-ryzykanta, który po wypełnieniu zadania odjeżdża nie żądając nagrody. Naiwnie skonstrastowana rzeczywistość, jaką tworzył ze swoich nienawiści i entuzjasmów, okazała się zdumiewająco niewywrotna. Wytrzymywała zmiany epok i sugestie ideologii. Można było sądzić, że Dygat pierwszy da się wciągnąć w bajkę surrealizmu socjalistycznego. Chłopcom z jego powieści i ich czystym dziewczynom wystarczyło założyć czerwone krawaty. No i może ująć nieco ironii. Otóż nie, nie napisał ani jednej soc-realistycznej książki. Gdy w roku 1957 miał wieczór autorski, pewna słuchaczka wyraziła mu publicznie szacunek za to, że nie przyjął narzuconych recept literackich. — Ale ja sthrasznie chciałem! — krzyknął Staś — tylko że nie potrafiłem!

Jakie są jego książki? Nie wiem. A jakie są moje książki? Nie wiem. Myślę, że „Jezioro Bodeńskie” to bardzo piękna książka. Jak długo ludzie będą ją czytali? Nie wiem, nie wiemy. Nikt nie wie. Utrapieniem artystów jest to, że niekiedy po pięćdziesięciu latach okazuje się, że ich sztuka była zła, czasem zaś trzeba tylu lat, aby było wiadomo, że ich sztuka jest dobra. A but czy jest dobry, to od razu wiadomo. Ale w tych pięćdziesięciu czy siedemdziesięciu latach jest także nadzieja. Współcześni często się mylą — za pięćdziesiąt lub siedemdziesiąt lat wyjaśnią się omyłki i odpadną pozory (nie tak trudno odróżnić dobrą sztukę od złej, jak dobrą od pozornie dobrej). Jeśli dziesięciu idiotów uchwali między sobą czyjąc wielkość albo czyjąc nicość, ludziom świadomym rzeczy pozostaje jedynie własne przekonanie. Ale za pięćdziesiąt lat, za sto lat... Ostatnia i wieczna nadzieja pisarza ma podobieństwo do wiary w życie pośmiertne.

Wojciech Fibak, mistrz tenisa, w czasie turnieju rozgrywa-

nego na drugiej półkuli otrzymał wiadomość, że pisarz Stanisław Dygat marzy o jego zdjęciu z autografem. Staś był wtedy w Warszawie. Był już siwym mężczyzną, rzadko wychodził z domu. Spędzał czas w bujanym fotelu przed telewizorem, mając pod ręką lekarstwa na serce, numery *News Week'u* i telefon; na ścianie wisiała powiększona fotografia Marilyn Monroe, a w dwóch rogach pokoju mieściły się wiklinowe budki dla pekińczyków i kotków.

Fibak najpierw się zdumiał, a potem wzruszył. O autografy zazwyczaj prosili go licealiści i młodzi kibice sportowi. Teraz zwracał się do niego stary pisarz, którego książki Fibak czytał w szkole. Pisarz stał swoją prośbę przez Atlantyka. Zdumiony i wzruszony Fibak wziął autografy od kilkunastu przyjaciół, naj-słynniejszych tenisistów świata, i po powrocie z turnieju natychmiast zatelefonował do pisarza. Było to w dzień pogrzebu Stasia. Fibak pewnie nie wie do dzisiaj, że ominęło go dziwne spotkanie. Mógł poznać człowieka, który w jego osobie czcił ideał ludzkiego piękna i cnoty. W westernie Stasia championi sportu byli kowbojami bez skazy.

Mam przed sobą 11 numer *Zapisu* z wydrukowanym stenogramem dyskusji, jaka odbyła się na posiedzeniu Komisji Kolaudacyjnej Filmów Fabularnych w grudniu 1977 roku. Tematem był film „Palace-Hotel”, nakręcony według opowiadania Dygata „Dworzec w Monachium”. Staś odpierał zarzuty jako autor scenariusza. Z dyskusji wyjmuję tylko po kilka zdań, charakteryzujących jej nastrój.

*Poręba* (filmowiec): „... jeżeli młody reżyser, debiutujący w oparciu o znany materiał literacki, chce robić szmoncesy na temat narodu polskiego, jeżeli chce robić filmy o Papuasach, a to mają być filmy o nas, nie mogą tego znieść jako Polak”.

*Misiorny* (publicysta): „... w sumie jest to kilka sarkastycznych uwag, wybrzydających na temat Polski”.

*Król* (urzędnik): „... mnie również ten film oburzył, bo nie lubię, kiedy kpi się z wojny i okupacji”.

*Dygat* (pisarz): „... Chciałbym uprzejmie prosić pana Porębę, ażeby nie uczył mnie polskości... Do tej pory nie spotkałem się z tym, aby ktoś miał zamiar kwestionować moją polskość, podawać ją w wątpliwość, i dopiero pan Poręba zrobił to po raz pierwszy, i nie chciałbym, aby takie wypadki miały miejsce, tak jak nie uważam, że pan Poręba ma monopol na polskość... Uważam, że wszystkie zarzuty spadają na mnie, a nie na panią Ewę Kruk. Ja mogę jej tylko podziękować za współpracę, dlatego że

pani Ewa jako młody reżyser wykonała w sposób ścisły to, co napisałem w scenariuszu”.

Film został odrzucony, mimo paru nieśmiałych głosów, usiłujących go wybronić. O decyzji rozstrzygnął Przewodniczący.

*Przewodniczący* (do Dygata): „Ma pan prawo wypowiedzieć swój pogląd, ale ja również deklaram swoje poglądy, które są poglądami urzędu”.

Byłem wtedy w Berlinie Zachodnim. W kilka tygodni później żona operatora filmowego Jerzego Lipmana zamówiła z Berlina telefoniczne połączenie z mieszkaniem Dygatów, chcąc się dowiedzieć, jak się czują i co słychać w Warszawie. Telefon przyjął Staś. — Fizycznie czuję się świetnie — powiedział — ale jestem wykończony nerwowo. — Była godzina 16.30. O 19-tej już nie żył. Gdy wyłamano drzwi, siedział w bujanym fotelu przed telewizorem. Ze zwieszanej ręki wypadła mu słuchawka, a na podłodze wały się fiołki z lekarstwami.

O jego śmierci dowiedzieliśmy się w Berlinie przez radio. Pomyślałem: „nie zobaczę Stasia po powrocie”. Przez chwilę miałem pewność, że Staś dokładnie wie, o czym teraz myślę, i uznał moją myśl za całkiem naturalną. Nieraz po powrocie z letnich wakacji spotykaliśmy się dopiero zimą. Dla trybu naszej przyjaźni istotne były długie przerwy między spotkaniami.

Wieczorem przypomniał mi się dzień, w którym go poznałem na podwieczorku u Stefanów Otwinowskich. To było zimą 1940. — Ależ ja pana świetnie znam z widzenia, pan chodził w żółtej skórzanej kurtce przez Koszykową do Alei! Zawsze się dziwiłem, że nie idzie pan Marszałkowską, przecież tamtędy do Reja była phrostsza dhroga! — I zaraz przeszedł na literaturę: oświadczył że uwielbia Gombrowicza i Hemingwaya. Zdumiałem się, jak można równocześnie uwielbiać dwóch pisarzy tak do siebie niepodobnych; ale zanim zdążyłem się odezwać, dodał, że najbardziej uwielbia filmy o kowbojach. Sądziłem, że żartuje. A to nie był żart. Więc jak to? Mógłbym najwyżej uznać, że prozę Hemingwaya łączą jakieś parantele z westernem — ale Gombrowicz, Gombrowicz i kowboje? Jakież to dzisiaj proste: właśnie Gombrowicz miał odwagę samotnego gentlemana-ryzykanta i zarazem czelność sztubaka odkłamującego nieprawdę dorosłych. Mimo iż nie polował na lwy ani nie ujeżdżał mustangów, spełniał najwyższe wymagania Stasia.

Nie pamiętam, czy tego dnia zaczęliśmy mówić sobie po imieniu. Chyba już tego dnia.

Dzisiaj przypomina mi się inny dzień, nie zimowy i o wiele późniejszy. Na plaży pod Wenecją. Spotkaliśmy się przypadkiem

(nasza wspólna podróż za granicę nigdy nie wyszła ze sfery projektów). Siedziałem w rozgrzanym koszu plażowym, gdy raptem wyrósł przede mną Staś Dygat w pasiastej koszulce „kronstadt” i płóciennej czapeczce na głowie. — *Buon giorno!* — Miał w ręku flaszkę campari. Spędziliśmy połowę upalnego dnia w tym koszu na Lido. Staś był pełen chętniej i dzielnej życzliwości. Przyniósł zakulisowe nowiny z festiwalu — już wiedział, że film Wajdy „Samson” nie dostanie nagrody i może tym bardziej chciał mi okazać serdeczność. Być może zresztą nie życzył naszemu filmowi sukcesu, nie wykluczam tego. A możliwe, że martwił się naszym niepowodzeniem, również tego wcale nie wykluczam! Piliśmy campari w rytmicznym szumie morza. Pamiętam, że Staś wtedy opowiadał, jak się kłócili ze sobą dwaj jego przyjaciele, filmowcy żydowskiego pochodzenia. Twierdził, że Polacy w kłótni przechodzą z *ty* na *sk....synu*, a Żydzi odwrotnie, z *ty* na *pan*. „Pana matka płakałaby krwawymi łzami nad pańskim postępowaniem!”. „Wara panu od mojej matki, zabraniam panu o niej mówić!”. Po czym nagle się uspokajają i najnaturalniej przechodzą z powrotem na *Kuba* i *Mietek*... Po południu plaża się wyludniła. Przynaglenni potrzebą, stanęliśmy obok siebie za niskim białym płótkiem. Widać było sponad niego górną krawędź morza. Przyszło mi na myśl, że Staś jest jedynym z moich kolegów, przy którym w tej okolicy nie odczuwam najmniejszego wstydu. Znowu przypomniało mi się boisko szkolne. Stojąc tak ramie przy ramieniu patrzyliśmy na dalekie, nieruchome łodzie z żaglami. — Wiesz — odezwał się Staś — w przyszłym roku koniecznie musimy pojechać do Kalifornii. Mam przyjaciela w Hollywoodzie, cudowny człowiek, nazywa się Broniek Kaper. Proponuję podróż we dwóch, bez żon. Co kolega na to? — Wspaniale — odpowiedziałem — jedziemy w przyszłym roku na wiosnę. — I zapięliśmy rozporki.

Nie mogłem przypuszczać, że ostatni raz spotkamy się w *Zapisie*. W tym samym numerze ukazała się pierwsza część moich „Miesięcy”. Odpierając ataki członków komisji, Staś broił się trochę nieporadnie, jak napadnięty znienacka chłopak. A jednak powtórzył — w innej tylko formie — swoją odpowiedź sprzed lat: że został wychowany na westernach.

Pisząc o nim, ja z kolei nie chciałbym porzucić tej konwencji. O każdym człowieku można napisać kilka przypowieści z morałem. Nie mogłem wybrać innej o Stasiu, bo żadna inna nie byłaby prawdziwsza. A z kilku prawdziwych przypowieści o jednym człowieku wybieram taką, która być może przedstawia tylko dwie skrzyżowane cechy jego charakteru, ale cechy nadające mu rangę,

jakiej się dosłużył. Mam tu na myśli paradoksalność, komizm i wzniosłość życia. Zwykle tak robię. Wolę tak robić niż ukazywać ludzi poprzez ich mizериę i nijakość. Często ich małość także wydaje mi się posągowa. I pomyśleć — nawet nie wiedzą, że powinni mi być za to wdzięczni.

Tak samo jak rok temu w listopadzie wokół kościoła Dominikanów tłum sięgający aż po Nowiniarską i z drugiej strony za Barbakan. Już o 7-ej rano słycać wywoływane przez głośnik numery i nazwiska pacjentów Clive'a Harrisa. Tłum stoi jeszcze po ciemku. Wracając do domu wieczorem minąłem grupę czekających ludzi, w której na ruchomym fotelu siedziała blada dziewczynka otulona pledem. Uzdrowiciel pracował do północy. Podobno wielu lekarzy kieruje swoich pacjentów do Harrisa.

Tak samo jak rok temu, obok bistro „Pod Murzynkiem” różne orkiestra cygańska. Tak samo jak rok temu aresztowania przed i po 11 Listopada. W dniu rocznicy z Katedry na Plac Zwycięstwa szedł kilkutyśięczny tłum. Aresztowanych wkrótce zwolniono.

Tak samo jak rok temu — akademie w rocznicę Rewolucji Październikowej i Miesiąc Filmów Radzieckich. Tak samo jak rok temu, w skrzynce na dole znajduję zaproszenie do PEN-Clubu. Tak samo jak rok temu...

Wszystko tak samo jak rok temu?

W trzech kolejnych katastrofach górniczych na Śląsku zginęło w ciągu miesiąca około stu ludzi. Katastrofy nastąpiły wskutek zaniedbań w ochronie bezpieczeństwa pracy.

W Teheranie kilkuset studentów popieranym przez rząd okupuje ambasadę Stanów Zjednoczonych, grożąc wymordowaniem personelu. Studenci żądają od władz USA ekstradycji byłego cesarza Iranu, operowanego na raka w nowojorskim szpitalu. Uprzednio już cesarz został skazany zaocznie przez trybunał ludowy na śmierć.

W tym roku spikerem telewizyjnym z baczkami polecono ogłosić dzień 15 listopada Dniem Gotowości do Zimy w kolejnictwie.

Wskutek przedłużającego się remontu w domu ZLP nadal nie ma obiadów w Klubie. Przeważnie chodzimy do SARPu na Foksal. Inaczej niż w zeszłym roku.

W piątek, przed wolną sobotą i niedzielą, do spółdzielni przywieziono czerstwy chleb. Z powodu wyłączeń elektryczności w piekarni nie wypieczono świeżego chleba. W sklepie podniósł

się krzyk. — Kobiety, opamiętajcie się — powiedział mężczyzna, który wnosił pieczywo z furgonu — będziecie jeszcze bruk całowac za taki chleb. Tej zimy. — W sklepie zrobiło się cicho.

Przed rokiem w listopadzie spadł już śnieg.

W tym roku jedna tabletki aspiryny dziennie łagodzi moje dolegliwości reumatyczne. Czuję się lepiej niż w ubiegłym roku i nawet biorąc pod uwagę godne szacunku zwapnienie, miewam przecież chwile szybkiego refleksu. Kiedy wczoraj przed winiarnią Fukiera zaczepił mnie nowy Cygan z orkiestry: — *Polish money?* — odpowiedziałem w ojczystym języku: — Rozumiem tylko po szwedzku. — I po raz pierwszy w życiu zobaczyłem speszzonego Cygana.

Agnieszka, córka Hani i Piotra Słonimskich, wyszła w tym roku za mąż i obecnie nazywa się Madame Agnès Prince.

Ktoś ubył nam z życia w tym roku: przyjaciel Piotrów, nasz paryski znajomy Abrasza Zemsz, dawny komandos francuskiej Résistance i wybitny socjolog. Popęlnił samobójstwo w hotelu rzucając się z okna szóstego piętra. Przyczyny: depresja psychiczna, wywołana podobno lękiem przed starością. Był o pięć lat młodszy ode mnie.

W zeszłym roku pan Władzio, patron tutejszych waluciarzy, nie spacerował jeszcze z młodym alzackim owczarkiem przy nodze.

Przed rokiem w listopadzie spadł już śnieg.

W ubiegłym roku o tej porze miałem zaledwie dwadzieścia stron „Miesiący”. Teraz zbliżam się do końca tomu.

I dopiero tej jesieni w naszej dzielnicy zaczęła się pojawiać kobieta, której głos usłyszałem pewnego dnia. Rozległ się za moimi plecami. Książd z teczką i w czarnym kapeluszu nadchodził ku mnie z przeciwnej strony i zauważyłem, że szybko opuścił głowę. O parę kroków za mną szedł ktoś naśladowując ujadanie psa. Przystanąłem, aby dać mu się minąć; byłem pewien, że to pijacki żart. Zobaczyłem starszą kobietę w szalu na głowie, która szła ulicą szcękając i warcząc z gniewnie wytrzeszczonymi oczami. Poczulem strach, ale zacząłem iść za nią. Na widok niektórych przechodniów stawała wydając z siebie urywane, głuche dźwięki; przed innymi uskakiwała w bok, jakby zjeżona z wściekłości. Mimo że czułem zgrozę, szedłem za nią dalej, wciąż o kilkanaście kroków z tyłu. Miała na sobie beżowy płaszcz, nosiła wysokie buty z futerkiem, a w rękę trzymała damską skórzaną torbę. Tak porządnie ubrana dobywała z gardła ów nieludzki głos. I może to było najbardziej niepojęte: potrafiła się ubrać, zapiąć buty na ekler i wziąć ze sobą torbę, a potem

wychodziła na ulicę szczekając? W wyrazie jej twarzy było nieopisane cierpienie. Można by je zapewne określić psychiatrycznym terminem, ale ona — co się działo w jej sercu i mózgu, co chciał wyrazić ten bełkot zwierzęcia? Nienawiść i strach. Przyszło mi na myśl, że ta obłąkana widzi coś, czego my nie widzimy i czego nie sposób wyartykułować. A jeżeli to coś jest w nas i między nami? a jeśli ona boi się naszego szaleństwa? W jej wybałuszonych oczach i skowyczącym głosie mogła wyrażać się rozpacz, wiedza o istocie naszego bytu, której my nie dostrzegamy i której nie podobna nazwać ludzkimi słowami.

Widziałem ją później kilkakrotnie. Ostatnio w pobliżu śmietników na tyłach Świętojerskiej. Zawsze tak samo ubrana: w beżowym płaszczu, wełnianym szalu na głowie i z torbą przewieszoną przez ramię. Zewnętrznie niczym się nie różni od innych tutejszych kobiet, żon urzędników czy naukowców, które mieszkają w naszej dzielnicy.

Listopad... W zeszłym roku o tej porze dostałem list od nieznajomej czytelniczki „Miasta niepokonanego”. List z datą 8 listopada, starannie wykaligrafowany na papierze w kratkę i zakończony dziwnie ujmującą prośbą: „Ośmielam się prosić Pana o podanie numeru kwater i nazwy cmentarzy, na których spoczywają Pana Rodzice. Chciałabym kiedyś wybrać się tam z moimi dziećmi, z mężem lub sama”.

Podczas spaceru w niedzielę przed południem na Krakowskim obserwowałem przechodzących ludzi. Grupy rodzinne sunęły w zwolnionym, świątecznym tempie. Trudno byłoby określić ich przynależność socjalną. Tak ubrani — według obecnej mody polskiej i jakby z chłopską zasobnością — mogą dziś być zarówno urzędnicy państwowi jak właściciele podmiejskich szklarni. W tłumie sporo twarzy zmęczonych i otepiałych i wiele złych spojrzeń. Ilekroć zbliżał się ktoś o wejrzeniu inteligenta, rozpoznawaliśmy się z daleka jak krewni. Zaczął mżyć drobny, zimny deszczyk. W Ogrodzie Saskim odkrywam w krzakach siedzącą Marię Konopnicką, podobną do olbrzymiej góralki wykutej w kamieniu. Równie dobrze można by przenieść ten współczesny pomnik na skwer w pobliżu „Bristolu”, a do Saskiego Ogrodu zabrać stamtąd potwornego starca, który ma przedstawiać Bolesława Prusa.

W pustym, zamglonym Ogrodzie Saskim szukamy rękawiczki M. (zawsze gubi rękawiczki, które później w cudowny sposób się znajdują). Mija nas jakaś kłócąca się para. Dwoje młodych ludzi, dwa głosy: — Ja ciebie nie rozumiem! — Bo nie chcesz



mnie zrozumieć! — Nie wiem, czy są małżeństwem, ale przychodzi mi na myśl, że w tych dwóch krótkich odzywkach streścili najtrudniejszy dylemat małżeństwa: niezdolność do uznania innego człowieka w partnerze. Jeśli są lub będą małżeństwem, to muszą się przygotować do walki. Nad stawem wygłaszam pogląd, że tajemnicą dobrych małżeństw jest konflikt, który je łączy. Ten konflikt, twierdzę, może je łączyć w trybie jednostronnej przemocy lub podwójnego równouprawnienia. Nie ma lepszych rozwiązań: albo harmonijne współżycie gwałtu ze słabością, albo burzliwe życie we wzajemnej prawdzie o sobie. Zakończenie w obydwu wypadkach jest nadzwyczaj szczęśliwe... — Moja rękawiczka! — śmieje się M. Ktoś ją znalazł i położył na cokole jednej ze szerniałych rzeźb w alei.

Telefonował Jan Garewicz, ten sam, z którego książki o Schopenhauerze zamieściłem obszerny cytat w pierwszej części „Miesiący”. Głos w telefonie brzmiał życzliwie. Umówiliśmy się na dłuższą rozmowę w przyszłym miesiącu. Garewicz powiedział mi, że jego brat, który w szkole pożyczył mi farby, zginął w czasie wojny.

W trzy dni później telefon od Gustawa Cz. z Wrocławia, także kolegi z gimnazjum. Nie widzieliśmy się od matury. Komunikuje, że ma ważną sprawę do mnie, i nazajutrz zjawia się w czarnym garniturze, z chryzantemami w celofanie. Na tacy ustawiłem dwa kieliszki i butelkę „Soplicy”. Zewnętrznie się nie zmienił, wygląda tak, jakby go zabalsamowano po maturze. Podnosząc kieliszek, za każdym razem wstaje z fotela. Ja także wstaję. Po pół godzinie Gustaw oznajmia swoją prośbę. Przyjechał do Warszawy w sprawie prochów Witkacego. Grób znajduje się we wsi Jeziory, na obecnym terytorium ZSSR. Mój kolega w imieniu grona wyznawców pisarza zwraca się do mnie o pomoc w sprowadzeniu zwłok do Polski. Przywiózł dokumentację w kopercie, którą mi wręcza. Po napełnieniu kieliszków znowu wstajemy. Pijemy za sztukę niezależną i znowu siadamy. Gustaw mówi, że zdecydował się na telefon do mnie po lekturze numeru *Zapisu*, w którym wyczytał moje nazwisko. Obiecuję wszcząć kroki w tej sprawie, lub przynajmniej czegoś się dowiedzieć. Mam jednak pewne wątpliwości, czy jako współpracownik *Zapisu* przyczynię się do sprowadzenia zwłok Witkacego z ZSSR.

Wiatry, deszcze... Listopad. Tyle nowego.

Nieraz brakuje mi gęstszych związków z ludźmi, sytuacji zbiorowych, w których działają wspólne emocje i kiedy tworzy się nowe treści — razem, we wzajemnym oddziaływaniu. Coraz

częściej miewam uczucie, że siedzę w norze i wyłażę z niej jedynie po to, żeby przepłynąć do czyjejs nory obok. Naokoło nie ma światła, tylko przestrzeń wypełniona słowami, w które się nie wierzy, i twarzami, których nie jest się ciekawym. Mówię do M. o nicości i śmierci. Nie lubi tego słuchać, opęda się ręką. Jest trochę przesadna, obawia się nieopatrznych słów, podobnie jak niektórzy obawiają się grzmotów — i woli przemilczać zmartwienia. Tak została wychowana; zdaje się, że to była postawa jej warstwy. Pytam: długo ze mną wytrzymasz tę próżnię?

Kilkanaście lat temu, rozmawiając w ścisłym gronie o poczynaniach cenzury i zaduchu w publicznym życiu kulturalnym, powiedziałem, że może wkrótce trzeba będzie zamknąć się w pokoju, aby pisać dla siebie i dziesięciorga przyjaciół. Ktoś zauważył, że byłby to pierwszy krok w stronę „samizdatu”, istniejącego już podówczas w ZSSR. Wtedy odezwał się P..., który dobrze wiedział, co w praktyce ów termin oznacza. — Słuchajcie, to także jest straszne, za to inaczej się płaci. — Wtenczas jeszcze nie rozumiałem, co P... miał na myśli.

I jeżeli piszę, że często brak mi powiązań z żywym ogółem społecznym, to powinienem dodać, że czuję się coraz mniej zdatny w tym względzie. Przedwczoraj dzwonił Jacek Bierzyn, uczestnik głódówki w kościele św. Krzyża, z zaproszeniem na wieczór dyskusyjny o kwartalniku *Puls*, którego jest redaktorem. Wieczór miał się odbyć w mieszkaniu na Żoliborzu. Wykręciłem się od przyjścia. Sama myśl, że musiałbym spędzić trzy, cztery godziny na wysłuchiwanie cudzych opinii, czasem na pewno skrajnych i niesprawiedliwych, albo po prostu innych niż moje, wprawiła mnie w popłoch. Życie w izolacji zmniejsza odporność; ubywa mi sił — może nie tyle do pisania, ile do znoszenia agresji i napięć. Za taki wieczór zapłaciłbym tygodniem odarcia ze skóry. Nie poszedłem, ale to również część kosztów, jakie płacę.

W tym stanie rzeczy inne okoliczności, czasami o pobocznym znaczeniu, nienormalnie puchną i ciężą. Choćby na przykład niejasna sprawa mojej umowy z zespołem „X”. Mimo otrzymanych zapewnień (już po ostatecznym zniknięciu Domaradzkiego) nie wpłacono pierwszej raty honorarium. A pamiętam głos w telefonie, tak sympatycznie mi wyjaśniający, że sekretarka się omyliła, przez co wypłata odwlecze się do 8 sierpnia. Nie idzie mi o sumę 3 tysięcy złotych, a jednak ta sprawa do mnie wraca i pęcznieje w myśli. Chodzi mi o to, że nie umieli się zdobyć ani na jej załatwienie, ani na jasną odpowiedź. I o coś jeszcze: że mogę najwyżej czegoś się domyślać, podejrzewać, ale

nie chce mi się już dochodzić prawdy. Domysł i podejrzenie stają się w końcu wygodne, to zaś czy prawdą jest niedbalstwo sekretarki, czy nieustępliwość urzędu, tego z pewnością i tak się nie dowiem, bo linie działań są umyślnie zamazane.

Życie prywatne... Pocieszeniem jest świadomość, że jego koszty opłacają się wewnątrz. Nieraz dochodzę do wniosku, iż wszystko, co odczuwałem w życiu jako skrępowanie lub brak, więzy, od których się uwolniłem (ideologia, partia), albo które przyjąłem (małżeństwo i praca), wydobywały ze mnie rzeczywistą wartość, właśnie przez ich odrzucenie bądź przyjęcie. A mówiąc „rzeczywista wartość” rozumiem przez to sposób bycia w świecie, dany mi i zarazem wybrany przeze mnie spośród możliwości. Kto wie, czy to nie jest powrót do siebie. Do prawdziwego siebie, jakim mogło się być o wiele wcześniej. Przy padkiem w numerze *Znaku* trafiłem na piękny esej „Wyjście z jaskini na górę Moria”. Autor, którego nie znałem (Stanisław Grygiel) przytacza z „Państwa” Platona opowieść o duszach zmarłych ludzi, wybierających sobie przyszłe losy. Dusza Odyseusza — cytuję: „losowała na samym końcu. Już szła do wyboru, ale przypomniawszy sobie minione trudy, przez żądzę sławy poniesione, dała spokój ambicjom i chodząc długo tędy i owędy szukała losu człowieka prywatnego, który by miał czas wolny. Z wielką trudnością go znalazła. Leżał gdzieś tam porzucony, bo inni go nie chcieli. Zobaczywszy go, powiedziała, że i za pierwszym razem też byłaby ten los wybrała, więc teraz podjęła go z radością”.

Właściwie każdy człowiek mógłby i powinien zastanowić się nad tą przypowieścią.

Stwierdziłem nie bez zdziwienia, że teksty, które przeczytałem w numerze *Znaku* nie nastręczyły mi trudności w rozumieniu myśli autorów. A nie zawsze tak bywało. Język filozoficzny katolicyzmu częstokroć stawiał mnie przed semantycznymi zagadkami, nie umiałem przebrnąć przez słowa teologii. Czy intelektualści katolicy używają dziś nowego języka? W przeczytanych esejach autorzy rozumują pojęciami współczesnej filozofii, socjologii, ekonomii; piszą o cywilizacji i kulturze, o historyzmie i towarach. To mnie uderzyło. O „sposobie bycia w świecie” wspomina w swych rozważaniach cytowany wyżej Stanisław Grygiel. Podobnie zatytułowałem niegdyś moją książkę. W tymże szkicu autor pisze: „Wypełnianie posłannictwa, utożsamiającego się z byciem sumiennie wolnym człowiekiem, Sokrates nazywał służbą bożą”. Jakież to bliskie przemyśleń ludzi dzisiaj

szych, niekoniecznie katolików. Powołanie się na Sokratesa czyni tę myśl — dla mnie przynajmniej — jaśniejszą rozumowo.

Rozmawiałem po tej lekturze z Andrzejem Kijowskim, który mi powiedział, że w środowiskach intelektualistów katolickich wyczuwa się rosnącą potrzebę odnowienia języka filozoficznego Kościoła.

Poprzedniej nocy śniło mi się, że prezydent Stanów Zjednoczonych zwrócił się z apelem do zawodowych włamywaczy wszystkich krajów świata, aby opracowali plan odbicia zakładników więzionych w ambasadzie USA w Teheranie. W odpowiedzi na apel również polscy włamywacze przesłali do Waszyngtonu swój projekt i prezydent Carter uznał go za najlepszy. Ostatnią sceną w moim śnie była kłótnia małżeńska w podwarszawskim mieszkaniu starego kasiarza — typu „Szpicbródka” — głównego autora planu odbicia zakładników. Jego żona na wiadomość o wyprawie do Teheranu schowała przed nim narzędzia kasiarskie. Obudziłem się w emocji, zły na tę kobietę, a przy śniadaniu byłem zaczepny wobec M.

Odkąd piszę „Miesiące”, moje sny stają się coraz wyraźniej fabularne. Być może w ten sposób wynagradzam sobie odejście od fikcji powieściowej. Mimo iż „Miesiące” nie są dziennikiem w dosłownym sensie, to jednak nie są też powieścią. Widocznie odczuwam nostalgię za zmyśleniem i skutek jest taki, że w nocy „powieściuję”.

Na czym stanąłem? Na Sokratesie. W pierwszych fragmentach „Miesiący”, rok temu, zajmowałem się Schopenhauerem. W obu wypadkach przedmiotem refleksji jest moje teraźniejsze życie. Sytuacje się powtarzają — np. dwukrotnie pisałem o głosówce w kościele — zewnętrzna rzeczywistość nie ulega radykalnym zmianom. Przeglądając te kartki, widzę co? To, że powracam do jednego tematu. Do tematu własnego, do siebie. Mimo to coś się zmieniło w ciągu owego czasu pisania „Miesiący”. Mógłbym powiedzieć, że od Schopenhauera do Sokratesa przebyłem jakąś drogę. Ale jaką?

Z początku sądziłem, że „Miesiące” wypełnią mi pusty okres przerwy w pisaniu. Miały być czymś w rodzaju pływającej tratwy. Nie okrętu, którym się steruje, lecz deski niesionej prądem, której można się uchwycić przed pójściem na dno. Postanowiłem, że będę pisał o tym, co przeżywam na bieżąco, i że będę się starał zachować proporcje między notowanymi zdarzeniami a sobą. Nie chciałem tworzyć z siebie egotycznego cen-

ACHEVE D'IMPRIMER  
LE 17 MARS 1981  
SUR LES PRESSES DE  
L'IMPRIMERIE RICHARD  
24, RUE STEPHENSON,  
PARIS (XVIII<sup>e</sup>).

Dépôt légal : 1<sup>er</sup> trim. 1981.

041-111011  
17 M 1981



BIBLIOTEKA NARODOWA  
WARSZAWA



30001000774648

F 75,00